

Plik na stronie został zamieszczony jedynie w celach promocyjnych. Od momentu ściągnięcia na dysk plik należy usunąć w ciągu 24 h.

Kelley Armstrong

WEZWAŃNIE

Tłumaczył: Jerzy Łoziński
ZYSK I S-KA
Wydawnictwo
2010

Dwanaście lat wcześniej.,.

Mama zapomniała powiedzieć opiekunce o piwnicy.

Chloe kołysała się na najwyższym stopniu; pulchne dłonie ze wszystkich sił trzymały się obu poręczy ręce trzęsły się tak, że ledwie mogła się utrzymać. Trzęsły się także nogi, sprawiając, że łebki Scooby Doo na czubku kapci podrygiwały. Nawet oddech miała taki jak po biegu.

— Chloe? — dobiegł z ciemnej piwnicy przytłumiony głos Emily — Mama mówiła, że zimna cola jest na dole, ale ja jej tutaj nie mogę znaleźć. Zejdiesz mi pomóc?

Mama zapewniła, że powiedziała Emily wszystko o piwnicy, tego Chloe była pewna. Zanim mama i tata wyszli na imprezę, Chloe bawiła się w pokoju telewizyjnym. Mama ją zawołała, więc pobiegła do frontowego holu. Mama chwyciła ją w ramiona, śmiejąc się wesoło, gdy lalka Chloe kolnęła ją w oko.

— O, widzę, że znowu przyszła pora na księżniczkę Jasmine. Czy uratowała już Aladyna z rąk złego dzina?

Chloe pokręciła głową i szepnęła:

— Powiedziałaś Emily o piwnicy?

— Oczywiście. Chloe nie wchodzi do żadnej piwnicy. Te drzwi mają być zamknięte. — Zza rogu wyszedł tata. — Steve, musimy poważnie porozmawiać o przeprowadzce.

— Jeśli naprawdę chcesz, zaraz się do tego zabieram. — Zmierzył włosy Chloe. — Bądź dobra dla Emily, złotko.

I poszli.

— Chloe, wiem, że mnie słyszysz! — krzyknęła Emily. Chloe oderwała palce od poręczy i zatkała uszy.

— Chloe!

— J-jjja nie mogę do piwnicy! Nie w-wwolno mi!

— Ja teraz tutaj dowodzę i ci pozwalam. Jesteś już dużą dziewczynką.

Chloe spuściła nogę na następny stopień. Drapało ją w gardle i wszystko było takie rozmazane, jakby się za chwilę miała rozplakać.

— Chloe Saunders, albo będziesz tutaj za pięć sekund, albo sama ściągnę cię na dół i zamknę tutaj.

Chloe zbiegła tak szybko, że nogi jej się poplątały i na przedostatnim zakręcie upadła. Kostka bolała, w oczach pojawiły się łzy, a ona miała przed sobą piwnicę z jej szczelinami, zapachami i cieniami. A także panią Hobb.

Zanim pani Hobb ich przepłoszyła, byli też inni. Na przykład pani Miller, która bawiła się z Chloe w chowanego i nazywała ją Mary. Albo pan Drake, który zadawał dziwne pytania, na przykład, czy na Księżycu żyją jeszcze zwierzęta, i chociaż Chloe najczęściej nie wiedziała, co odpowiedzieć, on się uśmiechał i mówił, że grzeczna z niej dziewczynka.

Kiedyś nawet lubiła schodzić na dół i rozmawiać z ludźmi; nie mogła tylko spoglądać za piec, gdzie z sufitu zwisał mężczyzna z twarzą purpurową i napuchniętą. Nigdy nic nie mówił, ale sam jego widok wystarczał, by Chloe ścisnęło w brzuchu.

Znowu dobiegł jej stłumiony głos Emily.

— Chloe? Idziesz tutaj?

Mama powtarzała: „Zawsze patrz na dobrą stronę wszystkiego, a nie złą”, więc pozbierała się i pokonała ostatnie trzy schodki, wspominając panią Miller i pana Drake'a, a w ogóle nie myśląc o pani Hobb. No, prawie w ogóle.

Na dole wpatrzyła się w miejsce, gdzie się zaczynał mrok. Zapaliły się nocne światła, które mama rozmieściła wszędzie, kiedy Chloe zaczęła powtarzać, że nie chce schodzić na dół.

Mama myślała, że Chloe boi się ciemności. Trochę się bała, to prawda, ale tylko dlatego, że wtedy pani Hobb mogła zniecka na nią wyskoczyć.

Chloe widziała zimne drzwi piwnicy, ale nie spuszczała z nich oczu i szła tak szybko, jak tylko potrafiła. Kiedy coś się poruszyło, zapomniała o tym, żeby nie patrzeć, ale to był tylko wisielec i zobaczyła jedynie jego rękę, jak wysuwała się zza pieca, kiedy się kołysał.

Podbiegła do drzwi i jednym ruchem otworzyła je na oścież, ale w środku było ciemno, choć oko wykol.

— Chloe? — zawołała z ciemnicy Emily.

Chloe zacisnęła piętki. No, to już naprawdę było podłe, tak się na nią zacząć...

Nad głową usłyszała odgłos kroków. Mama? Już z powrotem?

— No chodź, Chloe, przecież nie boisz się ciemności, prawda? — roześmiała się Emily. —

Coś mi się jednak wydaje, że ciągle jesteś małą dziewczynką.

Chloe naburmuszyła się. Emily nic nie rozumie. Po prostu głupia, wstrętna dziewczyna.

Chloe weźmie sobie colę, a potem pobiegnie na górę, opowie o wszystkim mamie i Emily już nigdy więcej nie będzie z nią zostawała.

Wśliznęła się do ciemnej klatki, usiłując sobie przypomnieć, gdzie mama trzyma colę. Chyba jest tam na półce? Podbiegła i wspięła się na palce. Palce zamknęły się na zimnej metalowej puszcze.

— Chloe? Chloe! — To był głos Emily, ale gdzieś z daleka i pełen przerażenia. Nad głową ciężko zadudniły stopy. — Chloe, gdzie jesteś?

Chloe wypuściła puszkę, która z trzaskiem uderzyła o beton i potoczyła się do jej stóp, sycząc i piniąc się; zimny płyn otoczył jej kaptcie.

— Chloe, Chloe, gdzie jesteś? — odezwał się głos, jakby ktoś przedrzeźniał Emily.

Powoli odwróciła się.

W drzwiach stała stara kobieta w różowej podomce; w ciemności połyskiwały oczy i zęby.

Pani Hobb. Chloe bardzo chciała zacisnąć powieki, ale nie śmiała, bo wtedy będzie jeszcze gorzej i oszaleje.

Skóra pani Hobb pękała i kurczyła się, aż wreszcie zrobiła się czarna i lśniąca, trzaskając jak gałązki w ognisku. Odpadała wielkimi płatkami i odbijała się od podłogi. Włosy skwierczały i paliły się. W końcu została tylko czaszka z resztkami ciała. Otworzyła się szczęka, w której nadal błyszcząły zęby.

— Cieszę się, że wróciłaś, Chloe.

Rozdział pierwszy

Usiadłam gwałtownie na łóżku, z jedną ręką na radiu, a drugą zaplątaną w prześcieradło. Usiłowałam pozbiierać rozplywające się fragmenty snu. Jakaś piwnica... dziewczynka. .. ja? Nigdy nie mieliśmy piwnicy, zawsze mieszkaliśmy w mieszkaniach czynszowych. Dziewczynka w piwnicy, przestraszona... Ale czy piwnice nie są zawsze trochę straszne? Czuję dreszcz na samą myśl o nich, ciemnych, mokrych, pustych. Był tam... Próbuję sobie przypomnieć... Mężczyzna za piecem?

Walenie do drzwi sprawiło, że aż podskoczyłam na łóżku.

— Chloe! — krzyknęła Annette. — Czemu budzik nie zadzwonił? Jestem gospodynią, a nie twoją niańką! Jak znowu się spóźnisz, zadzwonię do ojca.

Groźby mniej mnie przejęły niż sen. Nawet gdyby Annette udało się połączyć z ojcem w Berlinie, tylko udawałby, że słucha, wpatrzony w swojego blackberry, skupiony na czymś o wiele poważniejszym, jak na przykład prognoza pogody. Mruczałby pod nosem: „Tak, tak, zajmę się tym po powrocie”, ale po odłożeniu słuchawki o wszystkim by zapomniał.

Włączyłam radio, nastawiłam głośniej i zwlekłam się z łóżka.

Pół godziny później byłam w łazience, szykując się do szkoły. Włosy po bokach ujęłam w spinki, spojrzałam w lustro i wzruszyłam ramionami. Wyglądałam na dwunastolatkę...

Właśnie. Skończyłam niedawno piętnaście lat, ale kelnerzy w restauracji dalej podawali mi dziecięce menu. Nie obrażałam się; miałam wszystkiego niespełna metr pięćdziesiąt wzrostu i niemal żadnych zaokrągleń, które ujawniały się tylko wtedy, gdy nosiłam obcisłe dżinsy i jeszcze ciaśniejsze T-shirty.

Ciotka Lauren zarzekała się, że wystrzelę w górę — i w innych kierunkach — kiedy przyjdzie okres, tyle że ja bałam się, że może tu chodzić nie o „kiedy”, lecz „jeśli”. Większość moich przyjaciółek zaczęła miesiączkować, mając dwanaście, a nawet jedenaście lat. Starłam się o tym nie myśleć, ale, oczywiście, myślałam. Bałam się, że może jest ze mną coś nie tak, czułam się jak idiotka, kiedy rozmawiały o swoich ciotkach, i modliłam się, żeby się tylko nie domyśliły, że ja nie mam. Lauren powtarzała, że wszystko jest w porządku, a była lekarką, więc myślałam, że wie, co mówi. Ale się martwiłam. I to bardzo.

— Chloe!

Drzwi łazienki zadygotały pod mięsistymi pięściami Annette.

— Siedzę na ubikacji! Czy mogłabym prosić o odrobinę prywatności?

Starłam się umieścić spinkę z tyłu głowy, żeby podtrzymywała boki. Nieźle. Kiedy jednak odwróciłam głowę, zsunęła się z moich cieniutkich włosów.

Nie powinnam była ich obcinać, ale miałam już kompletnie dość tych długich, prostych włosów jak u dziewczynki. Zdecydowałam się na kosmyki do ramion. Na modelkach wyglądały świetnie. Na mnie? Znacznie gorzej.

Wzrok padł na nieotwartą tubkę farby do włosów. Kari przysięgała, że czerwone pasemka będą ekstra przy moich truskawkowo-blond włosach. Nie mogłam się opędzić od myśli, że będę wyglądać jak lizak. Ale przynajmniej na odrobinę starszą...

— Chloe, idę do telefonu! — krzyknęła Annette. Chwyciłam tubkę, wrzuciłam do plecaka i otworzyłam drzwi.

Jak zawsze zbiegłam schodami. Domy mogą się zmieniać, ale nie moje zwyczaje. W dniu, kiedy szłam po raz pierwszy do przedszkola, matka stanęła ze mną na szczycie schodów, z moją dłonią w jednej ręce, a plecakiem Sailor Moon w drugiej, i powiedziała:

— Gotowa, Chloe? I raz, i dwa, i trzy...

I zbiegłyśmy, niepewne stopy ślizgały się po schodkach, aż zatrzymałyśmy się na samym dole, zadyszane i rozchichotane, a cały mój niepokój przed pierwszą szkołą uleciał gdzieś po drodze.

I tak zbiegałyśmy po schodach przez całe przedszkole i połowę podstawówki, a potem... potem nie było już z kim zbiegać.

Zatrzymałam się na dole, dotknęłam wisiora pod T-shirtem, poprawiłam plecak i wyszłam z klatki.

Po śmierci mamy ciągle się przenosiliśmy po całym Buffalo. Tata przygotowywał luksusowe apartamenty, to znaczy kupował je w surowym stanie, a sprzedawał, kiedy były wykończone. Ponieważ ciągle był w rozjazdach, więc nie istniał problem zapuszczania korzeni.

Przynajmniej dla niego.

Tego ranka schody nie były takim ekstrapomysłem, gdyż i tak ściszało mnie w brzuchu z powodu połówkowej oceny z hiszpańskiego. Zawaliłam poprzedni test; poszłam na noc do Beth, zamiast zostać w domu i się uczyć, tak że ledwie zaliczyłam. Nigdy nie przepadałam za hiszpańskim, ale jeśli nie wyciągnę na 4, tata może zauważyć i zacząć się zastanawiać, czy na pewno szkoła artystyczna była najlepszym rozwiązaniem.

Samochód z Milosem czekał przy krawężniku. Woził mnie już od dwóch lat, przez dwie przeprowadzki i trzy szkoły. Kiedy wsiadłam, opuścił ekran po mojej stronie; słońce dalej mnie raziło, ale nic mu nie powiedziałam.

Żołądek uspokoił się, gdy przesunęłam palcami po znajomej rysie na oparciu i wciągnęłam zapach chemicznej sosny z odświeżacza kołyszającego się na wentylatorze.

— Widziałem wczoraj film — powiedział, zjeżdżając na środkowy pas. — Z takich, jakie lubisz.

— Thriller?

— Nie — poruszał ustami, jakby szukał odpowiednich słów. — Kino akcji. Wiesz, strzelanki, eksplozje i te sprawy. Taki film w stylu „zawali ich wszystkich”.

Nie lubiłam poprawiać angielszczyzny Milosa, ale bardzo o to prosił.

— Rozwali ich wszystkich. Uniósł jedną ciemną brew.

— Ale jak wszystko na nich leci, to ich zawala, nie? Roześmiałam się i przez chwilę rozmawialiśmy o filmach. Mój ulubiony temat.

Odezwał się głośnik, Milos zaczął rozmawiać z dyspozytorem, więc popatrzyłam w boczną szybę. Zza grupki urzędników wyskoczył długowłosy chłopiec ze starodawnym, plastikowym pudełkiem śniadaniowym z jakimś znanym bohaterem na wieczku. Tak usiłowałam sobie przypomnieć, co to za postać, że nie zastanawiałam się nad tym, dokąd biegnie, aż nagle zeskoczył z krawężnika, lądując między nami a samochodem z przodu.

— Milos! — krzyknęłam. — Uwa...

Nie dokończyłam, gdyż pas boleśnie wcisnął mi się w pierś. Kierowca za nami i jeszcze kolejny jeden po drugim nacisnęli na klaksony.

— Co? Co się stało, Chloe?

Spojrzałam przez maskę samochodu i... nic nie zobaczyłam. Pusty pas przed nami i samochody omijające nas z lewej, z kierowcami gniewnie wystawiającymi środkowy palec.

— Mmray-mmray...

Zaciskałam pięści, jak gdybym w ten sposób mogła wycisnąć słowa. „Kiedy się zatniesz, spróbuj inaczej”, zawsze powtarzała moja terapeutka.

— Wydawało mi się, że wwwi-wwwidzę...

„Nie spiesz się; najpierw zastanów się nad słowami”.

— Przepraszam. Wydawało mi się, że ktoś wyskakuje nam wprost pod koła.

Taksówka Milosa ruszyła.

— Mnie się też czasami to nadarza, szczególnie jak szybko odwrócę głowę. Myślę, że ktoś jest, a tu nikogo nie ma.

Pokiwałam głową; brzuch znowu mnie rozboleł.

Rozdział drugi

Sen, którego sobie nie mogłam przypomnieć, i chłopak, którego widziałam lub nie, tak mnie osaczyły, że gdybym nie pozbyła się przynajmniej jednej z tych udręków, z hiszpańskim miałabym przechlapane. Dlatego zadzwoniłam do ciotki Lauren. Na sekretarce nagrałam się, że spróbuję raz jeszcze na przerwie obiadowej. Ale nie dotarłam jeszcze do szafki Kari, kiedy ciotka oddzwoniła.

— Czy mieszkałam kiedyś w domu z piwnicą?

— Dzięki, ja też zawsze zaczynam od dzień dobry.

— Przepraszam, ale strasznie dziabnął mnie ten sen.

Opowiedziałam jej o tych szczątkach, które pamiętałam.

— To musiały być ten stary dom w Allentown. Byłaś wtedy szkrabem, więc nie dziwię się, że nie pamiętasz.

— Dzięki. To mnie...

— Dziabnęło, jasne. Jak to z dziwadłami ze snów.

— Jakiś potwór w piwnicy. Wiem, to banalne, przepraszam.

— Potwór? A ja...

W tym momencie włączył się system powiadamiania; ktoś powiedział: „Doktor Fellows proszona na stanowisko **3B**”.

— Wzywają cię.

— Chwilkę mogą poczekać. Wszystko w porządku, Chloe? Brzmisz tak dziwnie...

— Nie, nie, tylko wyobraźnię mam dzisiaj taką rozbrykaną. Wystraszyłam rano Milosa, bo wydawało mi się, że widzę, jak chłopak wybiega nam przed maskę.

— Kto taki?

— Nikogo nie było. W każdym razie poza moją głową. — Zobaczyłam Kari przy szafce i pomachałam do niej. — Już dzwonek, więc...

— Odbiorę cię po szkole. Herbata w Crowne. Tam pogadamy.

Połączenie się przerwało, nim zdążyłam zaprotestować. Pokręciłam głową i pobiegłam, żeby Kari mi nie uciekła.

Szkoła. Nie ma specjalnie o czym mówić. Ludziom się wydaje, że szkoły artystyczne muszą być inne, wrą wszystkie te twórcze energie, klasy pełne szczęśliwych uczniów, nawet goci na tyle szczęśliwi, na ile pozwalają ich udręczone dusze. Myślą, że nie ma tutaj znęcania się czy wyzywania, bo w końcu łądują tu dzieciaki, które prześladowano w innych szkołach.

To zresztą w większości jest prawdą w Liceum A.R. Gurney, tyle że kiedy zbierzesz te dzieciaki razem, nieważne jak do siebie podobne, zawsze wyznaczą sobie grupki. Są tu grupki typowe: mięśniaki, kujony, skatey, które jednak stanowią jedynie tło dla artystów, muzyków czy pisarzy. Ponieważ znalazłam się na profilu teatralnym, przyłgnęła do mnie grupka aktorska, w której talent mniej znaczył niż wygląd, poza i gadane. Za mną nikt się nie oglądał, w pozostałych dwóch sprawach zaliczałam

okrągłutkie zero; na skali popularności od **10** do o lokowałam się dokładnie na **5**.

Dziewczyna, którą mało kto zauważa.

Tyle że zawsze marzyłam, aby się znaleźć w szkole artystycznej, a ta była dokładnie taka, jakiej się spodziewałam. Co więcej, ojciec obiecał, że zostanę w niej do końca, niezależnie od tego, ile będziemy mieć przeprowadzek, co znaczyło, że po raz pierwszy w życiu nie byłam „tą nową”. Zaczęłam A.R. Gurney jak wszyscy, od pierwszej klasy. Nareszcie byłam normalna.

Niestety dzisiaj wcale nie czułam się normalna. Całe rano myślałam o tym chłopaku przed maską. Było mnóstwo logicznych wyjaśnień. Zapatrzyłam się na pudełko śniadaniowe i dlatego źle oceniłam, dokąd biegnie. Wskoczył do samochodu, który czekał przy krawężniku. Wykręcił w ostatniej chwili i zniknął w tłumie.

Wszystko zupełnie sensowne. Czemu więc nie byłam spokojna?

— Wrzuć na luz — powiedziała Miranda, podczas gdy ja grzebałam w szafce. — Jest przecież tutaj. Po prostu spytaj go, czy pójdziecie na imprezę. Czy to takie trudne?

— Daj jej spokój — mruknęła Beth. Sięgnęła mi nad głowę, zdjęła z półki moją jaskrawożółtą śniadaniówkę i zakołysała nią. — Nie wiem, Chloe, jak mogłaś jej nie zauważyć. Przecież wali po oczach jak neon.

— Potrzebuje drabinki, żeby widzieć tak wysoko — powiedziała Kari.

Szturchnęłam ją biodrem, a ona odskoczyła ze śmiechem.

Beth przewróciła oczami.

— Zbierajcie się, bo zajmą wszystkie stoliki.

Ale gdy byliśmy koło szafki Brenta, Miranda trąciła mnie łokciem.

— No, spytaj go, Chloe.

Powiedziała to bardzo głośnym szeptem; Brent zerknął. .. i zaraz odwrócił wzrok. *Czując* rumieńce na policzkach, przycisnęłam śniadaniówkę do piersi.

Długie, ciemne włosy Kari przesunęły się po moim ramieniu.

— To mięśniak — wyszeptała. — Ignoruj go.

— Wcale nie mięśniak. Po prostu mu się nie podobam. Nic się na to nie poradzi.

— Dobra — odezwała się Miranda. — To ja go spytam w twoim imieniu.

— Nie! — Chwyciłam ją za rękę. — Błagam... Jej krągła twarz wykrzywiła się.

— Przecież nie możesz być ciągle takim dzieciakiem. Chloe, ty masz już piętnaście lat, musisz sama brać sprawy w swoje ręce.

— Na przykład tak wydzwaniać do faceta, że matka musi powiedzieć, żebyś dała mu spokój?

— spytała ironicznie Kari.

Miranda wzruszyła ramionami.

— To matka Roba. On sam nigdy czegoś takiego nie powiedział.

— Tak? Fajnie, powtarzaj to sobie, ile chcesz.

I zaczęło się na dobre. Normalnie skoczyłabym między nie, aby je uspokoić, ale nadal byłam zła na Mirandę, że mnie tak ośmieszyła przed Brentem.

Kari, Beth i ja dużo rozmawialiśmy o chłopakach, ale trzymałyśmy się od nich na dystans.

Co innego Miranda; miała więcej znajomych, niż można by sobie wyobrazić, więc kiedy zaczęła się zadawać z nami, nagle stało się bar

dzo ważne, żeby mieć chłopaka, którego się lubi. Tymczasem ja martwiłam się, że z moim rozwojem jest coś nie tak, no a kiedy ona jeszcze parsknęła śmiechem, słysząc moje wyznanie, że nigdy nie byłam na randce... No więc wymyśliłam sobie Brenta.

Pomyślałam, że wystarczy, jak wymienię chłopaka, który mi się podoba. Nic z tego. Miranda zaraz zrobiła z tego hecę, zaczęła mu opowiadać, jak mi się podoba, a ja byłam przerażona.

No, może nie do końca. Jakaś częśćka mnie miała nadzieję, że podejdzie i powie: „Spoko, Chloe, ty też jesteś fajna”. Nic z tego. Wcześniej czasami zagadywaliśmy do siebie na hiszpańskim, teraz siadał dwie ławki dalej, zupełnie jak gdybym roztaczała najokropniejszą woń na świecie.

Byłyśmy już pod samą stołówką, gdy usłyszałam, że ktoś mnie woła. Odwróciłam się, biegł do nas Nate Bozian; jego rude włosy płonęły w tłumie. Wpadł na chłopaka ze starszej klasy, przeprosił i dalej się przeciskał.

— Hej — powiedziałam, kiedy się zbliżył.

— Nawzajem. Pamiętasz, że Petrie w tym tygodniu przełożył spotkanie klubu filmowego? Będzie o awangardzie, a wiem, że jesteś w temacie. — Udałam, że zapomniałam. — Jasne, przekażę twoje przeprosiny. Powiem mu też, że nie chcesz robić tej krótkometrażówki.

— Dzisiaj o tym decydujemy?

Nate, który zaczął już odchodzić, rzucił przez ramię:

— Może tak, może nie, w każdym razie powiem mu...

— Narka, muszę lecieć — powiedziałam do przyjaciółek i pobiegłam, żeby go dogonić. Spotkanie klubu filmowego odbyło się na zapleczu, jak zawsze, kiedy mieliśmy omawiać sprawy i jeść śniadanie, bo na widowni jeść nie było można.

Rozmawialiśmy o krótkometrażówce, ja, jedyna z pierwszaków, znalazłam się na liście kandydatów do reżyserki Kiedy już wszyscy obejrzeliby sceny z filmów awangardowych, powiedziałam, jaki bym dała podkład dźwiękowy 1 zanim taśma się skończyła, wysliznęłam się do szatni.

Ciągle myślałam nad filmem, ale w połowie drogi żołądek przypomniał o sobie. Tak byłam podekscytowana, że zapomniałam o jedzeniu.

Zostawiłam na zapleczu torbę śniadaniową. Spojrzałam na zegarek. Jeszcze dziesięć minut przerwy; powinnam zdążyć.

Posiedzenie klubu się skończyło. Ten, kto wychodził ostatni, zgasił światła, a ja nie miałam pojęcia, jak je zapalić, zwłaszcza że aby znaleźć kontakt, trzeba go widzieć. Kontakty świecące w ciemności; z tego sfinansuję swój pierwszy film. Ktoś rzecz jasna będzie musiał mi je zrobić. Jak większość reżyserów, poruszałam się głównie w świecie idei.

Zaczęłam po omacku iść między rzędami; dwa razy walnęłam się w kolano. Kiedy oczy trochę przywykły do słabiotkich światełek orientacyjnych, zobaczyłam schody na zapleczu. Ale tam było jeszcze gorzej: kilka przegrodzonych zasłonami pomieszczeń do magazynowania i przebierania. Ktoś zawsze gasił tutaj światło. Zaczęłam macać po najbliższej ścianie, ale nie mogąc znaleźć kontaktu, poddałam się. Także i tutaj było kilka lampek orientacyjnych, więc niewyraźnie majaczyły kształty. Powinno wystarczyć.

Tak czy siak, było ciemno, a ja się tego boję. To jeszcze z dziecięcych czasów; wyobrażałam sobie znajomych,

którzy wyskakują z mroku i mnie straszą. Wiem, że to brzmi dziwnie. Inni wyobrażają sobie przyjazne istoty, a ja — upiory.

Zapach farby olejnej powiedział mi, że jestem w przebieralni, ale tym razem ta mieszanina woni kulek przeciw-molowych i starych ubrań wcale mnie nie uspokoiła.

Jeszcze trzy kroki i wrzasnęłam, gdy jakaś tkanina owinęła się wokół mnie. Wlazłam na zasłonę. Ekstra. Ciekawe, jak głośno krzyknęłam. Miałam nadzieję, że ściany są tu dźwiękochłonne.

Obmacywałam poliester, aż wreszcie znalazłam brzeg i odsunęłam materiał. Przedemną majaczył stół, a na nim coś żółtego. Moja śniadaniówka?

Miałam wrażenie, że ciągnie się przede mną korytarz, który pogrąża się w mroku. Kwestia perspektywy; dwie zasłony ustawione pod kątem. Interesujący efekt, szczególnie w filmie grozy. Muszę to zapamiętać.

Myśl o korytarzu jako elemencie scenografii odrobinę mnie uspokoiła. Wyobraziłam sobie kadr, odgłos moich kroków przydawał scenie napięcia. Widz spoglądał na wszystko z perspektywy bohaterki: głupia dzierlatka skrada się do wtóru dziwnego dźwięku.

Coś stuknęło. Drgnęłam, ale pisk butów sprawił, że dopiero teraz naprawdę podskoczyłam. Potarłam gęsią skórę na ramieniu i usiłowałam się roześmiać. Przecież tak właśnie brzmieć miał „dziwny dźwięk”, czyż nie? Proszę dołączyć efekty dźwiękowe.

I znowu coś, tym razem szelest. A więc w naszym widmowym korytarzu mamy też szczury? Strasznie ograne. Czas powstrzymać rozbrykaną wyobraźnię i skupić się. Trzeba to wyreżyserować.

Nasza bohaterka widzi coś w głębi korytarza. Jakąś niewyraźną postać...

No nie, tylko nie taka taniocha! Postaraj się o coś oryginalnego... tajemniczego.

Ujęcie drugie.

I co widzi? Dziecięcą torbę śniadaniową, nową i jaskrawożółtą, zupełnie nie na miejscu w tym starym, nawiedzonym domu.

Dalej, niech film idzie; nie pozwól myślom błądzić...

W ciszy rozległ się szloch, stłumiony do miękkiego chlipania.

Tak. Płacz. W moim filmie bohaterka widzi dziecięcą śniadaniówkę i słyszy dziwny szloch.

Coś porusza się w końcu korytarza. Jakiś ciemny kształt...

Rzuciłam się w kierunku torby, chwyciłam ją i uciekłam.

Rozdział trzeci

— **E**j, Chloe! Zaczekaj no!

Właśnie odchodziłam od szafki, do której wrzuciłam niezjedzone śniadanie, kiedy zawołał mnie Nate. Przed chwilą był dzwonek, więc cały korytarz oszalał, ludzie rwali się w swoich kierunkach jak łososie na miejsce tarta, porywając wszystko, co stało na drodze. Nate musiał się napracować, żeby się do mnie przedrzeć.

— Tak szybko się zmyłaś, że nie zdążyłem cię złapać. Chciałem spytać, czy idziesz potańczyć?

— Jutro? Chyba tak.

Błysnął piegowatym uśmiechem.

— Spoko. No to nara.

Zniknął w tłoku, a ja stałam i patrzyłam za nim. Nate specjalnie mnie poszukał, żeby spytać, czy idę potańczyć? Może to nie to samo co pytanie, czy pójdziemy potańczyć, ale... Muszę się dobrze zastanowić, co na siebie włożyć.

Chłopak z czwartej wpadł na mnie i strącił mi plecak z ramienia, mrużąc coś w rodzaju: „Stanie taka pośrodku korytarza”. Schyliłam się po plecak i poczułam coś jak powiew między nogami.

Gwałtownie się wyprostowałam i zamarłam, zanim zrobiłam krok na próbę.

O Boże! Czy naprawdę się zlałam w gacie? Wzięłam głęboki oddech. Może jestem chora.

Przez cały dzień jeździł mi coś po żołądku.

„Trzeba zobaczyć, czy da się coś z tym zrobić, bo jak nie, to muszę wziąć taksówkę w domu”. W łazience ściągnęłam majtki i zobaczyłam, że są jasno czerwone.

Przez kilka minut siedziałam na kiblu, uśmiechając się jak idiotka; miałam nadzieję, że te wszystkie plotki o kamerach w toaletach to tylko podpucha.

Umieściłam w majtkach zwitek papieru toaletowego, podciągnęłam dżinsy i wyszłam z kabiny. I oto widok, który sztychł ze mnie od jesieni: automat z podpaskami.

Sięgnęłam do tylnej kieszeni, ale znalazłam tylko dolary, piątkę i dziesiątkę oraz dwa centy. Wpadłam z powrotem do kabiny, obszukałam plecak, ale znalazłam tylko pięciocentówkę.

Obejrzałam automat. Jeszcze bliżej. Podrapany zamek, o którym Beth mówiła, że można go otworzyć na długi paznokieć. Moje były za krótkie, ale sprawdził się klucz od domu.

Ale tydzień! Zgłaszam się do robienia filmu, Nate zaprasza mnie na tańce, dostaję pierwszą miesięczkę i popełniam pierwsze przestępstwo!

Kiedy trochę się wygładziłam, postanowiłam poszukać w plecaku szczotki, tymczasem natknęłam się na tubkę z farbą do włosów. Uniosłam ją w górę, a odbicie w lustrze się uśmiechnęło.

Czemu nie dołączyć do listy „pierwszych wagarów” i „pierwszego farbowania włosów”? W szkolnej łazience nie będzie to łatwe, ale pewnie łatwiejsze niż w domu, pod czujnym okiem Annette.

Zrobienie kilkunastu czerwonych pasemek zabrało

mi dwadzieścia minut. Musiałam zdjąć bluzkę, żeby jej nie poplamić, więc zostałam tylko w staniku i dżinsach. Całe szczęście, że nikt się nie napatoczył... Na koniec osuszyłam pasemka papierowym ręcznikiem, nabrałam powietrza, spojrzałam i... uśmiechnęłam się. Kari miała rację. Wyglądało ekstra. Annette zacznie świrować. Ojciec może zauważy i może się

wścieknie. Ale co tam. Teraz już nigdy nikt mi nie da dwunastu lat i nie będzie podsuwał karty z porcjami dziecięcymi!

Skrzypnęły drzwi. Cisnęłam ręczniki do śmieci, chwyciłam bluzkę i wskoczyłam do kabiny. Ledwie zdążyłam się zamknąć, kiedy dziewczyna zaczęła płakać. Spojrzałam dołem i w kabinie obok zobaczyłam parę reeboków.

Powinnam spytać, czy wszystko w porządku, czy też będzie jej głupio?

Chlusnęła woda, cień na posadzce się przesunął, drzwi od kabiny otworzyły się. Ale kiedy z kranu popłynął strumień, szloch stał się jeszcze głośniejszy.

Zamknięcie kranu, skrzyp rolki z ręcznikami, drzwi się otwierają i zamykają. A płacz nie ustaje.

Zimny palec przeciągnął mi po kręgosłupie. Tłumaczyłam sobie, że musiała zmienić zdanie i wróciła, żeby się całkiem uspokoić, ale płacz był tuż obok mnie. W sąsiedniej kabinie.

Zacisnęłam ręce w pięści. To tylko moja wyobraźnia.

Powolutku się nachyliłam. Żadnych butów. Zgięłam się jeszcze bardziej. Nikogo w żadnej kabinie. I płacz ustał.

Szybko nałożyłam bluzkę i wyskoczyłam z łazienki jak najszybciej, żeby się wszystko nie zaczęło na nowo. Kiedy drzwi zamknęły się za mną, zapadła cisza. Pusty korytarz.

— Zaczekaj!

Podskoczyłam i obejrzałam się. Odetchnęłam z ulgą, ody zobaczyłam woźnego.

— Łłłł-łłłłżienka — wykrztusiłam. — Musiałam wyjść do łazienki.

Szedł ku mnie, ale go nie znałam. Był może w wieku ojca, krótko ostrzyżony, w mundurze naszych woźnych. Na pewno zastępuje pana Teitlebauma.

— Wracam do klasy. Odwróciłam się i zaczęłam iść.

— Poczekaj, nie odchodź, muszę z tobą porozmawiać.

Tylko odgłos kroków. Moich! Dlaczego nie słyszę jego kroków?

Przyspieszyłam.

Coś przemknęło obok mnie, powietrze trzy metry przede mną zadrżało i zaczęło się układać w koszulę woźnego i jego spodnie. Znowu się odwróciłam i puściłam biegiem.

Tamten warknął tak, że echo przetoczyło się po korytarzu. Jakiś uczeń wyszedł zza rogu i omal się nie zderzyliśmy. Zaczęłam przeproszać, a jednocześnie zerknęłam przez ramię; woźnego nie było.

Westchnęłam i zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, miałam tuż przed sobą niebieską koszulę mundurową. Podniosłam wzrok i... wrzasnęłam.

Wyglądał jak manekin, który znalazł się za blisko ognia. Twarz spalona i nadtopiona. Jedno oko nabrzmiące i wytrzeszczone, drugie zwisało w pobliżu szczęki, cały policzek zakrwawiony, wargi napuchnięte, skóra błyszcząca i wykrzywiona, a do tego...

Jego usta się rozchyliły.

— Może teraz poświęcisz mi trochę uwagi. Pognałam korytarzem. Kiedy mijałam jedną z klas,

drzwi się otworzyły. Męski głos.

— Chloe!

Nie przystawałam.

— Porozmawiaj ze mną! — Straszliwy, bełkotliwy głos był coraz bliżej. — Wiesz, od jak dawna tu więznię?

Wypadłam na klatkę i pobiegłam schodami w górę. „W górę? Tak robią wszystkie idiotki w filmach!” Woźny pognał za mną, po poręczy sunęły rozplływające się palce, z prześwitującymi przez skórę kośćmi... Wypadłam z drzwi i pobiegłam korytarzem.

— Posłuchaj mnie, ty egoistyczna dziewucho! Chcę tylko pięciu minut...

Wskoczyłam do pierwszej wolnej klasy i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Obróciłam się na środku sali, a tymczasem on przeszedł przez drzwi. Ot tak, po prostu. Zniknęła obrzydliwa stopiona twarz i znowu wyglądał normalnie.

— Teraz lepiej? Przeszanieś się wreszcie drzeć i porozmawiamy?

Skoczyłam do okna, rozglądając się, jak je otworzyć. Wtedy też zobaczyłam, jak jest wysoko. Przynajmniej dziesięć metrów... do chodnika.

— Chloe!!! Drzwi się otworzyły.

Stanęli w nich wicedyrektorka, pani Waugh, mój nauczyciel matematyki, pan Travis, i nauczyciel muzyki, którego nazwiska nigdy nie mogłam zapamiętać. Widząc mnie przy oknie, pani Waugh rozłożyła ręce, powstrzymując obu mężczyzn.

- Chloe — powiedziała półgłosem. — Odejdź, proszę od okna.

— Ja tylko...

- Chloe! — z naciskiem powtórzyła pan Waugh.

Stropiona obejrzałam się na okno, a w tym momencie PAN Travis przemknął obok wicedyrektorki i złapał mnie w pasie. Zwaliliśmy się na ziemię, a mnie zabrakło tchu w płucach. Kiedy się przewracaliśmy, przypadkowo uderzył mnie kolaniem w brzuch. Odtoczyłam się i skuliłam, pojękując z bólu.

Po chwili otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą woźnego. Krzyknęłam i chciałam się zerwać, ale pan Travis i muzyk przytrzymali mnie, podczas gdy pani Waugh szybko mówiła coś do komórki.

Woźny nachylił się obok pana Trávisa.

— To jak, teraz porozmawiasz? Nie możesz uciec. Szarpałam się i wierzgałam w kierunku woźnego,

usiłując wyrwać się nauczycielom, ale ci tylko jeszcze mocniej mnie przyciskali. Niewyraźnie słyszałam głos pani Waugh, że zaraz będzie pomoc. Woźny tak blisko przysuwał do mnie swoją twarz, która znowu się przemielila w tę straszną, rozlazłą maskę, że patrzyłam wprost W Jego wybałuszone gały.

Przygryzłam język, żeby nie krzyżeć; krew wypełniła mi usta. Im bardziej się szarpałam, tym mocniej nauczyciele wykręcali mi ręce.

— Nie widzicie go? — dyszałam. — Jest przecież tuż obok. Proszę. Proszę, proszę, proszę, odegnaćcie go ode mnie, odegnaćcie.

Nie słuchali. Walczyłam, błagałam, ale oni mnie nie puszczali, a spalony mężczyzna naigrawał się ze mnie. W końcu do sali wpadli dwaj mężczyźni w kitlach.

Jeden rzucił się pomagać nauczycielom, podczas gdy drugi stanął tak, że go nie widziałam.

Chwycili mnie mocno za ramiona. Potem ukłucie igły i lód spływający w żyłę.

Pokój zaczął się kołysać. Woźny się rozmywał, to wyraźniejszy, to bledszy.

— Nie! — wołał. — Muszę z nią porozmawiać. Nie rozumiecie? Ona mnie słyszy, a ja chcę tylko...

Jego głos był coraz cichszy, pielęgniarki ułożyli mnie na noszach, które uniosły się, kołysząc jak... słoń. Kiedyś jechałam na słońcu z mamą, w zoo, i teraz to wróciło. Objęcia mamy, jej śmiech...

W głowie znowu zahuczał głos woźnego: „Nie zabierajcie jej! Ona jest mi potrzebna!”

Kołysanie. Słoń się kołysze, mama się śmieje...

Rozdział czwarty

Siedziałam na krawędzi łóżka szpitalnego i usiłowałam przekonać samą siebie, że ciągle jeszcze śpię. Tak najlepiej dało się wytłumaczyć to, co słyszałam. Mogłam to ewentualnie nazwać „iluzją” ale wolałam „sen”.

Obok mnie siedziała ciotka Lauren i trzymała mnie za rękę. Mój wzrok powędrował do przesuwających się po korytarzu pielęgniarek. Poszła za moim spojrzeniem, wsiała i zamknęła drzwi. Patrzyłam na nią przez zasłonę też i wyobrażałam sobie, że to mama. Coś się we mnie załamało, znowu miałam sześć lat, leżałam na łóżku i płakałam za mamą. Potarłam rękami po pościeli, sztywnej i szorstkiej, zahaczającej o moją suchą skórę. W pokoju było tak gorąco, że każdy oddech sprawiał, iż piekące gardło jeszcze bardziej się zaciskało. Lauren podała mi wodę; zacisnęłam ręce na zimnej szklance. Woda miała metaliczny smak, ale wypiałam ją całą.

— Terapia grupowa — powiedziałam.

Wydawało się, że ściany niczym w studiu nagraniowym wysysają wszystkie słowa z moich ust, pozostawiając tylko martwe powietrze.

— O Boże, z tobą naprawdę nie jest łatwo, Chloe — powiedziała Lauren i wytarła nos w papierową chusteczkę. — Czy potrafisz zgadnąć, ile razy muszę mówić pacjentom, że umierają? Ale to tutaj teraz jest o wiele gorsze.

— Przysunęła się do mnie. — Dobrze wiem, jak bardzo! chcesz się dostać na Uniwersytet Kalifornijski. A to jedyna droga, żeby to uzyskać.

— To tata?

Chwilę milczała, a ja dobrze wiedziałam, z jaką chęcią obwinia go o wiele rzeczy. Po śmierci mamy chciała mniej wychowywać, żeby mi oszczędzić ciągłych przeprowadzeń i gospodyń i nigdy mu nie wybaczyła, że się nie zgodziła. Podobnie jak tego, że mama zginęła. To, że facet wleciał w nich z boku, kiedy uciekał przed policją, się nie liczyło! ojciec prowadził, więc on był odpowiedzialny.

— Nie — odparła w końcu. — Szkoła. Jeśli nie poddasz się dwutygodniowej terapii grupowej i na koniec nie dostaniesz dobrej oceny, wpiszą ci to do akt.

— Co?

Ręka Lauren zacisnęła się na chusteczce.

— To ta cho... — powstrzymała się. — Polityka „zero tolerancji dla przemocy”.

Z taką zjadliwością wypowiedziała te słowa, że w jej ustach zabrzmiały gorzej niż przekleństwo.

— Dla przemocy? Aale ja ppprze...

— Wiem, wiem. Ale dla nich sprawa jest jasna. Walczyłaś z nauczycielami. Potrzebna ci pomoc.

Terapia grupowa. Dla świrów.

W nocy budziłam się kilkakrotnie. Za drugim razem w drzwiach stał ojciec i patrzył na mnie. Za trzecim siedział przy moim łóżku. Kiedy otworzyłam oczy, wyciągnął rękę i niezgrabnie poklepał mnie po dłoni.

— Wszystko będzie dobrze — mruknął. — Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Znowu zasnęłam.

Rano dalej był przy mnie. Oczy miał zmęczone, zmarszczki

wokół moich ust się pogłębiły. Nie spał całą noc, lecąc z Berlina. Myślę, że tata nie chciał mieć dzieci, ale nigdy mi tego się powiedział, nawet w gniewie. Cokolwiek myśli o nim

ciotka Lauren, on stara się, jak może. Trochę podobna jestem do szczeniaka zostawionego mu

na przechowanie przez kogoś bardzo lubianego, więc chociaż nie przepada za psami, chce, by wszystko było jak najlepiej.

- Zmieniłaś uczesanie — powiedział, kiedy usiadłam. Próbowałam zebrać się w sobie. Kiedy lecisz, wrzeszcząc, szkolnym korytarzem zaraz po tym, jak sobie prze-farbowałaś włosy w szkolnej toalecie, pierwsze pytanie, które zadają — oczywiście, kiedy mamy już za sobą problem gnania z wrzaskiem po korytarzu — brzmi: „Coś ty z siebie zrobiła?”. Farbowanie włosów w szkolnej toalecie nie jest normalne. Przynajmniej nie u takich dziewczyn jak ja. No i jeszcze jaskrawo czerwone kosmyki? Kiedy zrywasz się z lekcji? Sprawa jasna: masz totalną załamkę.

— Podoba ci się? — spytał po chwili. Kiwnęłam głową.

Po chwili niepewnie zachichotał.

— No, ja pewnie czegoś takiego bym nie zrobił, ale Wygląda nieźle. Najważniejsze, że tobie się podoba. — Potarł grdykę, na której kładł się cień zarostu. — Lauren Chyba ci już mówiła o tej terapii grupowej. Znalazła jedno miejsce, małe, prywatne. Nie jestem tym specjalnie zachwycony, ale w końcu to tylko dwa tygodnie.

Nikt nie chciał powiedzieć, co ze mną jest nie tak. Chodziłam od lekarza do lekarza, robili mi różne badania, i byłam pewna, że dobrze wiedzą, o co chodzi, ale nikt nie mruknął ani słowa. A to znaczyło, że jest naprawdę kiepsko.

Widziałam ludzi, których nie było, nie pierwszy raz to właśnie o tym ciotka Lauren chciała rozmawiać ze mną po szkole. Kiedy wspomniałam jej o śnie, przypomniała] sobie, jak opowiadałam o ludziach w starej piwnicy; Rodzice uznali, że w ten sposób wymyślam sobie przyjaciół ale kiedy ci zaczęli mnie straszyć na dobre, przeprowadzili się.

Ale kiedy także i potem „widywałam” różne osoby! mama kupiła mi wisior z rubinem i powiedziała, że on mnie będzie chronił. Tata stwierdził, że to wszystko psychologia; uwierzyłam, że rubin działa, więc działał. Teraz jednak wszystko zaczęło się od nowa i nikt już nie uważał, że to sprawa nadmiernej wyobraźni.

Chcieli mnie wysłać do wariatkowa. Uznali, że mam świra. Ale to nie tak. Miałam piętnaście lat, wreszcie dostałam ciotę, co musiało mieć jakiś wpływ, bo przecież! nie przez przypadek tego właśnie dnia zaczęłam widzieć! różne dziwne rzeczy. Wszystkie te nagromadzone hormony eksplodowały, mózg nie wytrzymał, przemieszał sceny z jakichś zapomnianych filmów i kazał mi wierzyć że to wszystko naprawdę.

Gdybym świrowała, nie tylko bym widziała i słyszała ludzi, którzy nie istnieją, ale też miałabym totalne odjazdy,; a tak nie było.

Co, nie?

Im więcej się nad tym zastanawiałam, tym mniej byłam pewna. Czułam się zupełnie normalnie, nie pamiętałam, żebym robiła coś dziwnego, no może z wyjątkiem ufarbowania włosów w łazience. I wagarów. I włamania się do automatu na podpaski. I szarpaniny z nauczycielami.

To ostatnie się nie liczyło. Byłam przerażona, widząc jego spalonego faceta, więc ciskałam się, żeby od niego uciec a nie, żeby kogoś skrzywdzić. Przedtem wszystko ze linią było w porządku. Wszyscy tak uważali. Inaczej pan Petrie nie wpisałby mnie na listę kandydatów. Także Nate Bozian uważał, że jestem OK. Przecież nikt nie chciałby liii potaćzyć ze świrówką, A on chciał, tak?

Tyle że teraz wszystko wydawało mi się takie zamazane jak dalekie wspomnienie, które może w ogóle nie miało miejsca.

A jeśli nic z tego się w ogóle nie wydarzyło? Bardzo chciałam robić ten film. Bardzo chciałam, żeby Nate się mną zainteresował. Może wszystko to sobie tylko wymyśliłam?

Takie same halucynacje jak chłopak przed maską samochodu, płacząca dziewczyna i spalony woźny.

Gdybym zwariowała, czy wiedziałabym o tym? Właśnie na tym polega przecież świr, że jesteś przekonana, iż wszystko jest OK, ale tylko ty, nikt inny. Może zwariowałam. W niedzielne popołudnie ojciec i ciotka Lauren zawieźli mnie do Lyle House. Zanim opuściłam szpital, dali mi ja-kiś środek nasenny, więc przyjazd przypominał ciąg migawek i klipów.

Ogromny biały dom wiktoriański w otoczeniu wielkiej działki. Żółte framugi. Huśtawka na werandzie.

Dwie kobiety. Pierwsza, siwowłosa, z szerokimi biodrami, wychodzi mnie przywitać. Odprowadzający mnie chmurny wzrok drugiej, ręce na piersiach, spodziewa się kłopotów.

Wspinaczka po wąskich schodach. Starsza — pielęgniarka, która przedstawiła się jako pani Talbot — terkoczej powitania, za którymi mój rozkołysany umysł nie może nadążyć.

Biało-żółta sypialnia, stokrotki we flakoniku, zapach żelu do włosów.

Po drugiej stronie pokoju dwa łóżka obok siebie, pod odrzuconą kołdrą skopane prześcieradło. Na ścianie za łóżkami strony z magazynów dla nastolatek. Na toaletce tubki i buteleczki do makijażu. Jeden mały stolik.

Moja strona to zwierciadlane odbicie; takie samo łóżko, taka sama toaletka, stolik, wszystko wyprane z jakiegokolwiek osobowości

Tata i Lauren zbierają się do odejścia. Pani Talbot tłumaczy, że przez kilka dni ich nie zobaczę, bo muszę mieć czas na „aklimatyzację” w nowym otoczeniu. Jak pies czy kot w nowym mieszkaniu.

Obejmuję ciotkę Lauren; udaję, że nie dostrzegam łez w jej oczach.

Niezręczny uścisk z tatą. Mruczy, że nie wyjedzie z miasta i będzie mnie odwiedzał tak często, jak mu pozwolą. Całuje mnie w czoło, a do ręki wciska zwitek dwudziestek.

Pani Talbot mówi, że inne sprawy przełożą na jutro, bo pewnie jestem zmęczona. Mam iść do łóżka. Spuszczone żaluzje, pokój ciemnieje, znowu zasypiam.

Budzi mnie głos ojca. Ciemno w pokoju, ciemno na zewnątrz. Noc.

Ciemna sylwetka taty w drzwiach. Za nim młodsza pielęgniarka — pani Van Dop — twarz pełna dezaprobaty. Ojciec podchodzi do łóżka i wciska mi w ręce coś miękkiego.

„Zapomnieliśmy Ozziego. Nie wiedziałem, czy bez niego dasz radę zasnąć”. Miś koala stał na półce przy łóżku do chwili, kiedy go przerosłam. Teraz biorę i zanurzam nos w jego wytarte, pachnące domem futro.

Zbudziło mnie poświstywanie przez sen dziewczyny na sąsiednim nim łóżku. Oparłam się na łokciu, ale zobaczyłam tylko jakiś kształt pod kołdrą.

Odwróciłam się na plecy, po policzkach spływały ciepłe łzy. Nie z tęsknoty za domem. Z powodu wstydu, zaminowania, upokorzenia.

Wystraszyłam Lauren i tatę. Musieli wykombinować, o ze mną zrobić. Co jest nie tak? Jak to naprawić? No i jeszcze szkoła...

Policzki zrobiły się jeszcze gorętsze od łez. Ilu ludzi słyszało, jak krzyczę? Czy ktoś widział, jak szamoczę się nauczycielami i wrzeszczę, że prześladowe mnie woźny? Bk wynoszą mnie przywiązaną do noszy?

Ale nawet ci, co nie widzieli, na pewno słyszeli. Wszyscy wiedzą, że Chloe Saunders zaliczyła megawtopę. Zwariowała, dostała świra i zamknęli ją w wariatkowie.

Nawet gdyby pozwolili mi wrócić do szkoły, wątpię, Bym się na to zdobyła.

Rozdział piąty

Obudził mnie brzęk metalowych wieszaków. Blondynka] szperała w ciuchach, które, przysięgłabym, były moje, rozwieszone w szafie przez panią Talbot.

— Hej — powiedziałam. Odwróciła się z uśmiechem.

— Fajne ciuchy. Dobre marki.

— Jestem Chloe,

— Liz. Jak Lizzy McGuire. — Machnęła ręką w kierunku fotografii na ścianie. — Ale nie chcę, żeby mówili na mnie Lizzy, bo dla mnie to jakieś takie... — zniżyła głos, jakby nie chciała obrazić zdjęcia Lizzy — ...dziecinne.

Dalej trajkotała, ale ja niczego nie słyszałam, bo musiałam tylko: „A co jest z nią nie tak?” Skoro była w Lylej House, coś musiało być nie tak. Jakieś „psychiczne kłopoty”.

Nie wyglądała na wariatkę. Długie włosy zaczesane w lśniący kucyk. Miała na sobie dzinsy od Guessa i T-shirt; z Gapa. Gdybym nie wiedziała o tej całej szopce, pomyślałabym, że zbudziłam się w szkolnym internacie.

Ciągle nawijała. Może o to chodziło.

W ogóle nie wyglądała groźnie, ale to chyba zrozumiałe, prawda? Przecież kogoś groźnego, naprawdę szalonego nie wpakowaliby mi do pokoju.

„Jasne, Chloe, nie przyjmują tutaj żadnych prawdziwych świrów. Tylko takich, którzy słyszą głosy, widzą nadpalonych woźnych i kopią się z nauczycielami”. Odezwał się żołądek.

— Rusz się — powiedziała. — Śniadanie jest za pięć minut, a jak się spóźnisz, są naprawdę upierdliwi.

Skierowałam się do szafy, ale powstrzymała mnie ruchem ręki.

— Możesz iść na śniadanie w pidzampie. Obiad i kolację jemy razem z chłopakami, ale dla nich śniadanie jest później, więc mamy trochę prywatności.

— Chłopakami?

— Simon, Derek i Peter.

— Koedukacja?

— No. — Wydeła usta i oderwała z wargi kawałeczek złuszczonej skóry. — Parter jest wspólny, ale piętro dzielone. — Otworzyła drzwi i pokazała, jaki krótki jest korytarz. — Nie ma nawet drzwi. Zupełnie jakbyśmy się chciały wymykać, gdyby było można — zachichotała. — No, może Tori. Zresztą i ja, gdyby było się do kogo wymykać. Tori ma na oku Simona. — Obejrzała mnie badawczo w lustrze. — Może ci się spodobać Peter. Fajny,, ale dla mnie za młody. Trzyście lat, no, prawie czterście.

— Ja mam piętnaście. Przygryzła wargę.

— O kurczę. No ale Peter długo tu nie pobędzie. Może niedługo wraca do domu. — Chwila ciszy. — Piętnaście, tak? Która klasa?

— Dziewiąta.

— Jak Tori. Ja jestem w dziesiątej, jak Simon, Derek i Rae, ale Simon i Rae chyba ciągle mają po piętnaście.

Mówiłam już, że podobają mi się twoje włosy? Chciałam zrobić to samo, tylko z niebieskimi, ale mama zabroniła!

W drodze na dół Liz oprowadziła mnie po pokojach dla personelu. Psycholog, doktor Gili, zjawiała się tylko w godzinach pracy, tak samo jak wychowawczynie, pani Wang.

Poznałam dwie z trzech pielęgniarek. Starszą, panią Talbot — którą Liz oceniła jako „całkiem fajną” — i młodszą, panią Van Dop, która, jak szepnęła Liz, „nie była już taka fajna”.

Trzecia, pani Abdo, pracowała w weekendy, zastępując wtedy jedną z dwóch pozostałych.

Mieszkały' w Lyle House i nas pilnowały. Wyglądały bardziej na opiekunki, o których opowiadali ludzie z internatów, ale Liz| mówiła na nie „pielęgniarki”.

Na dole schodów uderzył mnie zapach cytrynowego płynu do czyszczenia, zupełnie jak w domu babci. Nawet; tata nigdy nie czuł się dobrze w nieskazitelnym domu swojej matki, której surowy wzrok wyraźnie mówił, że kieszonkowe na urodziny przepadnie, jeśli uronisz kroplę; coli na białą skórę sofy. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie, żebym odetchnęła z ulgą. Salon równie czyściutki jak u babci — dywan bez jednej plamki, lśniąca politura — miał jednak wygląd znużony i wygodny, wręcz zapraszający, by się zwinąć na sofie w kłębek. Był także pomalowany na jeden z preferowanych w Lyle House kolorów, tutaj: jasnożółty. Na granatowej sofie i dwóch bujanych fotelach leżały poduszki. W rogu cykał stary dziadkowy zegar. W rogach stołu wazoniki ze stokrotkami i żonkilami. Pokój jasny i wesoły. Tak naprawdę, aż za jasny i wesoły, jak ten bed and breakfast pod Syrakuzami, gdzie zatrzymałyśmy się z Lauren poprzedniej jesieni.. Właściciele tak rozpaczliwie chcieli stworzyć intymną atmosferę że czułyśmy się jak na scenie, a nie w domu. Podobnie było tutaj: biznes, który starał się przekonać, że nie chodzi o żadne pieniądze, a tylko o to, aby poczuć się jak u siebie. Aby zapomnieć, że to miejsce dla świrów.

Liz zatrzymała mnie pod drzwiami do jadalni, bym mogła zajrzeć do środka.

Po jednej stronie stołu siedziała wysoka, ciemnowłosa dziewczyna.

— To jest Tori. Victoria, ale woli Tori. Moja najbliższa przyjaciółka. Humorzysta, ale zdaje się, że właśnie dla-tego tutaj wylądowała. Ja uważam, że jest OK. — Wskazała brodą drugą osobę przy stole, ładną dziewczynę o miedzianej skórze i długich, ciemnych lokach. — Rachele, Rae. Ma jakiś problem z ogniem. Przyjrzałam się Rachele. Problem z ogniem? Co to Klaczy? Podpalaczka? A ja myślałam, że tu jednak będzie bezpiecznie.

A co z chłopakami? Czy któryś z nich także był niebezpieczny?

Pomasowałam się po brzuchu.

— Widzę, że ktoś jest głodny — zaświergotał głos za nami.

Obejrzałam się i zobaczyłam panią Talbot wychodzącą z drzwi — jak uznałam — kuchennych z dzbankiem mleka w ręku.

— Chodź, Chloe. Przedstawię cię.

Przed śniadaniem pani Van Dop dała nam pastylki i pilnowała, czy je połykamy. Okropna sytuacja: każda bez słowa wyciągała rękę, popijała pigułkę wodą i wracała do rozmowy.

Kiedy przyszła moja kolej, pani Van Dop powiedziała, że lekarz wszystko mi potem wyjaśni, a na razie mam zad żyć i już. Tak też zrobiłam.

Po jedzeniu poszłyśmy na górę, żeby się przebrać. Przodem szła Rae, za nią Liz i Tori, a ja na końcu.

— Rachele? — powiedziała Tori.

Plecy Rachele zeszywniały, ale się nie odwróciła. 1

— Tak, Victorio?

Tori przeskoczyła dwa dzielące je stopnie.

— Zrobiłaś pranie, prawda? Teraz twoja kolej, a ja chcę włożyć tę nową koszulkę od mamy.

Teraz Rae powoli się odwróciła.

— Pani T. powiedziała, że mogę to zrobić dzisiaj, bo musimy poczekać, aż... — spojrzała na mnie i obdarzyła leciutkim, przepraszającym uśmiechem — ...aż Chloe się urządzi,

— Więc nie wypraśś.

— To właśnie powiedziałam.

— Ale ja chcę...

— Wiem, koszulkę. Słyszałam. Więc ją włoż. Jest nowiutka.

— Tak, ale wszyscy ją przymierzali. To wstrętne. Rae podniosła ręce w geście poddania się i zniknęła

w korytarzu. Tori zerknęła na mnie ze złością przez ramię! jakby to była moja wina. Gdy się odwróciła, coś mignęło; między nami, zatoczyłam się i musiałam chwycić się poręczy.

Tori wykrzywiła się.

— Wyluzuj, przecież cię nie uderzę.

Nad jej barkiem pojawiła się ręka z palcami wijącymi się jak robaki.

— Chloe? — odezwała się Liz.

-Jjja... — Oderwałam wzrok od upiornej ręki. — ttttttyyyllllkooo się pppotknęłam.

— Posłuchaj mnie, złotko — usłyszałam męska szept I Liz zeszała między nas i wzięła mnie za ramię.

— Wszystko w porządku? Jesteś blada jak ściana.

— Wwwwydddddawało mi się, żżże coś ssssłyszę.

— Czemu ona tak gada? — spytała Tori.

— Jąka się po prostu. Zupełnie jak mój brat.

— Ale Liz, twój brat ma pięć lat Dzieci często się jąkają, ale nie nastolatki. — Popatrzyła na mnie z góry.

jesteś spowolniona?

— Co takiego?

— No wiesz, albo jedziesz dłuugim autobusem... rozłożyła ręce, a potem znowu je zetknęła

— .. albo krótkim.

— Tori, tak nie... — wybuchła Liz, ale tamta nie dała li) dokończyć.

— Gada jak małe dziecko, wygląda jak dziewczynka, więc...

— Mam zaburzenia mowy — powiedziałam, tak sta-rannie akcentując słowa, jakby to ona była zapóźniona. —

I pracuję nad tym, żeby się ich pozbyć.

— I świetnie ci idzie! — zaświergotała Liz. — Powiedziałaś całe jedno zdanie i w ogóle się nie zająknęłaś.

— Dziewczęta? — Pani Talbot wyjrzała zza drzwi na parterze. — Dobrze wiecie, że nie możecie dokazywać

na schodach, któraś może sobie zrobić krzywdę. Lekcje zaczynają się za dziesięć minut.

Chloe, ciągle jeszcze nie dostaliśmy ocen od twoich nauczycieli, więc na razie nie będziesz miała lekcji. Kiedy się przebierzesz, omówimy plan twoich zajęć.

W Lyle House rozkład zajęć odgrywał taką rolę, jak dyscyplina na obozie wojskowym.

Wstawaliśmy o wpół do ósmej. Najedzeni, umyć i ubrani w klasie byliśmy o dziewiątej, gdzie każdy wykonywał swoją pracę zaleconą przez nauczycieli, których nadzorowała pani Wang. O dziesiątej trzydzieści drugie śniadanie, rzecz jasna, bardzo pożywne. Znowu lekcje.

W południe przerwa na obiad. Po nim zajęcia od pierwszej do wpół do piątej z dwudziestominutową przerwą o drugiej trzydzieści. W trakcie lekcji każdy z nas miał — o zmiennej porze — sesję terapeutyczną z doktor Gili (pierwszą miałam tego dnia po obiedzie).

Od czwartej trzydzieści do szóstej mieliśmy czas wolny, ale wolny tylko formalnie, gdyż właśnie wtedy trzeba było wykonać prace porządkowe, których lista była całkiem długa.

Ponadto trzeba było każdego dnia znaleźć trzydzieści minut na ćwiczenia fizyczne. Po kolacji udawaliśmy się do łóżek o dziewiątej, a o dziesiątej gaszono światła.

Pożywne posiłki? Zajęcia terapeutyczne? Prace porządkowe? Obowiązkowe ćwiczenia? O dziewiątej w łóżku?

Nieźle wyglądał ten obóz wojskowy.

Nie pasowałam tutaj. Zupełnie.

W trakcie naszej rozmowy telefon oderwał panią Talbot, która przez ramię zawołała, że wróci, żeby dać mi wykaz codziennych obowiązków. Super.

Siedziałam w saloniku i usiłowałam zastanowić się, ale wysilona pogodność była jak rażące światło, które nie pozwala się skupić. Kilka dni pośród żółtych ścian i stokrotek, a stanę się radosną zombi jak Liz.

Poczułam ukłucie wstydu. Liz była miła, wystąpiła w mojej obronie. Jeśli jej świr polegał na wesołości, nie był najgorszy, w każdym razie z pewnością lepszy niż widzenie popalonych ludzi.

Pomasowałam kark i zamknęłam oczy.

Lyle House nie był aż taki zły. Znacznie lepszy od domu bez klamek i z korytarzami pełnymi prawdziwych Zombi, pacjentów tak zamulonych, że nie myśleli o ubraniu czy kąpieli. Może najbardziej męczyła mnie iluzja domowej atmosfery. Kto wie, czy nie lepiej bym się poczuła między wstrętnymi kozetkami, białymi ścianami i kratami na oknach, bo wtedy nie byłoby żadnych fałszywych obietnic. Ale z faktu, że nie widziałam krat na oknach, nie wynikało, iż to dom tak otwarty, jak sugerował. To niemożliwe.

Podeszłam do frontowego okna. Dzień słoneczny, a ono zamknięte. Był jakiś otwór, przez który pewnie unosiło się zapadkę. Na zewnątrz dużo drzew, spokojna ulica, inne stare domy na dużych działkach. Żadnych płotów pod napięciem, żadnych napisów LYLE HOUSE DLA NIELETNICH ŚWIRÓW. Wszystko całkiem spoko, ale przypuszczałam, że gdybym chwyciła krzesło i wybiła szybę, rozległby się alarm.

To gdzie on jest?

Wyszłam do holu, spojrzałam na frontowe drzwi i zobaczyłam mrugające nad nimi światełko. Nawet nie starali się go ukryć, bo miał przypominać: wszystko wygląda jak W normalnym domu, ale nie staraj się wychodzić frontowymi drzwiami.

A co z tylnymi?

Zawróciłam do jadalni i wyjrzałam przez okno na spory dziedziniec, także z dużą ilością drzew. Była komórka, leżaki, rabatki. Piłka na jednym z leżaków i kosz na słupie na cementowym placu sugerowały, że wolno nam było wychodzić, najpewniej na owe „pół godziny wychowania fizycznego”. Też monitorowali? Nie mogłam dojrzeć żadnych kamer, ale starczyło okien, żeby pielęgniarki miały na oku każdego, kto znalazł się na podwórzu. No a do tego płot na półtora metra.

— Kombinujesz, jak się stąd wydostać? Odwróciłam się; pani Van Dop. W oczach miała jakby

iskierki rozbawienia, ale reszta twarzy była poważna.

— Nnnnie. Tylko tak się rozglądam. Aha, jak się ubierałam, zauważyłam, że nie mam wisiorka. Może zostawiłam go w szpitalu i chciałabym być pewna, że wróci do mnie. Jest dla mnie bardzo ważny.

— Dam znać twojemu ojcu, ale na czas pobytu tutaj wisiorek będzie musiał poczekać. Nie chcemy u naszych dziewcząt żadnych ozdób. Co zaś do rozglądania się...

Chciała zatrzeć jakoś wrażenie, jakie wywarły na mnie jej słowa, ale się nie udało.

Odciągnęła od stołu dwa krzesła i wskazała jedno z nich. Usiadłam.

— Na pewno spostrzegłaś system alarmowy przy drzwiach wejściowych.

— Jjjja wccale nnnnie...

— Nie chcesz uciekać, oczywiście. — Wargi drgnęły w leciutkim uśmiechu. — Większość naszych lokatorów to nie są młodzi ludzie, którzy uciekają z domu, no może tylko wtedy, gdy chcą na siebie zwrócić uwagę. Są dostatecznie rozgarnięci, by wiedzieć, że na zewnątrz może być tylko gorzej. A tutaj nie jest tak źle. Na pewno nie jest to Disneyland, ale także nie więzienie. Jeśli mieliśmy jakieś próby ucieczek, to tylko dlatego, że ktoś chciał się zobaczyć z przyjaciółmi. Nic poważnego, ale rodzice oczekują od nas uwagi. Chociaż więc robimy, co możemy, aby stworzyć domowy nastrój, to już na samym początku trzeba wyraźnie pokazać granice. — Czekala na odpowiedź, więc kiwnęłam głową. — Okna zaopatrzone są w alarm, podobnie jak frontowe drzwi. Możecie wychodzić tylko na tylny dziedziniec, gdzie nie ma

bramy. Ponieważ jest alarm, przed wyjściem na zewnątrz musisz nas poinformować, żebyśmy go wyłączyły, ale także, przyznaję, mogły cię obserwować. Jeśli będziesz miała jakieś wątpliwości, co ci wolno, a czego nie, zwróć się do mnie. Nie chcę niczego owijać w bawełnę, Chloe. Uważam, że szczerść to pierwszy krok do zaufania, a to ma kluczowe znaczenie w takim miejscu jak nasze.

I znowu przenikliwe, badawcze spojrzenie; chciała być pewna, że zrozumiałam to, co znalazło się między wierszami: szczerść musi być obustronna, więc i mnie obowiązuje. Kiwnęłam głową.

Rozdział szósty

Pani Talbot posadziła mnie do skrobania marchewki na obiad. Nie śmiałam powiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu tego nie robiłam. Najpierw zacięłam się w kciuk, ale potem szło mi już dobrze.

Podczas skrobania moje myśli zaczęły wędrować... po miejscach, których wolałabym nie odwiedzać, więc sięgnęłam po najlepszą w moim przypadku obronę: zamienić wszystko w film.

Tych kilka ostatnich dni z ich traumatycznymi przeżyciami układało się w najlepszy z możliwych scenariusz. Ale na jaki gatunek się zdecydować? Normalny horror czy może psychologiczny dreszczowiec? A może kombinacja gatunków, która zaskoczy wi...

— Już obieranie za karę? — rozległ się szept. — A co przeskrobałaś?

Tym razem, kiedy się obróciłam, zobaczyłam nie bujającą w powietrzu dłoń, ale całe ciało. Chłopak, może rok ode mnie starszy, wyższy o głowę i szczuplejszy, z wystającymi kośćmi policzkowymi i włosami ciemnoblonde posklejanymi w krótkie brudne kosmyki. W jego brązowych oczach o kształcie migdałów igrały rozbawione ogniki.

— To pewnie ty jesteś Chloe.

Wyciągnął rękę. Wzdrygnęłam się, marchewka wyskoczyła mi z dłoni i odbiła się od jego ramienia. Prawdziwego ramienia. Wyrastającego z prawdziwego chłopaka.

— Jjja...

Położył palec na ustach i ruchem głowy wskazał drzwi jadalni, za którymi pani Talbot mówiła coś do Liz.

— Nie wolno mi tutaj być — oznajmił szeptem. — A w ogóle to jestem Simon.

Nagle uświadomiłam sobie, że stoi między mną a wyjściem. Uśmiechał się przyjaźnie i był zdecydowanie przystojny, ale to nie uroda się liczyła w przypadku chłopaka zamkniętego w ośrodku terapii grupowej. Wycofał się do spiżarni, gestem ręki każąc mi zaczekać; słyszałam, jak buszuje po półkach. Kiedy zajrzałam do środka, zdejmował właśnie pudełko krakersów. Akcja w kuchni? Nie mogłam powstrzymać uśmiechu; czy to terapia grupowa, czy obóz wakacyjny, chłopacy i ich żołądki zawsze byli tacy sami. Wyciągnął zamknięty rulon krakersów.

— Tamten drugi jest otwarty — szepnęłam.

— Jasne, ale on będzie chciał cały. Co, bro? Patrzył gdzieś nad moim ramieniem.

Odwróciłam się

i ledwie zdusiłam okrzyk. Chłopak stojący za mną miał co najmniej metr osiemdziesiąt, a bary szerokie jak drzwi. Rozmiary dorosłego, ale nikt by go za takiego nie uznał. Jego twarz mogła wystąpić na reklamie kremu przeciw krostom w fazie „przed”. Długie, skołtunione, ciemne włosy zwisały mu na oczy.

— Nie... — Przełknęłam ślinę. — Nie widziałam cię tutaj.

Sięgnął nade mną i wziął krakersy od Simona. Kiedy chciał się wycofać, Simon chwycił go za rąbek koszuli.

— Ciągłe trzeba go uczyć dobrych manier. Derek to Chloe, Chloe, to mój brat Derek.

— Brat?

— Jasne — zadudnił głos Dereka. — Bliźniak.

— Przyrodni brat — wyjaśnił Simon. — No więc chciałem właśnie powiedzieć Chloe...

— Tu już wszystko? — spytał Derek.

Simon dał mu znak ręką, żeby sobie poszedł, a sam przewrócił oczami.

— Przepraszam. W każdym razie chciałem powiedzieć: witaj w...

— Simon? — W kuchni rozległ się głos Tori. — Tak mi się wydawało, że cię słyszę. —
Chwyciła ręką za framugę spiżarni. — Ty i Derek ciągle obrabiacie...

Spostrzegła mnie i oczy jej się zwęziły.

— Tori? — ostrzegawczo powiedział Simon.

Jej mina była mieszaniną wzburzenia i szyderstwa.

— Co?

Wskazał palcem drzwi jadalni.

— Ciii!

Szeptem zaczęła przeproszać, a wtedy się wymknęłam.

Kiedy skończyłam z marchewką, pani Talbot powiedziała, że mam wolne do obiadu, i zaprowadziła mnie do pokoju medialnego. Jeśli oczekiwałam stereofonicznego telewizora z wielkim ekranem i supernowoczesnego komputera, to czekało mnie rozczarowanie. Telewizor dwadzieścia jeden cali, tani komplet DVD/VCR, stara konsola Xbox i jeszcze starszy komputer. Wystarczył rzut oka na kolekcję filmową, żeby się zorientować, że nie będę tu wiele przebywać... no, chyba żeby mnie nawiedziła nagła tęsknota za bliźmaczkami Olsen. Jedyny film, który nie miał oznaczenia „b.o”, to *Jurassic Park*; na kasecie była nalepka: „Prosić o pozwolenie”, zupełnie jakbym miała pokazywać szkolną legitymację, aby dowiedzieć, że mam więcej niż trzynaście lat.

Włączyłam komputer; pięć minut ładował system operacyjny. Windows 98. Potrzebowałam następnych pięciu minut, żeby sobie przypomnieć, jak obsługiwać Windows. W szkole mieliśmy Maki, co wykorzystałam jako podstawowy argument, żeby nakłonić ojca do kupna laptopa Apple, z najnowszym programem edycji filmów.

Rozejrzałam się za wyszukiwarką; miałam nadzieję na Firefoksa; był tylko marny, stary Internet Explorer. Wstukałam URL i wstrzymałam oddech, obawiając się powiadomienia: „Odmowa dostępu do Internetu”. Ale wyskoczyła strona. Więc jednak nie byliśmy tak odcięci od świata zewnętrznego, jak się obawiałam.

Przejrzałam ulubione strony, aż wreszcie uspokoiłam się na tyle, żeby wejść na swoją pocztę przychodzącą. Trochę czasu posiedziałam na Weekend Box Office, aż wreszcie wklepałam URL, żeby wejść na swoje konto w MSN.

Przeglądarka zawiesiła się na kilka minut, a potem wyrzuciła: „Nie można wyświetlić strony”. Spróbowałam Hotmail. Z tym samym efektem.

— A, tu jesteś, Chloe.

Odwróciłam się i zobaczyłam panią Talbot.

— Chciałam... — machnęłam ręką w kierunku ekranu — ...chciałam obejrzeć swoją pocztę, ale ciągle mi wyskakuje to.

Podeszła, zerknęła na monitor i westchnęła.

— To Net Nanny czy jak się ten program nazywa. Obawiam się, że nie tylko blokuje strony Web. Wysłać i otrzymywać listy możesz jedynie przez nasze konto. Do tego musisz wykorzystać program, który przyszedł z komputerem, ale tylko Van Dop zna hasło. Wiem, że to nieprzyjemne, ale mieliśmy kłopot w zeszłym roku z chłopakiem, który wchodził na nieodpowiednie strony, i kiedy dowiedziała się rada nadzorcza... — Pokręciła głową. — Wiem, że w ten sposób karzemy wszystkich z powodu jednego zgniłego jabłka, ale co poradzić. Czas na obiad.

Ostatniego z chłopaków, Petera, poznałam podczas obiadu. Powiedział „cześć”, spytał, jak leci, a w trakcie jedzenia skoncentrował się na swojej konsoli PSP. Jak wszystko inne w Lyie House, wyglądało to całkiem normalnie. Aż za normalnie. Wystarczyło, by ktoś się ruszył, a ja sztywniałam, obawiając się, że zaraz zacznę mówić jak nawiedzony albo skarżyć się na łażące po talerzu robaki. Tymczasem nic takiego się nie zdarzyło.

Jedzenie było całkiem smaczne. Zapiekanka z warzyw i mięsa. Zdrowa, zapewne, jak mleko i pszenne bułeczki, które znalazły się do tego na stole. Na deser obiecano nam galaretkę. No proszę.

Klaksony i pisk opon z gry Petera stanowiły główny podkład dźwiękowy. Rae nie było, Tori i Liz rozmawiały, ale za cicho, żebym mogła się włączyć. Derek był zbyt zajęty pochłanianiem jedzenia, aby miał czas na pogawędkę.

W efekcie na Simona spadły obowiązki gospodarza. Spytał, z jakiej jestem dzielnicy. Kiedy powiedziałam, że nigdzie długo nie zagrzałam miejsca, odrzekł, że także oni — on i Derek — wiele się przenosili. Zaczęliśmy porównywać najgorsze filmy, nagle wcięła się Tori i przez dobre dwie minuty opowiadała o jakimś horrorze, który kiedyś widziała, a tak ją przestraszył, że z sypialni wylądowała w piwnicy, po czym Simon spytał, w której jestem klasie i w jakiej szkole.

Wiedziałam, że to tylko z grzeczności- — żeby porozmawiać z nową — ale gdyby Tori występowała w komiksie, z uszu puściłyby się jej kłęby dymu. Znałam takie dziewczyny. Nie ruszaj tego, co moje, czy chodzi o szczotkę do włosów, przyjaciółkę czy chłopaka.

— Szkoła artystyczna! — wykrzyknęła z egzaltacją, — Ale jazda! Dawaj, Chloe, co wy tutaj robicie? Fotografujecie duchy? Chodźcie po ogrodzie z lirą pod pachą i wieńcem na głowie?

— Kawałek mięsa utknął mi w gardle, a ona popatrzyła sarnim wzrokiem na Simona. — Chloe wam mówiła, dlaczego u nas wylądowała? Widzi umarlaków.

Peter oderwał się od swojej gry,

— Naprawdę? Cool!

Kiedy podniosłam wzrok, widelec Dereka zatrzymał się w pół drogi do ust, zielone oczy wpatrzyły się we mnie zza zasłony włosów, a wielkie wargi wydęły się, jakby chciał powiedzieć: „Co za świr twierdzi, że ona zwidzi duchy?”.

— To nie tak. Jjja...

— Znowu zaczyna — powiedziała Tcori. — Liz, klepnij ją w plecy, może ją zrestartujesz.

Simon spojrzał na nią ostro.

— Nie bądź taką suką, Tori!

Zamarła z rozchylonymi wargami; ładny kadr — naraz upokorzenie i strach.

— Nic do niej nie mam — wykrztusiła wreszcie. — Jak mówi Peter, to może być cool.

— Tori! — krzyknęła Liz i cisnęła widelec.

— No i się zaczyna — mruknął Derrek.

Liz ze łzami w oczach gwałtownie odsunęła krzesło.

Tori znowu zaczęła pospiesznie przeproszać. Simonowi udało się chwycić szklankę Liz, zanim ta zdążyła nią cisnąć. Peter powrócił do gry. Derek skorzystał z zamieszania i wykończył zapiekankę.

Kuchenne drzwi otworzyły się na oścież i stanęła w nich pani Talbot, ale jej głos zatonął w ogólnym zgiełku. W drugich drzwiach ukazała się Rae, trzymając pod pachą kosz z brudami.

— Pytam ostatni raz! — krzyknęła. — Jeszcze coś?

Nikt inny jej nie zauważył, a tym bardziej nie usłyszał. Rozejrzałam się dookoła i zorientowałam, że nikt nie spostrzeże, jak się zmyję. Tak też zrobiłam.

Wiedzieli. Wszyscy wiedzieli.

Mam świra. Wariatka, która widzi duchy. Moje miejsce było tutaj.

Obiad przewracał mi się w żołądku. Pobiegłam na górę, z utęsknieniem myśląc o łóżku, mimo jego chemicznego zapachu wanilii. Opuszczę żaluzje, skulę się pod kołdrą z moim iPodem, może wtedy zapomnę o...

— Co się stało, Chloe?

Dwa stopnie przed podestem odwróciłam się i zobaczyłam w dole panią Van Dop.

— Chciałam... Chłamałam się tylko na chwilę położyć. Strasznie rozboleła mnie głowa i...

— Chodź, dam ci tylenol.

— Ale jestem trochę zmęczona. Nie mam dzisiaj lekcji, więc myślałam...

— Zejdź na doi, Chloe.

Poczekaj, aż znajdę się koło niej, i powiedziała:

— W Lyle House sypialnie służą do spania, jak wskazuje sama nazwa.

— Aleja...

— Rozumiem, że pierwszego dnia możesz być trochę zmęczona i przytłoczona, ale izolacja jest gorszym rozwiązaniem niż aktywność i interakcje. Rae ma nastawić pranie, zanim zaczną się popołudniowe lekcje. Skoro skończyłaś obiad, pomóż jej.

Zebrałam się w sobie i otworzyłam drzwi do piwnicy, spodziewając się skrzypiących stopni, powoli znikających w mroku, i wilgotnych ścian, a więc miejsca z tych, których nienawidziłam. Tymczasem zobaczyłam gładkie, jasno oświetlone kamienne schody, ściany pomalowane na jasną zieleń z kwiecistym szlaczkiem. Tym razem pogodna wesołość bardzo mi się spodobała.

Pralnia miała posadzkę, stała w niej stara leżanka, pralka, suszarka, a także kilka szafek i regałów. Żadnego syndromu „starej piwnicy”, zero dreszczy.

Pralka chodziła, ale nigdzie nie było Rae. Rozejrzałam się dokoła, zauważyłam inne, zamknięte drzwi, ale kiedy do nich podeszłam, poczułam ostry zapach.

Dym?

Jeśli Rae tutaj paliła, nie chciałam być tą, która ją na tym przyłapie. Odwróciłam się, żeby wyjść, i wtedy zobaczyłam Rae wciśniętą między dwoma regałami.

Jej usta ułożyły się w kształt przekleństwa, kiedy potrząsnęła ręką, gasząc zapałkę.

Rozejrzałam się za papierosem, ale nie dojrzałam żadnego. Nic, tylko zwęglona zapałka.

I wtedy przypomniał mi się głos Liz: „Ma jakiś problem z ogniem”.

Pewnie zdradziłam to miną, bo Rae zagroziła mi drogę do drzwi, podnosząc do góry dłoń.

— Nie, nie, nic z tych rzeczy. Nic nie chciałam zrobić. Ja... — szukała odpowiedniego słowa

— .. ja nie podpalam, bo wtedy nie pozwoliliby mi tu zostać. Możesz spytać wszystkich. Ja po prostu lubię ogień.

— Aha.

Dostrzegła, że wpatruję się w pudełko zapałek, i schowała je.

— Zauważyłam, że nie byłaś na obiedzie. Przynieść ci coś?

Twarz jej pojaśniała.

— Dzięki, ale przed lekcjami skroję jakieś jabłko. Wykorzystuję każdą okazję, żeby tylko nie jeść z Królową Wiktoria. Sama widziałaś, jaka ona jest. U mnie przy-chrzanią się do jedzenia. Wystarczy, że wezmę dokładkę albo zjem deser, i zaraz się wcina. — Musiałam mieć niewyraźną minę, bo machnęła ręką wzdłuż ciała. — Przydałoby mi się zrzucić parę kilo, ale ona mi niepotrzebna jako dietetyczka. — Przynęła się do stosu nieposortowanego prania. — Moja rada? Trzymać się od niej z daleka. Jest jak te potwory, które widziałam w starym filmie science fiction, wampiry z kosmosu, które nie tylko wypijają krew, ale wysysają z ciebie całą energię.

— *Sila witalna*. Tobe Hooper. Psychowampiry. Uśmiechnęła się, pokazując nadłamany kieł.

— Psychowampiry. Cool, muszę to zapamiętać. Wcześniej myślałam, że nie pasuję tutaj, bo nie czuję

się wariatką, ale chyba nikt z nich się tak nie czuł. Może z chorobą umysłową jest jak z jąkaniem: przez całe życie starałam się przekonać ludzi, że jeśli się jąkam, nie oznacza to wcale, że także coś innego jest ze mną nie w porządku. Miałam po prostu problem, z którym trzeba powalczyć.

Na przykład widziałam ludzi, których inni nie widzieli.

Ktoś inny mógł mieć kłopot z ogniem. Z czego nie wynika, że jest się schizem albo kimś takim.

Im szybciej pogodzę się z tym wszystkim, tym lepiej się poczuję w Lyle House. Tym lepiej się poczuję... i tym szybciej stąd wyjdę.

Spojrzałam na górę prania.

— Mogę ci pomóc?

Pokazała mi, co mam robić, gdyż była to kolejna rzecz, której nigdy nie robiłam. Nawet na obozie ktoś to za nas załatwiał.

Pracowałam kilka minut, aż wreszcie spytała:

— Myślisz, że to ma sens?

— Co?

— Zamykać kogoś w takim miejscu tylko dlatego, że mu się podoba ogień.

— Jeśli tylko to...

— No nie tylko, ale reszta to błahostka w zestawieniu z ogniem. Nic poważnego. Nie kaleczę siebie ani nikogo innego.

Wróciła do sortowania.

— Lubisz mangę? — spytała po jakiejś minucie. — Anime?

— Anime są cool. Ja się nimi nie fascynuję, ale bardzo lubię japońskie filmy, animowane i nie.

— A ja się bardzo fascynuję. Oglądam filmy, czytam książki, siedzę na czacie, takie rzeczy. Ale moja znajoma jest w tym na maksa. Cały czas nic tylko książki i DVD. Może z pamięci walić dialogi. — Poszukała mojego wzroku. — I jak myślisz, nadaje się tutaj czy nie?

— Nie. Większość ludzi tak w czymś siedzi, nie? Ja na przykład tak mam z fumami. Mogę ci powiedzieć, kto wyreżyserował sci-fi nakręcone, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie.

— Ale przecież nikt nie powie z tego powodu, że jesteś wariatką. Napalona jesteś na coś, jak... — wyjęła z kieszeni zapalniczki i potrząsnęła nią — ... ja na ogień.

Skrzypnęły drzwi na szczycie schodów.

— Dziewczęta? — rozległ się głos pani Talbot. — Ciągle tam jesteście?

Zaczęła schodzić, zanim zdążyłyśmy odpowiedzieć. Za rogiem pojawił się jej cień, wyrwałam więc Rae zapalniczki z dłoni i zawinęłam w koszulę, którą właśnie składałam.

— Rae, lekcje się zaczynają. A ty, Chloe...

— Skończę tutaj i idę na górę.

Pani Talbot zawróciła. Oddałam Rae zapalniczki. Bezgłośnie podziękowała i poszła za pielęgniarką. Zostałam w piwnicy sama.

Rozdział siódmy

Rzuciłam parę różowych majtek oznaczonych „Liz” na kupkę i znieruchomiałam. Czy prałyśmy też bieliznę chłopaków? Miałam nadzieję, że nie. Przerzuciłam stertę, znalazłam tylko rzeczy Rae, Liz i Tori i odetchnęłam z ulgą.

— Posłuchaj...

Męski głos nad moją głową. Zesztywniałam, ale zmusiłam się, żeby dalej sortować. Nikogo nie ma. A nawet jeśli jest, to nie naprawdę. Tak właśnie muszę postępować. A nie podskakiwać jak kot przypalony pogrzebaczem. Nie dać się. Słyszysz głosy, widzisz postacie, ale je ignoruj.

— ...Podejdz tutaj...

Głos rozchodził się po całym pokoju. Uniosłam czerwone koronkowe stringi Tori i pomyślałam o mojej dziecięcej bawełnianej bieliźnie.

— ...Tutaj...

Usiłowałam się skupić na tym, jak zdobyć lepszą bieliznę, zanim ktoś inny dostanie moją do prania, ale na przekór wszystkim wysiłkom ręce zaczęły mi drżeć. Tylko jedno zerknięcie, jedno jedyne...

Omiotłam wzrokiem pokój. Nikogo. Westchnęłam i wróciłam do sortowania

— .. Drzwi... Te zamknięte...

Spojrzałam na zamknięte drzwi, te, które zauważyłam wcześniej. Najlepszy dowód, że to moja rozbrykana wyobraźnia.

„Po co ci jakiś dowód? Jakiego jeszcze trzeba?”

Ekstra. Dwa głosy do zignorowania.

— .. Otwórz drzwi... Coś... ci pokażę...

No i proszę! Klasyczna scena filmowa: „Zajrzyj za zamknięte drzwi, panienko!”.

Roześmiałam się, ale chrypliwy głos zamienił się w końcu w pisk.

Trzymaj się. Albo będziesz twarda, albo nigdy ci nie odpuszczą.

Wzrok sam pomknął ku drzwiom. Wyglądały na normalny schowek. Jeśli naprawdę wierzyłam, że ten głos jest tylko w mojej głowie, to dlaczego miałabym ich nie otwierać? Ruszyłam ku drzwiom, zmuszając się, by stawiać krok za krokiem; wiedziałam, że jeśli przystanę, strach sparaliżuje mnie do reszty.

— ... Dobrze... Chodź...

Złapałam za okrągłą klamkę, poczułam zimny metal.

— ...Otwórz...

Powoli przekreśliłam: ćwierć obrotu i opór. Zachichotałam.

— Zamknięte.

Mój głos rozszedł się echem po pralni. Raz jeszcze nacisnęłam, potem mocno szarpnęłam. Drzwi nie ustąpiły.

— Znajdź klucz... Otwórz... Przycisnęłam palce do skroni.

— Drzwi są zamknięte, a ja idę sobie na górę — powiedziałam na głos.

Odwróciłam się, a wpadłszy na górę mięsa, po raz drugi tego dnia krzyknęłam jak dziewczynka. Kiedy spojrzałam w górę, zobaczyłam tę samą twarz, która poprzednio mnie wystraszyła. Derek.

— Z kim rozmawiałeś? — spytał.

— Sama ze sobą.

— Ta, jasne.

— A teraz muszę już iść.

Nawet nie drgnął, a kiedy usiłowałam go wyminąć, zastąpił mi drogę.

— Widziałaś ducha, tak?

Co za ulga, że udało mi się zaśmiać.

— Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale żadne duchy nie istnieją.

— Jasne. — Badawczym spojrzeniem zbadał pralnię niczym gliniarz szukający zbiegłego przestępcy. Potem wpił we mnie wzrok tak przenikliwy, że poczułam go aż w szpiku kości.

— Co widziałaś, Chloe?

— J-jjja n-nnnic n-nnnie...

— Wolniej — przerwał mi zniecierpliwiony. — Jak one wyglądają? Rozmawiają z tobą?

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Tak.

Przygryzłam wargę, a potem wspięłam się na czubki palców. Nachylił się ku mnie.

— Chodzą w białych prześcieradłach z wielkimi dziurami na oczy. I wołają: „Buuu!!!!”. — Spojrzałam na niego ostro. — A teraz zejźdź mi z drogi.

Myślałam, że szyderczo skrzyżuje ręce na piersi i warknie: „Nie nabieraj mnie, dzieciaku”.

A tymczasem wargi drgnęły mu tak, że poczułam mróz na plecach i dopiero po chwili zorientowałam się, że się uśmiecha. Czy raczej: śmieje ze mnie.

Zrobił krok w bok, a ja rzuciłam się ku schodom.

Doktor Gili była niską kobietą z długim nosem gryzonia i wybałuszonymi szczerzymi oczami, które bacznie się w ciebie wpatrywały, jak gdybyś to ty była szcurem, którego każde drgnięcie musi zostać zapisane. Miałam już wcześniej terapeutów. Dwoje po śmierci mamy. Pierwszego nie znosiłam: starszy mężczyzna ze śmierzącym oddechem, który zamykał oczy, kiedy mówiłam, jak gdyby w tym czasie ucinął sobie drzemkę. Poskarżyłam się na niego i wtedy pojawiła się doktor Anna, płomienny rudzielec, kobieta, która żartowała ze mną, przypominała mi mamę i bardzo mi pomogła naprostować moje życie. Po dziesięciu minutach wiedziałam, że doktor Gili lokuje się gdzieś pośrodku. Wydawała się dość miła, słuchała uważnie, ale miejsca na żarty nie było.

Rozmawiałyśmy o tym, jak śpię, czy mam apetyt, co myślę o innych, a przede wszystkim: jak się tutaj czuję. W ostatniej kwestii kłamałam; jeśli chciałam stąd wyjść, nie mogłam się skarżyć, że to nie miejsce dla mnie, że ktoś popełnił straszny błąd.

Dlatego powiedziałam, że tata i ciotka na pewno dobrze zrobili, umieszczając mnie tutaj, a ja uczynię wszystko, co będzie potrzebne, żeby wydobrzeć.

Szczurza twarz doktor Gili odprężyła się.

— To bardzo dojrzała postawa. Cieszę się, że tak uważasz.

Kiwnęłam głową i spróbowałam zachować powagę.

— Powiedz mi, Chloe, czy słyszałaś kiedykolwiek o schizofrenii.

Serce mi znieruchomiało.

— Schi... schizofrenii?

— Tak. Wiesz coś o niej? — Usta mi się otworzyły i zamknęły; umysł nie potrafił wypełnić ich słowami. — Chloe?

— Cz-czczczy to znaczy, że jestem schizem? Zacisnęła wargi.

— Tutaj nie używamy tego słowa, Chloe. W gruncie rzeczy, w ogóle staramy się unikać etykietek, ale diagnoza jest nieodzownym składnikiem terapii. Pacjentka musi wiedzieć, jaki jest jej stan, zrozumieć go i zaakceptować, dopiero potem może zacząć się leczenie.

— A-aaale ja dopiero tu trafiłam. S-ssskąd m-mmmoże pani wiedzieć...

— Nie pamiętasz, że byłaś w szpitalu? Że rozmawiałaś tam z lekarzami? Że robili ci badania?

— I oni powiedzieli, że mam schizofrenię? Pokręciła głową.

— Naukowcy jeszcze nie stworzyli ostatecznej diagnozy schizofrenii, dlatego trudno tu o jakieś jednoznaczne stwierdzenia. Tak czy owak, badania wykluczyły inne możliwości, jak guz mózgu czy narkotyki. Te wyniki w połączeniu z twoimi symptomami sugerują, że schizofrenia to najbardziej prawdopodobna diagnoza.

Wbiłam wzrok w podłogę.

— Pani jest przekonana, że mam schizofrenię.

— Wiesz, co to jest?

Mówiła wolno, jak gdyby właśnie rozpoczynała test na moją inteligencję.

— Widziałam *Piękny umysł*. Wydęła usta.

— To tylko wersja hollywoodzka, Chloe.

— Ale oparta na prawdziwej historii.

— Oparta. — Starannie zaakcentowała to słowo, ale potem jej głos złagodniał. — Wiem z twoich akt, że *interesujesz się filmem*. To bardzo dobrze. Natomiast nie jest dobrze z nich czerpać wiedzę o chorobach psychicznych. Są różne formy i stopnie schizofrenii; twoja jest odmienna od tamtej.

Naprawdę? Widziałam ludzi, których nie było, tak samo jak bohater *Pięknego umysłu*. Doktor Gili ciągnęła:

— i cierpisz na tak zwaną schizofrenię niezróżnicowaną, co znaczy, że występują u ciebie tylko niektóre z podstawowych objawów, a mianowicie halucynacje wizualne i słuchowe.

— A co z paranoją?

— Nic o tym nie świadczy. Nie występują u ciebie zaburzenia behawioralne czy zaburzenia mowy.

— A jąkanie? Pokręciła głową.

— Ono ma inne źródła. Nie masz żadnych innych symptomów oprócz halucynacji.

— Pojawia się później?

— Niekoniecznie. Musimy rzecz jasna uważać, ale bardzo wcześnie się zorientowaliśmy.

Najczęściej diagnozę wydaje się dopiero, kiedy pacjent czy pacjentka dojdą do dwudziestki czy nawet ją przekroczą. To tak jak wczesny etap choroby zakaźnej, gdy szanse jej zahamowania są ogromne.

— I całkowitego wyleczenia.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu bawiła się naszyjnikami, aż w końcu powiedziała:

— Schizofrenia to nie jest grypa, Chloe. Ona nigdy nie mija.

Krew zadudniła mi w uszach i zagłuszyła dalsze jej słowa. Nachyliła się i dotknęła mojego kolana. Przytaknęłam, a ona znowu się wyprostowała.

— Schizofrenia to nie jest wyrok śmierci, natomiast trwa całe życie. Jak astma. Żeby mieć ją pod kontrolą, trzeba zmienić tryb życia, stale zażywać lekarstwa, ale poza tym wszystko może zostać po staremu, tak że nikt nie będzie wiedział o twojej chorobie, chyba że sama to wyznasz. — Poszukała mojego wzroku. — Powiedziałas niedawno, że zrobisz wszystko, żeby wydobrzeć. Wiem, że masz nadzieję na szybką poprawę, ale do tego potrzeba znacznej dojrzałości i wytrwałości. Czy na pewno jesteś na to gotowa, Chloe?

Miałam mnóstwo pytań. Na przykład: czy często zdarza się to tak raptownie, bez żadnego ostrzeżenia? Jednego dnia chodzisz sobie zupełnie normalnie, a następnego masz halucynacje i uciekasz z krzykiem korytarzem, po czym pstryk!, wiadomo, że masz schizofrenię, sprawa zamknięta.

To wszystko zdarzyło się za szybko. Kiedy jednak spojrzałam na patrzącą na mnie wyczekująco doktor Gili, która chciała już przejść do następnej fazy, przestraszyłam się, że jeśli zacznę się wypytywać, zabrzmie to jak odmowa, a wtedy nigdy nie wydam się z Lyle House.

Kiwnęłam głową.

— Chcę wyzdrowieć.

— Dobrze. Możemy zacząć.

Doktor Gili najpierw opowiedziała mi o lekarstwach. Kiedy już zostanie ustalona dawka, nie będą miały żadnych istotnych efektów ubocznych, ale wcześniej mogą mnie chwilowo

nawiedzać halucynacje, depresje i paranoja. Genialnie, kuracja wcale nie będzie lepsza od choroby.

Doktor Gili zapewniła mnie, że po powrocie do domu zażywanie pigułek będzie dla mnie tak normalne jak przyjmowanie środków przeciw astmie.

— Tak właśnie musisz myśleć o schizofrenii, Chloe. Schorzenie, w którym nie ma żadnej twojej winy.

„I którego nie jestem w stanie do końca wykorzenić”.

— Będziesz miała okresy depresji, gniewu, nawet buntu. To naturalne, i zajmiemy się tym podczas naszych sesji. Będą trwały codziennie po godzinie.

— Także terapia grupowa?

— Może przyjdzie taki dzień, że będziesz chciała popробować, jak wyglądają sesje grupowe, wtedy możemy

o tym porozmawiać, ale tutaj, w Lyle House, największą wagę przywiązujemy do prywatności. Najpierw musisz do końca zaakceptować swoją sytuację, zanim będziesz mogła dyskutować o niej z innymi. — Umieściła notes na blacie

I położyła splecione ręce na kolanach. — I to nas prowadzi do najważniejszego tematu dzisiejszej rozmowy. Prywatność. Na pewno zorientowałaś się już, że wszyscy nasi mieszkańcy mają problemy psychiczne. Ale nic więcej nie musicie o sobie wiedzieć. Z nikim poza zainteresowaną osobą nie omawiamy waszych schorzeń, symptomów ani kuracji. Jeśli ktoś będzie domagał się od ciebie szczegółów, masz natychmiast nas o tym informować.

— Oni już wiedzą — bąknęłam.

— Co?

Gniew w jej oczach powiedział mi, że powinnam była trzymać język za zębami. Z poprzednich terapii wiedziałam, że powinnam się dzielić wszystkim, co mnie trapi, ale nie chciałam zaczynać swojego pobytu w Lyle House od kablowania

— N-nnie o schizofrenii. K-kkktoś wiedział, że widzę różne rzeczy. Duchy. Chociaż ja nic nie mówiłam. Nikomu,

— Kto wiedział?

— W-wwwołałabym nie mówić. To nic ważnego. Rozplotła ręce.

— Przeciwnie, to bardzo ważne, Chloe, ale doceniam fakt, że nie chcesz nikogo narazić na kłopoty. Myślę, że wiem, o kogo chodzi. Musiała podsłuchać, jak rozmawialiśmy o twoich halucynacjach, i wyciągnęła z tego swoje wnioski. — Lekceważąco machnęła ręką. —

Duchy, phi. Przepraszam, że do tego doszło, ale mam nadzieję, iż uda się załatwić to dyskretnie.

— Ale...

— Nie dowie się, że ty nam o tym powiedziałaś, ale tej sprawy nie można tak zostawić. —

Poprawiła się na krześle. — Jeszcze raz przepraszam, że spotkało cię to pierwszego dnia.

Młodzi ludzie z natury są ciekawscy, a chociaż bardzo staramy się o zachowanie prywatności, nie zawsze się to udaje na takiej niewielkiej przestrzeni.

— Nic się nie stało. Nikt z tego nie robił sprawy. Pokiwała głową.

— Mamy tutaj bardzo dobrą grupę. Generalnie wszyscy szanują innych i są pełni wyrozumiałości. To bardzo ważne w takim miejscu jak Lyle House. Czeka cię trudna droga i wszyscy będziemy się starać, aby ci ją ułatwić.

Schizol.

Doktor Gili, ile chciała, mogła robić porównania do astmy czy innego schorzenia cielesnego, ale przecież chodziło o coś innego. Zupełnie innego.

Miałam schizofrenię.

Gdybym zobaczyła na ulicy chłopaka na wózku i faceta mówiącego do siebie, któremu otworzyłabym drzwi, a przed którym przesłabym na drugą stronę ulicy?

Doktor Gili powiedziała, że chodzi tylko o to, żebym przyjmowała lekarstwa i nauczyła się panować nad sobą. Jeśli wszystko było takie proste, to czemu widzi się na ulicy tylu ludzi mówiących do siebie? Bezdolnych z szalonymi oczami, którzy wrzeszczą w próżnię? Widzi ludzi, których nie ma. Słyszy głosy, które nie istnieją.

Schizol.

Taki jak ja.

Po sesji z doktor Gili zaszyłam się w pokoju medialnym, aby się zastanowić. Leżałam skulona na sonę, przytulając poduszkę, kiedy wparował Simon.

Nie widząc mnie, przeszedł pokój i wziął ze stołu komputerowego czapkę baseballową.

Pomrukując pod nosem, cisnął ją w górę i złapał w powietrzu.

Wydawał się szczęśliwy.

Jak mógł tutaj być szczęśliwy? Może zadowolony, ale szczęśliwy?

Zakreślił czapką na palcu, a potem naciągnął ją na głowę. Nagle zatrzymał się, ze wzrokiem wbitym w szybę. Nie widziałam jego twarzy, ale znieruchomiał. Gwałtownie poruszył głową, odwrócił się i wtedy mnie zobaczył. Najpierw zdziwienie, potem szeroki uśmiech.

— Siemasz.

— Hej.

Podszedł bliżej, uśmiech zgasł.

— Wszystko w porządku?

„Tak”, chciałam odpowiedzieć, ale nie mogłam tego wykrztusić. Nie było dobrze i chciałam powiedzieć, że nie jest. Chciałam, żeby było w porządku, ale nie było. Tyle że troska, która brzmiała w jego głosie, mogła tylko zmyć uśmiech z warg, ale nie dotarła do oczu. Była w nich obojętność, jak gdyby zmuszał się do grzeczności, bo był miłym chłopakiem i chciał zachować się, jak należy.

— Raczej.

Przekreślił daszek czapki, popatrzył na mnie przeciągle i wzruszył ramionami.

— OK. Chcesz jednej rady? Nie daj się tutaj przyłapać. One traktują to tak, jak pójdzie za dnia do sypialni. Zaraz usłyszysz kazanie na temat obijania się.

— Ja się nie... Uniósł dłonie.

— One tak mówią, nie ja. Ja tylko cię ostrzegam. Możesz nastawić sobie telewizor i udawać, że oglądasz, ale będą najszcześniejsze, jak będziesz się trzymać z nami. Nie jesteśmy tacy źli. Nie bardzo nawet ześwirowani.

Uśmiechnął się tak, że poczułam skurcz żołądka. Usiadłam, starając się wymyślić coś, co go zatrzyma. Nie o doktor Gili. Nie o schizofrenii. O czymkolwiek innym. Simon wydawał się normalny, a ja rozpaczliwie potrzebowałam normalności.

Ale jego wzrok już umknął ku drzwiom. Tak, powinnam się trzymać... ale kogoś innego. Po prostu dawał rady nowej. W drzwiach pociemniało i twarz Simona znowu się rozpromieniła.

— Cześć, bro. Nie martw się, nie zapomniałem o tobie. Rozmawiam sobie tylko z Chloe.

Machnął w moim kierunku, a Derek spojrział na mnie tak beznamiętnie, jakby miał przed sobą mebel.

Powróciła scena z piwnicy; Derek podejrzewa, że rozmawiam z duchami. Czy opowiedział o tym Simonowi? Pewnie tak i niezłe się naśmiali z dużej laski.

— Idziemy na podwórze — powiedział Simon. — Po-kopujemy trochę piłkę. Jak chcesz, możesz iść z nami.

Zaproszenie padło zupełnie lekko, niemal automatycznie, a Simon, nawet nie czekając na moją odpowiedź, przemknął obok Dereka ze słowami:

— Powiem pani Talbot, żeby odblokowała drzwi. Derek się nie ruszył. Patrzył na mnie.

Gapił się na mnie. Jakby widział świra. Schiza.

— Zrób zdjęcie — powiedziałam. — Będziesz miał na dłużej.

Nawet nie mrugnął. Ani też nie drgnął. Po prostu badawczo mnie obserwował, jakbym się w ogóle nie odezwała. Pójdzie sobie, jak będzie chciał. Co w końcu zrobił bez słowa.

Kiedy opuściłam pokój medialny, znalazłam tylko panią Talbot. Inni wrócili po przerwie na lekcje, a mnie wysłała do kuchni, tym razem do obierania ziemniaków.

Zanim zaczęłam, dała mi nową pigułkę. Chciałam spytać, kiedy zacząć działać, ale tym samym przyznałabym się, że ciągle słyszę głosy. Chociaż nic nie widziałam, lyko rano ta ręka, po zażyciu proszków. Więc może w ten sposób działały. Może na tym miała polegać poprawa. I co mam wtedy robić?

Trzymać się. Słyszeć głosy, ale udawać, że ich nie ma. Nauczyć się...

Rozdzierający krzyk wypełnił cały dom.

Podskoczyłam, obieraczka z brzękiem wleciała do zlewu. Serce mi łomotało, a ja nasłuchiwałam, czy ktoś zareaguje. Jeśli nie będzie reakcji, głos jest tylko w mojej głowie.

Proszę bardzo, już się zaczynam uczyć.

— Elizabeth Delaney! Wracaj natychmiast!

Trzaśnięcie drzwi. Odgłos kroków w korytarzu, któremu towarzyszyło chlipanie. Włosy zjeżyły mi się na karku, gdyż przypomniałam sobie dziewczynę płaczącą w szkole. Zmusiłam się jednak, by podejść do drzwi i otworzyć je. Zdążyłam zobaczyć Liz wbiegającą po schodach.

— Dobry masz ubaw?

Podskoczyłam i pochwyciłam gniewne spojrzenie Tori, która pobiegła za przyjaciółką. Z saloniku wyszła na korytarz pani Van Dop.

— Coś podobnego! — zagrzemiał głos z klasy. — Wiedziałam, że w takim miejscu jak to muszę spodziewać się problemów, ale tą dziewczyną powinien się zająć jakiś specjalista.

— Pani Wang! — ostro zareagowała pani Van Dop. — Nie w obecności...

— Cisnęła we mnie ołówkiem. Rzuciła jak włócznią. Centymetr, a straciłabym oko. Krwawię. Od ołówka! A wszystko dlatego, że ośmieliłam się zasugerować, że uczennica dziesiątej klasy powinna znać podstawy algebry.

Pani Van Dop usiłowała ją powstrzymać, ale Wang wbiegła do innego pokoju, skąd dobiegł jej głos:

— Gdzie telefon dyrektora? Składałam wymówienie. Ta dziewczyna jest groźna.

Jakiś cień poruszył się za mną; odwróciłam się i zobaczyłam Dereka. Zanim zamknął za sobą drzwi jadalni, dostrzegłam na stole kalkulator i książki. Przez cały czas musiał tam odrabiać lekcje.

Oczekiwałam jakiejś sarkastycznej uwagi o podglądaniu, ale mruknął tylko "Witaj w wariatkowie" i przemknął do kuchni, żeby skombinować sobie coś do jedzenia.

Rozdział ósmy

Potem zapanował spokój, niczym cisza nie przed burzą, lecz po. Pielęgniarki wstawiły kolację do piecyka i zamknęły się w gabinecie doktor Gili, ostrzegając, że nie wolno im przeszkadzać.

Nikt nie kwestionował wersji pani Wang. Nikt nie usiłował sugerować, że był to przypadek. Nikt nawet nie wydawał się zdziwiony, że Liz omal nie wyklęła nauczycielce oka.

Kiedy nadszedł czas kolacji, pani Talbot podała do stołu, a potem znowu wycofała się do siebie. Pojawiła się Liz, błada i spokojna. Mieliśmy pić tylko mleko, ale Simon skroił dla niej karton soku. Tori nieustannie do niej zagadywała, namawiając do jedzenia. Odzywali się nawet Rae i Peter, jakby chcieli ją rozluźnić, tylko ja i Derek siedzieliśmy w milczeniu.

Po kolacji Tori przypomniała Liz, że to wieczór filmowy, więc mogą przejrzeć DVD. Wybór oddała Liz, ale ta, jakby nie mogąc się zdecydować, popatrzyła po nas bezradnie. Simon coś zaproponował, ale powiedział, że on nie będzie oglądał, gdyż mieli z Derekiem projekt do przygotowania. Liz ostatecznie zdecydowała się na komedię romantyczną. Gdy poszły z Tori poinformować pielęgniarki, Rae oznajmiła, że musi poskładać posortowane pranie.

Powiedziałam, że mogę jej pomóc.

*

Każda z nas wzięła koszyk i poszłyśmy do pokoju, który Rae zajmowała z Tori. Zdaje się, że żadna nie była zadowolona z tej sytuacji. Przysięgłabym, że widziałam na parapecie ślady ołówka, który dzielił go na połówki.

Część Tori była tak czysta, jak moja, kiedy zjawiłam się w Lyle House. Niczego na ścianach. Niczego na łóżku ani na podłodze. Wszędzie pusto, z wyjątkiem dwóch zdjęć w ramkach na toalecie. Na jednym była Tori z rodzicami, na drugim kot syjamski.

Po stronie Rae dość było rzeczy, żeby zapełnić cały pokój. Bluzy z kapturami na oparciu łóżka, podręczniki rozrzucone na stoliku, otwarta kosmetyczka na toalecie, ciuchy zwisające z szuflad. Pokój kogoś, kto nie rozumiał, czemu niby ma coś chować, jeśli jutro będzie z tego korzystał. Na ścianach przymocowano taśmą klejącą zdjęcia.

Rae położyła swój kosz na łóżku Tori i powiedziała: — No dobra, mogłabyś tak bułkę przez bibułkę, ale nie znoszę tego robić, więc spytam wprost. Czy to prawda, że wylądowałaś tutaj, bo widzisz duchy?

Miałam już na ustach słowa: „Nie chcę o tym rozmawiać”, tyle że właśnie chciałam.

Marzyłam o tym, żeby zadzwonić do Kari lub Beth, ale nie byłam pewna, ile wiedzą o całej sprawie i czy będą w stanie zrozumieć. Osoby, przy których najmniej można było się obawiać, że wyśmieją mnie lub będą plotkować, znajdowały się tutaj, a jedna z nich pytała właśnie o moją historię. Więc ją opowiedziałam.

Kiedy skończyłam, Rae na klęczkach znieruchomiała z bluzką w ręku na jakieś pół minuty, zanim się zorientowała, co robi, i starannie ją złożyła.

— Wow — powiedziała.

— Nic dziwnego, że tu wylądowałaś, nie?

— I zaczęło się tuż przed pierwszym okresem? Mo że właśnie dlatego. Byłaś trochę zapóźniona, wszystko się gromadziło, odkładało, no i wreszcie... burum!

— Super-PMS? Roześmiała się.

— Sprawdziłaś to?

— Co?

— Woźnego. — Kiedy zmarszczyłam brwi, ciągnęła: — Gonił cię facet w mundurze woźnego, tak? Był spalony, jakby zginął w jakimś pożarze czy eksplozji. O czymś takim musiałyby być w gazetach. Można sprawdzić w necie.

Nie powiem, że w ogóle nie przyszło mi to do głowy, ale tylko przemknęło niczym golas na meczu futbolowym, zbyt szybki, aby zobaczyć dokładnie.

A jeśli naprawdę widziałam duchy?

W mózgu zapaliły się neonowe ostrzeżenia: „Tu nie wchodzić!”¹¹, ale jakaś głębsza część była tym zafascynowana i bardzo chciała TAM wejść.

Potańczałam skronie.

Duchów nie ma naprawdę. Tym, co widziałam, były halucynacje, a im szybciej to zaakceptuję, tym prędzej stąd wyjdę.

— Byłoby cool, gdybyś miała rację — powiedziałam ostrożnie. — Ale doktor Gili twierdzi, że moje wizje to najwyraźniejsza oznaka choroby umysłowej.

— Ach, etykietki, etykietki. One tutaj to uwielbiają. Nie przepuszczą dziewczynie nawet pierwszego dnia, żeby już jej jakiejś nie przylepić. U mnie to jest piromania. — Nasze oczy się spotkały. — Wiem, wiem. Nie powinnyśmy o tym rozmawiać. Nie można naruszać prywatności. Wciskają nam kit, bo tak naprawdę chodzi im o to, żebyśmy nie dzieliły się opiniami. — Rozłożyła skarpetki i zaczęła układać je w pary. — Nie zgadzasz się ze mną?

— Może z czymś takim jak piromania masz rację. To jest... wiesz, prawie cool. Ale są inne etykietki, o których możemy nie chcieć rozmawiać między sobą.

— Na przykład?

Przez minutę skupiłam się na skarpetkach. Chciałam jej powiedzieć. Tak jak o duchach.

Strasznie się bałam, że ktoś uzna mnie za wariatkę, ale z drugiej strony chciałam usłyszeć, jak ktoś na to zareaguje.

— Mówią, że mam schizofrenię.

Patrzyłam na nią spod oka. Tylko leciutko zmarszczyła brwi.

— Rozdwojenie osobowości?

— Nie. Masz, no wiesz, hyzia. Jej mina się nie zmieniła.

— Widzisz różne rzeczy i inne takie?

Sięgnęłam po gigantyczny T-shirt, ciemny pod pachami. Nie musiałam sprawdzać; ułożyłam na kupce Dereka.

— Są jeszcze inne symptomy, ale ich nie mam.

— Żadnych?

— Podobno. Wyprostowała się.

— Właśnie o to mi chodzi. Coś ci się przydarzy i zaraz przywalają ci etykietkę, nawet jeśli to jest tylko ta jedna sprawa. Zupełnie jakbyś zakasłała, a dowiadujesz się, że masz gruźlicę. Idę o zakład, że są jeszcze inne symptomy piromanii, których u mnie nie ma. — Wpatrzyła się tak intensywnie w czerwoną i niebieską skarpetkę, jakby samym wzrokiem mogła tak je przebarwić, żeby do siebie pasowały. — To co jeszcze występuje przy schizofrenii?

— Doktor Gili nie powiedziała wyraźnie.

— No właśnie.

— Pewnie mogłabym znaleźć w Internecie. Powinnam.

— Powinniśmy. Schizofrenia i piromania. Ja też chciałabym wiedzieć więcej. Żeby się upewnić, kminisz? Szczególnie teraz, gdy widać, co dzieje się z Liz... — Potańczała usta wierzchem dłoni, nadal wpatrując się w niedopasowane skarpetki. — Chyba będziesz miała pokój dla siebie. I to już niedługo.

— Przenoszą ją?

— Raczej tak. Już o tym rozmawiały. To miejsce dla ludzi z problemami, ale wtedy, gdy te nie są duże, a im się polepsza. Kilka tygodni po tym, jak tu trafiłam, przenieśli takiego jednego Bradyego. Nie pogorszyło mu się, nic takiego jak z Liz, po prostu nie chciał wydobrzeć. Nie chciał pogodzić się z tym, że coś z nim jest nie w porządku. Więc musiał zniknąć... To była dla mnie dobra nauczka. Mogą mi się nie podobać ich etykietki i lekarstwa, ale trzymam gębę na kłódkę i stosuję się do reguł, żeby stąd wyjść ich drogą.

— I wrócić do domu.

Chwila ciszy, żadna z nas się nie poruszyła. Potem wyrwała mi z ręki niebieską skarpetkę i pomachała nią przed oczami.

— O-o!

Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że ją trzymam.

Zwinęła niebieską parę, samotną czerwoną skarpetkę wsunęła pod łóżko Tori.

— Załatwione. Czas na film. — Poskładane pranie włożyła do jednego z koszy. —

Zauważyłaś, jak szybko Simon wykręcił się od oglądania? Para lizusów, „zrobię wszystko, żeby się tylko trzymać z daleka od świrów”.

— A mnie Simon wydał się całkiem fajny... Wzięła jeden kosz, drugi zostawiając dla mnie.

— Gra tak samo jak Tori, byłaby z nich świetna para. Derek może być karkiem, ale jest przynajmniej szczerzy. A Simon będzie milutki, kiedy musi być z nami, ale skorzysta z każdej okazji, żeby się tylko ulotnić z braciszkiem. Zachowuje się tak, jakby tu wpadł z wizytą. Jakby nie miał żadnych problemów i wszystko było jedną wielką pomyłką.

— A dlaczego tu jest?

— Możesz mi wierzyć, sama chciałabym wiedzieć. Dlaczego on i dlaczego Derek. Simon nigdy nie chodzi na terapię, ale Derek *czyściej niż* inni. Nikt ich nie odwiedza, ale czasami rozmawiają o swoim ojcu. To znaczy, ojcu Simona. Jak jest taki ekstra, to czemu się tu nie zjawi i ich nie zabierze? I jak to się stało, że dwaj faceci z tej samej rodziny, ale ze sobą niespokrewnieni, mają problemy umysłowe? Z chęcią obejrzałabym ich akta.

Nie będę kłamać, że nie chciałabym się dowiedzieć tego o Simonie. A może i Dereku, chociażby dlatego, że czułam, iż dobrze byłoby mieć na niego jakąś amunicję. *Zupełnie* jednak nie chciałabym, żeby ktoś przeglądał moje papiery, więc nie zamierzałam pomagać Rae w tej sprawie.

— Ale dzisiaj wieczorem nie możemy ryzykować — ciągnęła. — Po tym, co się stało z Liz, będą czujne na maksa. Nie chcę, żeby mnie wywalili za to, że psuję nową.

— A może to mnie wywałą za psucie ciebie. Spojrzała na mnie z ukosa.

— Tak, tak, od razu widać, że niezły z ciebie numer.

Wypchnęła mnie z pokoju i zamknęła za nami drzwi.

Rozdział dziewiąty

Nie przepadam za komediami romantycznymi. Może to zabrzmieć jak oświadczenie faceta, że nie lubi wyścigów samochodowych, ponieważ jednak Rae też kilka razy opadła głowa, więc przypuszczam, że i jej wybór nie przypadł do gustu.

Mnie udało się nie zasnąć, gdyż zajęłam się dekonstrukcją scenariusza, który był tak przewidywalny że całą kasę, odkładaną przez ojca na moje studia, postawiłabym na to, że autor musiał pobierać lekcje u guru scenarzystów, Roberta McKee.

Oglądając jednak durny film i pogryzając do tego prażoną kukurydzę, w końcu się odprężyłam. Rozmowa z Rae pomogła. Wcale nie uważała, że mam świra. Nawet nie wierzyła, że mam schizofrenię.

Po raz pierwszy od mojego kryzysu rzeczy wyglądały nie tak źle. Może moje dawne życie wcale się nie skończyło tam, w klasie. Może przesadnie na to wszystko zareagowałam i trochę wszystko udratyzowałam.

Czy ludzie w szkole wiedzieli, co się ze mną stało? Kilka osób mogło widzieć, jak biegłam korytarzem. Jeszcze więcej pewnie widziało, jak mnie zabierają na noszach. Nic wielkiego. Wrócę za kilka tygodni i większość pewnie nawet nie zauważy, że mnie nie było.

Jutro napiszę e-mail do Kari, że jestem chora, i zobaczę, co ona na to. Pewnie usłyszała właśnie tyle, że mam zakaźną mononukleozę czy coś takiego.

Wyjdę z tego. Cokolwiek myślę o ich diagnozie, nie czas teraz na kłótnie. Będę przyjmować lekarstwa, kłamać, kiedy będzie trzeba, a jak zwolnią mnie z Lyle House, wrócę do dawnego życia.

— Chloe? Chloe?

Głos Liz rozchodził się echem po jaskiniach snu i potrzebowałam kilku minut, by się z nich wydostać. Kiedy otworzyłam oczy, nachylała się nade mną, twarz owiewał mi jej przesycony pastą do zębów oddech, a jej długie włosy przesuwały mi się po policzku. Ręka na ramieniu pozostała nawet wtedy, gdy przestała mną potrząsać.

Uniosłam się na łokciach.

— Co się stało?

— Leżę od kilku godzin i usiłuję wykombinować jakiś sposób, żeby cię o coś poprosić, ale żeby to dziwnie nie zabrzmiało. Ale nie potrafię, nic nie przychodzi mi głowy.

Wyprostowała się, w ciemności połyskiwała jej blada twarz. Rękami chwyciła się za kołnierz koszuli nocnej, jakby się dusiła.

Usiadłam.

— Liz?

— Chcą mnie odesłać. Wszyscy o tym wiedzą i dlatego są dla mnie tacy mili. A ja nie chcę stąd jechać, Chloe. Zamkną mnie gdzieś... — Oddychała pospiesznie, rękami zakryła usta, oczy otworzyła tak szeroko, że wokół dużych źrenic odsłoniły się białka. — Wiem, że jesteś tutaj od niedawna, ale naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

— OK.

— Naprawdę?

Stłumiłam ziewnięcie i spuściłam nogi z łóżka.

— Jeśli tylko mogę coś zrobić...

— Możesz. Dzięki. — Ukłęknęła i wyciągnęła spod łóżka torbę. — Nie wiem, czego wy wszyscy potrzebujecie, ale ja jedną zrobiłam dla siebie w zeszłym roku. Nocowałam wtedy u przyjaciółki, więc zabrałam wszystko, czego potrzebowaliśmy. Jest szklanka, zioła, świeczka... — Zakryła usta dłonią. — Zapałki! Nie mamy zapałek! Zamykają je przed nami z powodu Rae. Można to zrobić bez zapalania świeczki?

— Co? — Roztarłam palcami policzki. Nie brałam żadnych proszków nasennych, ale czułam się tak, jakbym płynęła w morzu wacików. — Co miałybyśmy zrobić, Liz?

— Seans.

Sen się ulotnił; nie byłam pewna, czy nie żartuje, ale przeczył temu wyraz jej twarzy.

Przypomniałam sobie słowa Tori podczas obiadu.

— Ten... poltergeist? — spytałam niepewnie.

Liz rzuciła się do przodu tak gwałtownie, że odskakując z podniesionymi w obronnym geście rękami, zderzyła się ze ścianą. Ale ona tylko ciężko padła na moje łóżko z szeroko otwartymi oczami.

— Tak! Mam poltergeista. To takie oczywiste, a nikt nie widzi, tylko wszyscy powtarzają, że to wszystko ja. Jak mogłabym tak mocno cisnąć ołówkiem? Widział to ktoś? Nie. Wściekłam się na panią Wang, ołówek leci i ją uderza, więc każdy mówi: „Liz go rzuciła”, ale wcale nie. Nigdy bym tak nie zrobiła.

— Więc to... poltergeist?

— Tak! On chyba stara się mnie chronić, bo jak tylko 82

się wścieknę, rzeczy zaczynają fruwać. Usiłowałam z nim rozmawiać, żeby przestał, ale on mnie nie słyszy, bo nie potrafię rozmawiać z duchami. Właśnie dlatego jesteś mi potrzebna.

Usiłowałam zachować beznamietną minę. Kiedyś widziałam film o poltergeistach.

Najczęściej pojawiały się w otoczeniu takich dziewczyn jak Liz, kłopotliwych nastolatek, chcących na siebie zwrócić uwagę. Niektórzy uważali, że dziewczyny robią wyglupy, ale inni byli zdania, że to wydzielana przez nie energia — hormony i gniew — porusza rzeczy.

— Nie wierzysz mi — stwierdziła.

— Wcale tego nie powiedziałam.

— Nie wierzysz! — Zerwała się z błyszczącymi oczami. — Nikt mi nie wierzy!

— Liz, ja...

Zadygotały za nią buteleczki z żelem do włosów, w szafie zabrzęczały wieszaki. Wbiłam palce w materac.

— W-wwwp-ppporzo... J-jjjasne-lllizrrro...

— Nic nie rozumiesz!

Opuściła ręce, mocno uderzając się po udach. Buteleczki wyskoczyły w powietrze i uderzyły w sufit z taką siłą, że plastik eksplodował, a żel polał się strugami.

— Widziałaś?

— T-tttak.

Poderwała ręce niczym dyrygent przy crescendo. Obrazek spadł ze ściany; szkło rozprysnęło się po podłodze. Potem drugi. I trzeci. Okruszek szkła uderzył mnie w kolano. Pojawiła się duża kropla krwi i zaczęła ściekać po nodze.

Kątem oka dostrzegłam, że obrazek nad moim łóżkiem kołysze się i zeskakuje z haczyka.

— Nieee! — krzyknęła Liz.

Skuliłam się. Liz rzuciła się ku mnie i odciągnęła spod lecącej w dół ramki, która uderzyła ją w ramię. Szarpnęła się i obie zwałyśmy się z łóżka na podłogę.

Leżałam na boku, ciężko dysząc.

— Przepraszam — sapnęła. — Nie chciałam... Widzisz, co się dzieje? Nie kontroluję tego.

Złoszczę się, a wtedy...

— I myślisz, że to poltergeist? Przytaknęła, wargi jej drżały.

Nie miałam pojęcia, o co chodzi. Oczywiście, żaden poltergeist — to bzdury — ale jeśli ona tak uważała, a także myślała, że mogę go zatrzymać, więc może istot-' nie tak się stanie.

— Dobrze — powiedziałam. — Weź świeczkę i spróbujemy...

Drzwi gwałtownie się otwały. W progu wyrosła sylwetka odzianej w szlafrok pani Talbot. Pielęgniarka zapaliła światło, a ja, mrugając, wycofałam się na łóżko.

— O mój Boże! — Pani Talbot zakryła usta dłońmi. — Elizabeth! — sapnęła. — Coś ty narobiła?

Poderwałam się na równe nogi.

— To nie ona! Ja... ja...

Tym razem nie było jąkania; nie mogłam znaleźć odpowiednich słów. Pani Talbot omiotła spojrzeniem pokój: szkło rozprysnięte na podłodze, żel ściekający z sufitu, rozprysnięte po ścianach chemikalia do makijażu. Wiedziałam, że nie da się tego rozsądnie wytłumaczyć. Kiedy zobaczyła moją zakrwawioną nogę, z ust wyrwał się jej krzyk.

— To nic — powiedziałam, ścierając dłonią krew. — Skaleczyłam się przy goleniu.

Wcześniej.

Przeszła obok mnie, wpatrując się w zasłany szkłem dywan.

— Nie — wyszeptała Liz. — Proszę. Ja wcale tego nie chciałam.

— Spokojnie, kochanie. Zrobimy wszystko, żeby ci pomóc.

Do pokoju wkroczyła pani Van Dop ze strzykawką w ręku. Podała Liz środek uspokajający, podczas gdy pani Talbot łagodnym głosem zapewniała, że chodzi tylko o to, aby ją przenieść do lepszego szpitala, takiego, gdzie szybciej pomogą jej wyzdrowieć.

Kiedy Liz przestała reagować, kazały mi wyjść z pokoju. W holu ktoś szarpnął mnie z tyłu, tak mocno, że zatoczyłam się na ścianę. Nachylała się nade mną Tori.

— Co jej zrobiłaś? — syknęła.

— Nic. — O dziwo, mówiłam gładko i sprawnie. Wyprostowałam się. — To nie ja jej powiedziałam, co może jej pomóc.

— Pomóc?

— Kontakt z poltergeistem.

Patrzyła na mnie wielkimi oczami, z tym samym wyrazem przestachu jak wtedy, kiedy Simon jej powiedział, żeby nie była taką suką. Odwróciła się i potykając się, pobiegła do siebie.

Rozdział dziesiąty

Po Liz przyjechała karetka. Patrzyłam, jak zabierają ją uszpioną na noszach, jak mnie ze szkoły. Luksusowy transport dla ześwirowanych nastolatek.

Pani Van Dop nalegała, żebym wzięła proszek nasenny. Ustąpiłam, ale kiedy chciała jeszcze do tego dołączyć moje lekarstwo antyhalucynacyjne, ukryłam pastylkę pod językiem.

Od obiadu nic nie widziałam ani nie słyszałam. Mógł to być skutek lekarstw, ale ja bardzo chciałam, żeby rację miała Rae, gdy mówiła, iż moje „zerwanie z rzeczywistością”^{*} miało charakter tylko chwilowy, będąc skumulowanym efektem stresu i hormonów. Jeśli dopisało mi szczęście, zaczął się już powrót do normalności.

Musiałam to sprawdzić. Schowałam lekarstwo i sięgnęłam po nie, kiedy zobaczę coś niezwykłego. Zaoferowałam się, że posprzątam w pokoju, ale pani Talbot zabrała mnie na dół, gdzie usadziła na sofie i dała szklankę mleka. Przysnęłam; zbudziła mnie, żebym się położyła, ledwie przykryłam się kołdrą, już spałam.

Owocowy zapach żelu Liz wyrwał mnie ze snu, w którym usiłowałam się wydostać z rondla z watą cukrową, rozpaczliwie walcząc z kleistymi pasmami. Wyrwałam się z nich, kurczowo łapiąc oddech.

— Chloe? — Zamrugałam. Zupełnie jak nieśmiały, drżący głos Liz. — Chloe, śpisz?

Przewróciłam się na bok. Liz siedziała na rogu łóżka w koszuli nocnej z Myszka Miki. Na nogach miała skarpetki w purpurowe i różowe żyrafy. Poruszyła palcami u nóg.

— Śmieszne, nie? Dostałam je na Boże Narodzenie od młodszego brata.

Usiadłam, jeszcze mocniej mrugając. Maż ze snu dalej oklejała mózg, także trudno mi było się skupić. Słońce sączyło się przez żaluzje, sprawiając że żyrafy jakby się poruszały wraz ze stopami Liz.

— Miałam okropny sen — powiedziała, wpatrzona w swoje nogi.

„To miałyśmy obydwie”, pomyślałam.

— Śniło mi się, że mnie stąd zabrali, zbudziłam się w szpitalu, ale nie na łóżku, lecz na stole, na zimnym, metalowym stole. Była tam też kobieta, chyba pielęgniarka, w takiej masce. Nachylała się nade mną, a kiedy otworzyłam oczy, odskoczyła. — Ukradkiem zerknęła na mnie i leciutko się uśmiechnęła. — Trochę jakby do ciebie podobna. No więc miałam wrażenie, że się wystraszyła, i wtedy zawołała tego faceta. Pytam, gdzie jestem, ale oni rozmawiają tylko między sobą, wściekli, bo nie powinnam była się zbudzić, i teraz nie wiedzą, co robić. Usiłuję usiąść, ale jestem przywiązana. — Liz zmięła w palcach rąbek koszuli. — I nagle nie mogę oddychać. Nie mogę się poruszyć, przekręcić, aż wreszcie... — Wzdrygnęła się i objęła rękami. — Zbudziłam się tutaj.

Postawiłam nogi na podłodze.

— Chciałabym ci pomóc, Liz. OK?

Skuliła się na łóżku, podciągając kolana. Otworzyła usta, ale wargi zbyt się trzęsły, aby mogła sformułować jakieś słowo. Wstałam, parkiet był zimny pod stopami; usiadłam obok niej.

— Chcesz, żebym spróbowała porozmawiać z poltergeistem?

Pokiwała głową, dotykając podbródkiem obojczyka!

— Powiedz mu, żeby przestał. Że nie potrzebuję jego pomocy. Sama się o siebie zatroszczę.

Wyciągnęłam rękę, aby ją pogłaskać. Widziałam, jak moje palce jej dotykają, ale się nie zatrzymują, lecz przechodzą przez jej ramię.

Patrzyłam przerażona. Liz zerknęła, zobaczyła, jak moja ręka się w niej zagłębia, i zaczęła wrzeszczeć na cały głos.

Rozdział jedenasty

Zerwałam się z jej łóżka i tak mocno walnęłam w podłogę, że poczułam ból w krzyżu. Kiedy doszłam do siebie, łóżko Liz było puste, przykrycie zmięte tylko w miejscu, gdzie siedziałam.

Rozejrzałam się po pokoju. Liz nie było.

Wybiegła? W ogóle jej nie było. Zabrali ją wczorajszej nocy. Ta część nie należała do snu; na suficie były plamy po żelu.

Zakryłam oczy rękami i zaczęłam się cofać, aż poczułam za sobą łóżko i usiadłam na nim z rozmachem. Po dłuższej chwili uniosłam powieki. Lepkie resztki snu ciągle oplatały mózg. Śniłam.

„Nie, to nie sen, to były halucynacje”.

Doktor Gili miała rację; byłam schizofreniczką.

„A jeśli nie? Jeśli to Rae ma rację i rzeczywiście widzę duchy?”

Gwałtownie potrząsnęłam głową.

Nie, co za idiotyzm. To by znaczyło, że Liz nie żyje. Brednie. Miałam halucynacje i muszę się z tym pogodzić.

Sięgnęłam pod materac, wyciągnęłam schowaną tam pigułkę i połknęłam ją na sucho, trochę się krztusząc. Muszę przyjmować lekarstwa. Muszę je brać i zdrowieć, bo inaczej zabiorą mnie do prawdziwego psychiatryka tak jak Liz.

Na śniadanie zeszła tylko Rae. Tori siedziała w pokoju i zdawało się, że pielęgniarki są z tego zadowolone.

Dziobałam w swoich płatkach, długo żując każdą łyżkę cheerios. Myślałam o tym, jak bardzo Liz się bała. Jak bała się odesłania. A potem ta jej opowieść o przywiązaniu, braku tchu...

Halucynacja. W prawdziwym życiu takie rzeczy się nie zdarzają, i w prawdziwym życiu nastolatki nie potrafią sprawić, żeby butelki eksplodowały, a obrazki spadły ze ścian.

— Pani Van Dop? — odezwałam się, gdy weszła, aby nakryć do śniadania dla chłopaków. — Co z Liz?

— Wszystko w porządku, Chloe. Jest teraz w lepszym miejscu. .

Te słowa spowodowały, że zadrżałam; łyżka szcęknęła o talerz.

— Chciałabym z nią porozmawiać, jeśli to możliwe. Nie zdążyłam się z nią nawet pożegnać. Ani podziękować za to, jak się mną zajęła pierwszego dnia.

Surowa twarz pani Van Dop złagodniała.

— Na razie potrzebuje trochę czasu, aby się zaaklimatyzować, ale zadzwonimy do niej za kilka dni i wtedy *będziesz mogła* porozmawiać.

Widzisz, z Liz wszystko w porządku. To tylko twoja paranoja.

Paranoja. Inny z symptomów schizofrenii. Spróbowałam odegnąć od siebie tę myśl.

Pielęgniarka odwróciła się, żeby wyjść. — Pani Van Dop? Przepraszam, ale wczoraj rozmawiałam z panią Talbot o wysłaniu e-maila do przyjaciółki. Powiedziała, że muszę się z tym zwrócić do pani.

— Wejdź na pocztę, napisz list i wyślij. Będzie czekał [w skrzynce, aż wstukam hasło. ' Z mojej szkoły nadeszły jakieś papiery, więc po śniadaniu, kiedy jedli faceci, wzięłam prysznic i przebrałam się, a potem wraz z Rae poszłam do klasy lekcyjnej.

Pielęgniarki pozwoliły Tori zostać na górze, co mnie [trochę zdziwiło, ale pewnie była rozbita z powodu Liz. Przypomniałam sobie słowa Liz, że Tori wylądowała w Lyle House, bo jest humorzasta. Istotnie, albo była rozradowana, albo zdołowana, bez żadnych stadiów pośrednich.

Bez Tori tylko ja byłam z dziewiątej. Peter był w ósmej, Simon, Rae i Derek w dziesiątej. Nie wydawało się, żeby był to jakiś problem. Pewnie tak samo jest w jednoizbowej wiejskiej szkole. Mieliśmy salę z ośmioma stołami; każdy robił swoje, a pani Wang przechadzała się między nami, nachylając się, odpowiadając na pytania i cicho coś radząc.

Być może wiedza o tym, że pani Wang częściowo odpowiadała za to, co stało się z Liz, wpłynęła na moją opinię, w każdym razie wydała mi się jedną z tych nauczycielek, które w klasie zawsze spoglądają na zegarek, kiedy skończy się lekcja i dzień szkolny, albo też rozglądają się za jakąś lepszą pracą.

Niewiele zdziałalam tego dnia. Nie mogłam się skupić, ciągle myślałam o Liz, o tym, co zrobiła i co się z nią stało.

Pielęgniarki jakby nie były zdziwione spustoszeniem w naszym pokoju. Tak to było z Liz, jak z ołówkiem; wpadała w złość i ciskała różnymi rzeczami.

Tylko że ona niczym nie rzucała. Sama widziałam, jak ze ściany leciały obrazki, od których była daleko. Widziałam?

Jeśli istotnie miałam schizofrenię, skąd mam wiedzieć, co widziałam naprawdę, a co nie? A jeśli innym symptomem była paranoja, jak mogłam wierzyć wewnętrznemu poczuciu, że Liz przytrafiło się coś złego?

Pierwszą część dnia Rae spędziła na sesji z doktor Gili. Kiedy wróciła, nie mogłam się doczekać przerwy, żeby z nią porozmawiać. Nie o Liz i moich lekach, po prostu porozmawiać, o lekcjach, ostatniej nocy, kinie, pogodzie.. I o czymkolwiek, co usunie mi Liz z głowy.

— Hej! — Simon dołączył do mnie na korytarzu. — Wszystko w porządku? Taka jesteś dzisiaj cicha.

Wymusiłam mdły uśmiech.

— Zawsze jestem spokojna.

— No, ale po zeszłej nocy chyba niedużo spałaś? Wzruszyłam ramieniem.

Ruszył w kierunku drzwi kuchennych. Nad moją głową ukazała się ręka i otworzyła je przed nim. Tym razem nie podskoczyłam, tylko odwróciłam się i mruknęłam do Dereka: „Dzień dobry”, na co nic nie odpowiedział.

Simon wszedł do spiżarni, Derek został w kuchni, wpatrzony we mnie tym dziwnie uporczywym spojrzeniem.

— Co?

Nie chciałam być opryskliwa, ale samo tak wyszło.

Derek wyciągnął ku mnie rękę. Odskokczyłam i dopiero wtedy się zorientowałam, że sięga do wazy z owocami, którą zaślaniałam. Z płonącymi policzkami odsunęłam się, mamrocząc pod nosem jakieś przeproszenia, ale na nie także nie zareagował.

— I co tam się stało w nocy? — spytał, a w jego wielkiej dłoni znalazło się kilka jabłek.

— W-www n-nnno...

— Wolniej.

Twarz zapłonęła mi jeszcze bardziej, tym razem 7, gniewu. Nie lubiłam, kiedy dorośli upominali mnie, bym mówiła wolniej, ale ze strony rówieśników było to jeszcze gorsze, bo była w tym jakaś pogarda.

Ze spiżarni wyszedł Simon z pudełkiem granoli pod pachą.

— Powinieneś wziąć jabłko — powiedział Derek. — Ono nie...

— Jestem OK, bro.

Simon jeden batonik rzucił Derekowi, a następnie podsunął mi pudełko. Wzięłam dwie granole, podziękowałam i poszłam do wyjścia.

— Nie pomoże ci, jak o tym porozmawiasz? — usłyszałam za sobą głos Simona.

Odwróciłam się. Simon odwijał batonik, nie patrząc na mnie. Chciał, żeby wszystko wyglądało jak najbardziej normalnie. Derek się tym nie przejmował. Oparty o ścianę, pogryzał jabłko i wpatrywał się we mnie intensywnie.

— No? — ponaglił mnie Derek, gdy stałam w milczeniu, i zrobił niecierpliwy gest ręką. Nigdy nie lubiłam plotkować, ale może wcale nie chodziło im o plotki. Byli zaniepokojeni, może zatroskani. Ja jednak czułam to inaczej; Liz zasługiwała na coś lepszego.

— Rae na mnie czeka — mruknełam.

Simon zrobił krok do przodu i podniósł rękę, jakby chciał mnie zatrzymać. Potem zerknął na Dereka; nie widziałam ich spojrzeń, ale Simon cofnął się, kiwnął ml głową na pożegnanie i znowu zajął się batonem.

Drzwi nie zdążyły się domknąć, kiedy usłyszałam szept Simona:

— Coś było.

— Mhm.

Stanełam za progiem, w nadziei, że coś jeszcze usłyszę. Derek coś powiedział, ale nie mogłam zrozumieć jego: niskiego głosu.

— Nie wiem — odparł Simon. — Nie możemy...

— Chloe?

Gwałtownie się odwróciłam i zobaczyłam wychodzącą z saloniku panią Talbot.

— Nie wiesz, gdzie jest Peter? — spytała, a twarz jej promieniała.

— Chyba w klasie.

— Możesz mu powiedzieć, że czekam na niego w saloniku? Mam dla niego niespodziankę. Zerknęłam przez ramię na kuchenne drzwi, ale braci nie było za nimi słyhać. Kiwnęłam głową i pobiegłam znaleźć Petera.

Rodzice Petera przyjechali, aby go zabrać do domu.

Przypuszczał, że stanie się to niedługo, ale chcieli go odrobinę zaskoczyć. Mieliśmy malutką uroczystość z ciastem. Niskokaloryczny, organiczny tort marchewkowy. Potem razem z rodzicami poszedł na górę, aby się spakować. Simon, Derek i Rae wrócili do klasy, a ja poszłam na rozmowę z doktor Gili.

Dwadzieścia minut później patrzyłam z okna jej gabinetu, jak minivan rodziców Petera wykręca na podjeździe i oddala się drogą.

Jeszcze tydzień i ze mną będzie tak samo. Muszę tylko przestać myśleć o Liz i duchach, a skupić się na tym, by Jak najszybciej się stąd wydostać.

Rozdział dwunasty

Po obiedzie była matematyka. Tylko w tym przypadku nauczycielka musiała wiedzieć, w jakim dokładnie miejscu programu jestem, a ponieważ mój matematyk jeszcze się nie odezwał, więc na razie mogłam sobie odpuścić. Po-S przedniego dnia Derek odrabiał matkę w jadalni, dzisiaj też tak zrobił, gdy pani Wang miała mały wykład. Chyba robił jakieś poprawki i potrzebny mu był spokój. On zatem poszedł swoją drogą, a ja swoją: do pokoju medialnego, aby napisać e-mail do Kari.

Znalezienie odpowiednich słów wymagało trochę czasu. Wreszcie trzecia wersja była dostatecznie ogólnikowa, a zarazem nie sugerowała, że staram się coś ukryci. Chciałam już nacisnąć „Wyślij”, ale palec zatrzymał się nad klawiszem.

Korzysiałam z konta ogólnego; co się pokaże w polu „Nadawca”? Ośrodek Terapeutyczny Lyle House dla nastolatków z Zaburzeniami Psychicznymi? To pewnie nie, ale samo Lyle House może zainteresować Kari na tyle, że[^] zacznie sprawdzać.

Wrzuciłam w wyszukiwarkę „Lyle House”. Milion wyników. Dodałam „Buffalo”, co zredukowało listę o połowę, ale wystarczył rzut oka na pierwszą stronę, żeby się zorientować, że to przypadkowe trafienia: wzmianka o domu przy ulicy Lyle w Buffalo, lista piosenek Lyle a Lovdta, w których występują słowa *house* i *buffalo*, wystąpienie członka parlamentu stanowego, Lylea, który mówił o Jeziorze Buffalo.

Znowu naprowadziłam mysz na pole „Wyślij” i znowu (tę wstrzymałam).

Fakt, że w necie nie ma strony Lyle House w girlandce stokrotek, wcale jeszcze nie znaczy, że Kari nie będzie go mogła znaleźć w książce telefonicznej.

Wysłałam z Outlooka i już miałam wyłączyć wyszukiwarkę, gdy mój wzrok padł na informację o mieszkańcu Buffalo nazwiskiem Lyle, który zginął podczas pożaru domu. Przypomniałam sobie, co powiedziała Rae o poszukaniu mojego spalonego woźnego. I oto miałam szansę rozstrzygnąć bój między stroną, która mówiła: „Masz halucynacje; bierz lekarstwa i nie pyskuj”, a stroną, która nie miała takiej pewności.

Wyczyściłam pole z hasłem wyszukiwania i zastygłam z palcami nad klawiaturą, jakbym czekała na wstrząs elektryczny.

„Czego się boję? Tego, że mam schizę? Czy że jej nie mam?”

Palce wystukały: „Szkoła artystyczna A.R. Gurney Buffalo woźny śmierć”.

Tysiące trafień, większość dotyczących A.R. Gurneya, dramaturga z Buffalo. Nagle moje spojrzenie wychwyciło „tragiczny wypadek” i wiedziałam, że to moja informacja.

Podciągnęłam mysz, kliknęłam i przeczytałam artykuł.

W1991 roku czterdziesto} ednoletni Rod Stinson, naczelnny woźny w szkole artystycznej A.R. Gurney, zginął

w chemicznej eksplozji, spowodowanej przez jego zastępcę, który nalał do pojemnika niewłaściwy roztwór.

Umarł, zanim się urodziłam, nic więc dziwnego, że nie wiedziałam o wypadku. Z tego jednak, że nie pamiętałam, bym o nim słyszała czy czytała, nie wynikało, że nigdy się o niego nie otałam. Ktoś mógł wspominać o tym w klasie, a ja zepchnęłam informację w podświadomość, z której teraz schiza ją wydobyła i przekształciła w halucynację. Obejrzałam dokładnie artykuł. Żadnych zdjęć. Wróciłam nahomepage Explorera i przeszłam do następnego punktu. Te same podstawowe wiadomości, ale tym razem” ze zdjęciem. Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie tego mężczyznę widziałam.

Czyżbym kiedyś oglądała już to zdjęcie?

„Na wszystko masz odpowiedź, prawda? Logiczne wyjaśnienie. Ciekawe, co byś powiedziała, gdybyś zobaczyła to w którymś ze swoich filmów?”

Podbiegłabym do ekranu i dałabym w dziób tej durne; lasce, która ma prawdę jak na dłoni, ale jest zbyt tępa, by ją dostrzec

„Chcesz logicznego wyjaśnienia? Powiąż fakty. Połącz sceny”.

Scena numer jeden: dziewczyna słyszy bezcielesne głosy i widzi chłopaka, który znika na jej oczach.

Scena numer dwa: widzi nieżywego faceta z jakimiś poparzeniami.

Scena numer trzy: dziewczyna odkrywa, że spalony woźny istniał naprawdę i zginął w jej szkole w sposób, na jaki wskazywałyby jego obrażenia.

„I ta dziewczyna, nasza ponoć inteligentna bohaterka, nie wie, czy widzi duchy? Przejrzyj na oczy!”

A przecież ciągle coś we mnie się opierało. Przy cało) mojej miłości do kina dostrzegałam różnicę między rzeczywistością a opowieścią. W kinie są duchy, istoty innych światów, wampiry. Nawet ktoś, kto nie wierzy w zjawiska ponadmysłowe, może siedzieć w kinie, obserwować, jak bohaterowie wiążą poszlaki wskazujące na igresję z kosmosu, i chcieć krzyknąć: „Wy palanty!”.

Ale w prawdziwym życiu, jeśli powiesz ludziom, że gonił cię spalony woźny szkolny, nie mówią: „Wow, na pewno widziałaś ducha”, tylko ładują cię w takie miejsce jak to.

Wpatrywałam się w fotografię. Nie było najmniejszych wątpliwości, że...

— To jego widziałaś?

Gwałtownie obróciłam się na krześle. Tuż za mną stał Derek. Przy swoich rozmiarach potrafił się poruszać tak bezgłośnie, że mógłby właściwie być duchem. Taki cichy... I taki nieproszony.

Wskazał na tytuł nad artykułem.

— A.R. Gurney. Twoja szkoła. Jego widziałaś, tak?

— O co ci chodzi?

Przygwoździł mnie spojrzeniem; dopiero po chwili wyłączyłam przeglądarkę i powiedziałam:

— Przygotowywałam taką jedną rzecz, która mi będzie potrzebna po powrocie.

— Wypracowanie „O ludziach, którzy przekreślili się w mojej szkole”? Tak mówią, że te wszystkie szkoły artystyczne są „nie tego”.

Zmarszczyłam brwi.

— „Nietęgo”?

— Chcesz coś obejrzyć?

Kiedy nachylił się do myszy, poczułam jego zapach.

Żadnych zgniłych kwiatów, nic takiego, po prostu czuło się, że dezodorant jest już na granicy zużycia. Usiłowałam dyskretnie się odsunąć, ale on to zauważył i zmarszczył czoło jakby urażony, a potem zrobił krok w bok, przyciągając do siebie łokcie.

Otworzył wyszukiwarkę, wstukał jedno słowo i kliknął „Szukaj”. Potem wyprostował się i powiedział:

— Spróbuj tego. Może czegoś się dowiesz.

Chyba przez pięć minut wpatrywałam się w wyszukiwane hasło.

Jedno słowo. „Nekromanta”. Niepewnie sięgnęłam, dopisałam „definicja” i nacisnęłam „Szukaj”. Ekran się zapełnił.

Nekromanta: uprawia praktyki magiczne mające na celu przyzywanie duchów zmarłych lub ożywianie ich;! szczątków.

Przyzywać kogoś z przeszłości? Nieżyjącego? Jeśli nie żyje, jak można go przyzwać?

Przecież to bez sensu.

Przeszłam do następnej definicji, tym razem z Wikipedii.

„Nekromancja: praktyki magiczne polegające na przyzywaniu duchów zmarłych. Słowo powstało ze zbitki dwóch greckich wyrazów: *nekros* — «nieżywy, zmarły i *manteia* — «wieszczaniem. Termin ma także drugie, pokrewne znaczenie, wywodzące się z archaicznej formy; słowa «negromancja» (czerpiącej z łacińskiego *niger* — «czarny»), przy którym «mroczną moc» zyskuje się dzięki; oddziaływaniu na zwłoki. Nekromancję uprawia nekromanta».

Przeczytałam artykuł trzy razy, mozolnie przebijając się przez jego dziwne sformułowania, by w końcu się zorientować, że ostatecznie mówi on niewiele więcej od pierwszej definicji. Spojrzałam na następny.

„W fikcyjnym świecie Diabło II kapłani Rathy...”

Z pewnością nie to, czego szukałam, ale na wszelki wypadek szybko przeczytałam i dowiedziałam się, że w grze istotną rolę odgrywają nekromanci, którzy potrafią ożywiać zmarłych i kierować nimi. To stąd Derek o nich wiedział? Nie. Może i jest pokrecony, ale gdyby nie wyczuwał granicy między rzeczywistym życiem a grami wideo, byłby w prawdziwym szpitalu dla psychicznie chorych.

Wróciłam do Wikipedii, przeczytałam wszystkie pozostałe definicje, ale stanowiły tylko mniej lub bardziej rozbudowane wersje pierwszej, a w sumie sprowadzały się do stwierdzenia, że nekromanta stara się przewidzieć przyszłość, rozmawiając ze zmarłymi. Zaintrygowana, wyrzuciłam „definicję”, zostawiając samego „nekromantę”. Pierwszych kilka stron zawierało hasła religijne, wedle których nekromancja to sposób komunikowania się ze światem duchów naznaczony złem, gdyż jest formą czarnej magii i kultu szatana.

Czyżby Derek przypuszczał, że uprawiam czarną magię, i usiłował ratować moją duszę? Czy też chciał ostrzec, że mnie obserwuje? Poczulałam dreszcz.

Ginekologiczną klinikę ciotki Lauren zaatakowała kiedyś bojówka obrońców życia. Ludzie zaczęli być groźni, jeśli podejrzewali, że dzieje się coś, co narusza ich głębokie przekonania.

Przeszukałam dalej listę i wybrałam artykuł, który wydawał się odrobinę bardziej naukowy, a informował, że nekromancja to inne — dawniejsze określenie — na mediumistów, spirytualistów i wszystkich innych, którzy usiłowali nawiązać kontakt z duchami. Nazwa wzięła się ze starego przekonania, że ten, kto jest w stanie nawiązać kontakt z duchami, może przewidywać wszystko, gdyż dla nich nic nie jest skryte: wiedzą, co planuje twój wróg, albo gdzie szukać ukrytego skarbu.

Przeskoczyłam do następnego hasła i na ekranie pojawił się straszliwy rysunek: tłum martwych, nadgniłych i okaleczonych, wiedziony przez faceta z płomiennym wzrokiem i złowieszczym uśmiechem. Podpis: „Armia żywych trupów”. Zjechałam w dół strony: pełna ilustracja oblężenia przez zombi.

Szybko przeszłam na inną stronę. Ta z kolei opisywała nekromancję jako sztukę przywracania zmarłego do życia. Znowu poczułam dreszcze na plecach i przeskoczyłam na inną stronę.

Także religijna, cytująca jakiś dawny tekst, grzmiący na „bezbożnego nekromantę” który grzeszył przeciw naturze, porozumiewając się z duchami i wskrzeszając zmarłych.

Kolejne strony. Kolejne stare ryciny i obrazy. Groteskowe sylwetki groteskowych postaci.

Zmartwychwstające ciała. Zmartwychwstające duchy. Zmartwychwstające demony.

Palce mi drżały, gdy wyłączałam wyszukiwarke.

Rozdział trzynasty

Z pokoju medialnego wychodziłam ostrożnie, gdyż bajam się, że Derek gdzieś się zaczai, aby mnie przestraszyć.

Jego dudniący głos sprawił, że podskoczyłam, dochodził jednak z jadalni; Derek pytał panią Talbot, kiedy będzie się mógł zobaczyć z doktor Gili. Pobiełam do klasy; jeszcze nie skończyli matmy i pani Wang ruchem ręki pokazała, bym zajęła miejsce koło drzwi.

Kiedy lekcja się skończyła, wszedł Derek. Usiłowałam go ignorować; posłuchałam Rae, która dała mi znak, bym usiadła obok niej, Derek nawet na mnie nie spojrzął i zajął swoje normalne miejsce obok Simona. Natychmiast nachylili się ku sobie i zaczęli szeptać.

Simon zaśmiał się półgłosem. Próbowałam usłyszeć, co mówi Derek. Opowiada o swoim „kawale”? Czy to tylko moja paranoja?

Angielski był ostatnią lekcją tego dnia. Derek natychmiast zmył się razem z Simonem, ja i Rae poszłyśmy do jadalni, żeby odrobić to, co było zadane.

Ledwie udało mi się doczytać do końca rozdział o gramatycznym rozbiorze zdania i jego graficznej reprezentacji.

Widziałam duchy. Prawdziwe duchy.

Może ktoś, kto już wcześniej wierzył w duchy, tak bo się tym nie przejął. Ale ja nie wierzyłam.

Moje dotychczasowe kontakty z religią ograniczyły się do kilku wypraw z przyjaciółkami do kościoła czy szkoły niedzielnej i krótkiego okresu w prywatnej szkole katolickiej, kiedy tacie nie udało się dla mnie znaleźć żadnej publicznej. Tak czy siak, wierzyłam w Boga i życie pośmiertne tak, jak wierzyłam w Układ Słoneczny, którego nigdy nie widziałam. Po prostu uznawałam ich istnienie, chociaż wiele się nad tym nie zastanawiałam.

Jeśli istniały duchy, czy to znaczyło, że nie ma nieba. Czy wszyscy jesteśmy skazani na wałęsanie się bez końca po ziemi jako cienie, marzące o tym, by ktoś je zobaczył lub usłyszał?

Ale nawet jeśli tak, to czego one chcą ode mnie?

Przypomniałam sobie głos w piwnicy. Tu sprawa była jasna: chciał, żeby otworzyć drzwi. Zatem błąka się taki przez lata, wreszcie spotyka kogoś, kto może go usłyszeć, a jego wstrząsająca groźba brzmi: „Ej, mogłabyś mi otworzyć te drzwi?”.

A co z Liz? To musiało mi się przyśnić. A reszta... Nie miałam pojęcia, jak sobie z tym wszystkim poradzić.

Jedno w każdym razie było pewne. Musiałam więcej się dowiedzieć, a jeśli lekarstwa nie pozwalały mi widzieć i słyszeć duchów, trzeba było je odstawić.

— Z tobą tak nie będzie.

Odwrociłam się od okna saloniku i zobaczyłam wchodzącą Rae.

— Ciebie nie przeniosą tak jak jej. — Usiadła na sofie. — Bo tego się boisz, prawda? To dlatego przez cały dzień wypowiedziałaś może dziesięć słów.

— Przepraszam. Jestem cała..,

— Roztrzęsiona?

Przytaknęłam. Miała rację, chociaż może wszystko wyglądało inaczej, niż przypuszczała.

— Posłuchaj, Chloe, żeby się stąd wydostać, trzeba grać — mówiła półgłosem. — Cokolwiek myślisz o nich, o ich etykietkach, kiwaj głową i uśmiechaj się. „Tak, doktor Gili. Z pewnością ma pani rację. Chcę wyzdrowieć

I tylko to się liczy, pani doktor". Trzymaj się tego, a niedługo w ślad za Peterem wyjdiesz frontowymi drzwiami i zostawisz za sobą Lyle House. Obie wyjdziemy. A wtedy przyślę ci rachunek za poradę.

Zmusiłam się do uśmiechu. Z tego, co widziałam, Rae była wzorową pacjentką, więc czemu ciągle tutaj była?

— Ile to trwa przeciętnie? — spytałam. Wygodnie rozparła się na sofie.

— Myślę, że kilka miesięcy.

— M-mmiesiący?

— Tyle był tutaj Peter. Tori odrobinę dłużej. Derek i Simon są tu od trzech miesięcy.

— Trzy miesiące?

— Tak mi się wydaje, ale mogę się mylić. Przed tobą ja i Liz byliśmy nowe. Trzy tygodnie, ja kilka dni wcześniej.

— Ale mnie... mnie mówili, że to tylko na dwa tygodnie.

Wzruszyła ramieniem.

— No więc z tobą sprawa jest inna; masz szczęście.

— A może chodziło o to, że minimum dwa tygodnie?

Wyprostowała nogę i trąciła mnie w kolano.

— Nie bądź taka ponura. Przecież towarzystwo nie jest takie najgorsze, co?

Udało mi się uśmiechnąć.

— Niekiedy.

— No tak. Teraz, kiedy nie ma Petera i Liz i zostaliśmy tylko z Frankensteinem i dwiema primabalerinami. A skoro już o tym mowa, Królowa Wiktoria jest na hajju.

— Nahaju?

Jeszcze bardziej zniżyła głos.

— Tak ją nafaszerowali prochami, że ma kompletny odjazd. — Musiałam wyglądać na nieźle wystraszoną, gdyż pospiesznie dodała: — Nie, nie jest tak zawsze, robią I to tylko z Tori, a jej się to podoba. To królowa prochów. Jak nie dadzą jej na czas, zaraz zaczyna się domagać. Był taki weekend, kiedy się skończyły i trzeba było pisać na J pager do doktor GUI, żeby uzupełniła zapas, ale co to się i działo... — Pokręciła głową. — Tori pobiegła do naszego pokoju, zamknęła się i wyszła dopiero, kiedy dostarczyli jej lekarstwa, a wtedy zaraz zadzwoniła do swojej mamuski i *dopiero* się zaczęła afera, bo mamuska skontaktowała się z ludźmi, którzy kierują Lyle House. Tak czy siak, dzisiaj jest zupełnie naćpana, więc nie będzie z nią żadnych kłopotów.

Dopiero kiedy pani Talbot zawołała nas na kolację, uświadomiłam sobie, że nie powiedziałam Rae, iż skorzystałam z jej rady i poszukałam zmarłego woźnego.

Tori zjawiła się na kolacji, przynajmniej cieleśnie. Ćwiczyła się podczas posiłku do roli w filmie o zombi: twarz bez wyrazu, widelec mechanicznie wędruje między talerzem a ustami, niekiedy nawet z jedzeniem. Byłam rozerwana między współczuciem dla niej a chęcią trzymania się od tego wszystkiego z daleka.

Nie tylko ja czułam się niepewna. Rae usztywniała się przy każdym kęsie, jak gdyby obawiała się, że zaraz wyskoczy „dawna Tori” i będzie szydzić przy każdym po-ruszeniu szczęki. Simon uprzejmie konwersował ze mną, od czasu do czasu rzucając zgryźliwe pytania w stylu Tori, jakby usiłując się jej w ten sposób przypodobać.

Po dłużącej się w nieskończoność kolacji wszyscy z wdzięcznością rozeszliśmy się do swoich prac ja i Rae zabrałyśmy się do naczyń, Simon i Derek wynieśli śmieci, butelki, słoiki i puszki. Potem Rae miała pracę do odrobienia, a pani Wang ostrzegła pielęgniarki, że musi to zrobić bez żadnej pomocy.

Powiedziawszy pani Van Dop, że zaraz wracam, poszłam do pokoju po iPod'a. Kiedy otworzyłam drzwi, znalazłam na podłodze wiadomość.

Chloe!

Musimy porozmawiać. Spotkajmy się w pralni kwadrans po siódmej.

Simon

Złożyłam kartkę we czworo. Czy stał za tym Derek, który był ciekaw, co wynikało z mojego surfowania w poszukiwaniu czegoś na temat nekromancji, a miał nadzieję, że będę bardziej wylewna wobec brata? Czy też może Simon chciał pociągnąć rozmowę z kuchni na temat Liz? Może nie tylko ja martwiłam się o nią.

Zeszłam na dół zaraz po siódmej, żeby kilka minut poświęcić na obejrzenie piwnicy. Wtedy jednak, kiedy chciałam zobaczyć czy usłyszeć ducha, ten się nie odzywał.

Czy byłam w stanie nawiązać z nim kontakt? Czy też była to droga jednokierunkowa i musiałam czekać, aż on zdecyduje się przemówić do mnie? Kiedy chciałam to wypróbować, Derek przyłapał mnie na mówieniu do siebie i wołałam nie ryzykować, że tak samo stanie się teraz z Simonem.

Więc tylko chodziłam po pralni, a mój umysł automatycznie zajął miejsce za kamerą.

— .. Tutaj... — rozległ się szept tak cichy i suchy jak wiatr w wysokiej trawie. — ..

.Przemów...

Zobaczyłam padający z tyłu cień. Nastawiłam się na jakiś straszliwy widok, tymczasem ujrzałam nad sobą twarz... Dereka.

— Zawsze jesteś taka strachliwa?

— S-ssskąd się tu wzięłeś?

— Ze schodów.

— Czekam tu na... — urwałam i popatrzyłam na niego uważnie. — A więc to ty, tak? Kazałeś Simonowi podrzucić...

— Simon nic nie podrzucił. Dobrze wiedziałem, że na spotkanie ze mną nie przyjdiesz, ale z Simonem... I — Popatrzył na zegarek. — Dla Simona przyszedłeś nawet j wcześniej. No i jak, poszukałeś?

Więc o to chodziło,

— Chodzi ci o to słowo. Nek... — Udałam, że sobie przypominam. — Nekromanta, tak się mówi?

Machnął lekceważąco dłonią; gramatyka go nie interesowała. Oparł się o ścianę i przyjął obojętną pozę, ale palce go zdradzały. Czekał na moją odpowiedź. I na moje reakcje.

— Poszukałeś?

— Tak, ale nie wiem właściwie, co powiedzieć. Potarł o dzinsy rękami, jakby je wycierał.

— Więc poszukałeś i co?

— Nie znalazłam nic ciekawego.

Znowu potarł dzinsy, zamknął dłonie, rozprostował. Skrzyżował ręce. Opuścił ręce. A ja zwlekałam, zmuszając go, by zdradził się ze swoim podnieceniem.

— Bo?

— Bo muszę wyznać, że... — Wzięłam głęboki oddech. — Że nie przepadam za grami komputerowymi.

Oczy zwięziły mu się w szparki, twarz się wykrzywiła.

— Grami komputerowymi?

— Gry wideo, RPG. Trochę się tym bawiłam, ale nie takimi, o które ci chodzi.

Przyjrzał mi się bacznie, jakby oceniał, czy aby rzeczywiście nie nadają się do wariatkowa.

— Ale jeśli z wami jest inaczej, nie ma sprawy. — Zmusiłam się do promiennego uśmiechu.

— Mogę w to wejść.

— W co?

— W grę. Mam odegrać jakąś rolę, tak? Ale nekromantka raczej nie jest dla mnie, chociaż dziękuję za propozycję.

— Propozycję — powtórzył z wolna.

— Żebym zagrała nekromantkę. Bo o to ci chodziło, prawda?

Wreszcie zrozumiał i popatrzył na mnie ze zdumieniem.

— No nie, przecież chyba nie...

— OK, może to nawet byłoby cool zagrać kogoś, kto wskrzesza zmarłych, ale, kumasz, to nie dla mnie. Trochę za mroczne, grobowe. Już wolę wróżkę.

— Ja wcale nie chciałem...

— Żebym była nekromantką. Kamień z serca, dzięki, że tak się troszczysz o moje samopoczucie. To urocze.

Ugodziłam go landrynkowym uśmiechem i dopiero wtedy zorientował się, że go nabieram. Twarz mu pociemniała.

— Nie chciałem cię wciągać do żadnej gry, Chloe.

— Nie? — Uniosłam brwi. — To czemu chciałeś, żebyś surfowała po stronach z nekromancją? Oglądała obrazki z armiami zombi? Lubisz nastraszyć kogoś nowego? No i spoko, miałeś ubaw, a teraz jak jeszcze razi mnie osaczysz albo zaczaisz się na mnie w piwnicy...

— Jak to zaczaisz? Chciałem tylko z tobą porozmawiać.

— Nie. — Patrzyłam mu prosto w oczy. — Chciałeś mnie przestraszyć i jeśli zrobisz to raz jeszcze, powiem o wszystkim pielęgniarce.

Jak długo te kwestie pisały się w mojej głowie, brzmiały mocno i przekonująco: nowicjuszka stawia czoło przemocy, ale wystarczyło, bym je wypowiedziała, a usłyszałam wredną dziewczynę, która grozi, że będzie 1 kablować.

Oczy Dereka zamieniły się w twarde, zielone szkiełka, a jego twarz wykrzywiła wściekłość tak niehumanitarna, że odskoczyłam i rzuciłam się ku schodom.

Chwycił mnie za przedramię i szarpnął tak mocno, że wrzasnęłam, a ręka niebezpiecznie się wygięła, gdy poleciałam w dół. Puścił mnie i runęłam na ziemię.

Przez chwilę leżałam skulona, trzymając bolące ramię i mrugając, gdyż nie mogłam uwierzyć w to, co się zdarzyło. Kiedy padł na mnie jego cień, poderwałam się na równe nogi.

Wyciągnął rękę.

— Chloe, posłuchaj...

Odskoczyłam, zanim mnie dotknął. Coś powiedział, no, o ile tego już nie słyszałam. Nie patrząc na niego, pognałam schodami.

Zatrzymałam się dopiero w moim pokoju. Tutaj usiadłam na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, ciężko dysząc. Kiedy podciągnęłam rękaw, zobaczyłam krwawe ślady po jego palcach.

Wpatrywałam się w nie osłupiała. Nikt mnie jeszcze tak nie potraktował. Rodzice nigdy mnie nie uderzyli. Nigdy nie dostałam lania, nigdy mi nawet nim nie grożono. Nigdy nie brałam udziału w bójkach. Jasne, były jakieś przepychanki, kuksańce, ale żeby ktoś tak mnie chwycił i cisnął na ziemię?

Opuściłam rękaw. Czy byłam zdziwiona? Derek denerwował mnie od pierwszego spotkania koło spizarni. Kiedy się zorientowałam, że to on podłożył kartkę, powinnam była wybiec z piwnicy. Gdyby próbował mnie zatrzymać, powinnam krzyczeć. Nie, nie tak. Muszę zachować spokój. Spryt. Muszę go wykiwać.

Nie miałam żadnych dowodów, oprócz śladów, które już zresztą zaczęły znikać. Nawet gdyby dotrwały do czasu, gdy będę mogła je pokazać pielęgniarce, Derek zawsze mógłby powiedzieć, że zwabiłam go do piwnicy, a gdy się potknęłam, usiłował mnie złapać, żeby nie upadła. Przecież rozpoznano u mnie schizofrenię. Tutaj halucynacjom towarzyszyła paranoja.

Musiałam się ze wszystkim uporać sama.

Powinnam się ze wszystkim uporać sama.

Będę musiała prowadzić podwójne życie. Zawsze wiedziałam, że na to, by zostać prawdziwą scenarzystką, brak mi doświadczenia życiowego. I oto nadarzała się okazja, by je uzyskać.

Dam sobie radę. Ale by się tak stało, musiałam wiedzieć dokładnie, z czym mam do czynienia.

Wzięłam na bok Rae.

— Dalej chcesz zobaczyć teczki Simona i Dereka? — spytałam. Pokiwała głową. — To pomogę ci dostać się do nich. Dziś wieczorem.

Rozdział czternasty

Panią Talbot znalazłyśmy w kuchni, jak przygotowywała kolację. Paluszki marchewkowe i dip. Brrrr! Cokolwiek myślałam sobie o Annette, zawsze mogłam liczyć przynajmniej na murzynka.

— Co, dziewczęta, głodne? Trudno się dziwić, skoro obiad został prawie nietknięty. Zrobiła zachęcający gest, więc każda z nas wzięła marchewkę i zanurzyła ją w dipie.

— Chloe i ja martwimy się o Tori, proszę pani — odezwała się Rae.

Pani Talbot wróciła do swojej pracy i w milczeniu przytaknęła.

— Rozumiem, moje drogie. Strasznie przeżywa to, co się stało z Liz. Były bardzo blisko ze sobą. Jestem pewna, że poprawi się jej, gdy będą mogły już porozmawiać, ale na razie może być trochę przygnębiona, szczególnie że musimy ustalić nowe dawki leków. Musicie być dla niej bardzo wyrozumiałe i miłe.

— Jasne — powiedziała Rae i zlizwała dip z palca. — Ale pomyślałyśmy, że może będzie jej łatwiej, jak będzie miała pokój dla siebie. Ja mogłabym spać z Chloe.

Pani Talbot podała Rae chusteczkę.

— Byłoby niedobrze przesadnie ją izolować, ale w tej chwili może rzeczywiście lepiej, żeby mogła spać sama.

— Więc tylko na teraz? Pani Talbot uśmiechnęła się.

— Nie, jeśli obu wam to odpowiada, możesz się przenieść do Chloe na stałe.

Podczas gdy Tori oglądała na dole telewizję, Rae zaczęła przenosić swoje rzeczy, gdyż obawiała się, że pani Van Dop i doktor mogą się sprzeciwić tej zmianie, więc trzeba było kuć żelazo póki gorące. Podała mi stosik T-shirtów.

— Chodzi ci o Simona?

— Słucham?

— Chcesz wiedzieć, dlaczego Simon jest tutaj, prawda?

— Wcale...

Przerzuciła sobie dzinsy przez ramię i przerwała mi ruchem ręki.

— Przecież w jadalni nic, tylko ze sobą rozmawiacie. Z początku myślałam, że może chodzi mu o to, żeby się trochę podroczyć z Tori, ale dzisiaj nie zwracała na to uwagi, a on ciągle z tobą gadał.

— Ale przecież...

— Ale przecież widać, że ci się podoba. No i spoko. — Otworzyła szufladę Liz; była pusta, kiedy byłyśmy w klasie, zniknęły wszystkie ślady Liz. — Nie przejmuję się nim, ale może dogryza mi, bo jestem z innej ligi.

— Z innej ligi?

Wzięła parę dzinsów i pokazała markę.

— Czy ktoś tu nosi dzinsy z Wal-Martu? Za pobyt tutaj trzeba płacić, a idę o zakład, że kosztuje to więcej niż w Motelu 6. Za mnie płaci opieka społeczna.

— Ja nigdy...

— OK, nie ma sprawy. Fajnie mnie traktujesz, tak

Jak Peter i... — rozejrzała się po pokoju — ..Liz. Derek to kark, więc mnie nie rusza. Jeśli dostawać mam szturchańce tylko od Simona i Tori, dam sobie radę. Właśnie dlatego myślę, że tych dwoje świetnie do siebie pasuje, ale jeśli on ci się podoba, mnie nic do tego. Ważne, że chcesz go sprawdzić. — Zawróciła do swego starego pokoju, a ja następowałam jej na pięty. — Przyjaciółka mojej mamy zrobiła tak z kolesiem, za którego miała wyjść. Okazało się, że ma troje dzieci, o których nawet słowem nie wspomniał. — Uśmiechnęła się przez ramię. — Nie przypuszczam, żeby Simon miał jakieś dzieciaki, ale kto go wie?

Kończyłyśmy prznosić ją, a ja zastanawiałam się, czy nie zostawić wszystkiego tak, jak jest, z drugiej jednak strony nie chciałam, by myślała, że jestem dziewczyną, która jak tylko się znajdzie w nowym miejscu, zaraz zaczyna zerkać na facetów. OK, nie chciałam pielęgniarkom mówić o Dereku, ale komuś powinnam powiedzieć. Wtedy byłby ktoś, kto potwierdziłby moją wersję, gdyby okazało się to potrzebne.

— To nie Simon — powiedziałam, kiedy znowu znalazłyśmy się w jej pokoju. — Chodzi o Dereka.

Właśnie zdejmowała ze ściany fotografię, która wyleciała jej z ręki, a którą mnie udało się złapać w powietrzu.

— Ty i Derek...

— Nie, no coś ty. Chcę sprawdzić, dlaczego Derek tu wylądował, a nie że ja i on...

Odetchnęła i oparła się o ścianę.

— Dzięki Bogu. Wiem, że dziewczynom czasem podobają się odjazdowcy, ale ten jest taki wstrętny. — Zaczzerwieniła się, odbierając ode mnie fotografię. — Przepraszam, nie powinnam tak mówić. Co on jest winien...

Umilkła, szukając odpowiedniego słowa.

— Kłopotom z dojrzwaniem — podrzuciłam.

— Właśnie. Powinnam mu współczuć, ale kiedy jego zachowanie jest tak samo wredne jak twarz. — Znieruchomiała i spojrzała na mnie uważnie. — Co się stało. Zrobił... coś?

— A czemu pytasz? Już wcześniej coś się tu wydarzyło?

— Zależy, jak rozumiesz to „coś”. Gburem jest od samego początku. Także wieśniakiem.

Ignoruje nas wszystkich, chyba że już kompletnie nie da się inaczej, na co nikt się nie uskarża, możesz mi wierzyć. No więc o co poszło?

Zawahałam się. Nie chciałam, żeby zaczęła mnie namawiać na skargę u pielęgniarek, więc pominęłam fragment z rzuceniem mnie na podłogę, a powiedziałam tylko, że chodzi za mną i nagle wyskakuje skądś wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewam.

— No to po prostu mu się podobasz. Znowu dała mi zdjęcie do potrzymania.

— Nie, nie, to zupełnie tak nie wygląda.

— Tak, tak, po prostu chciałybyś, żeby nie wyglądało, ale dla mnie sprawa jest jasna. Może jesteś w jego typie. Mnie w szkole podoba się taki łepok z drużyny koszykówki. Wyższy nawet od Dereka, ale ogląda się właśnie za niedużymi laskami jak ty.

I kolejna fotografia.

— Nie, jestem pewna, że nie masz racji.

Chciała coś powiedzieć, a ja poczułam gwałtowną irytację. Dlaczego, ilekroć powiesz, że jakiś chłopak cię denerwuje, zaraz pada odpowiedź: „Ach, więc on ci się podoba. Bo co, wtedy wszystko jest OK? Do tego wszystko się sprowadza? Widząc wyraz mojej twarzy, Rae zamknęła Eta i zdjęła ze ściany zdjęcie.

- Boję się go i dlatego chcę zobaczyć, co jest w jego Iktach. Czy jest jakiś powód do strachu, czy ma, no wiesz, jakieś problemy. .

- Jasne, przepraszam, jeśli się go boisz, sprawa jest poważna. Z tym nie można żartować. No ale dzisiaj się powiemy, jakie są fakty.

Rozdział piętnasty

Do łóżek kładliśmy się w Lyle House o dziewiątej, a godzinę później, kiedy także pielęgniarki szły spać, zaczynała się cisza nocna.

Na piętrze po stronie męskiej i żeńskiej znajdowały się sypialnie pielęgniarek. Liz twierdziła, że nie ma drzwi łączących obie części, ale zdaniem Rae były jedne właśnie między pokojami pielęgniarek, aby w razie potrzeby miały swobodny dostęp do całego piętra.

Chociaż więc zdaniem Rae pani Talbot zasypiają szybko i mocno, musiałyśmy wziąć też pod uwagę panią Van Dop. Dlatego nastawiłam budzik w swoim zegarku na wpół do trzeciej i położyłyśmy się spać.

O wpół do trzeciej w domu panowały cisza i spokój. Było aż za cicho i za spokojnie. Każde skrzypnięcie klepki brzmiało jak wystrzał z pistoletu. A w starym domu skrzypią niemal wszystkie klepki

Z Rae na przodzie zeszyliśmy do kuchni, gdzie wyjęłyśmy z lodówki dwa kartoniki soku i ułożyłyśmy na blacie. Otworzyłam drzwi do spiżarni, zapaliłam tam światło, po czym wyszłyśmy na korytarz, zostawiając drzwi w obu pokojach uchylone.

Gabinet doktor Gili znajdował się w zachodnim końcu, tuż obok schodów dla facetów. Rae w zeszłym tygodniu obejrzała zamek; zamykał się na prosty klucz, można było otworzyć monetą. Tak przynajmniej ona twierdziła. Nigdy nie miałam powodu, żeby otwierać drzwi czym innym niż kluczem, może dlatego, że nie miałam rodzeństwa. Patrzyłam więc uważnie i wszystko starałam się zapamiętać. Każda okazja jest dobra do wzbogacenia doświadczenia życiowego.

Podczas jednej z sesji Rae podejrzwała, skąd doktor Gili wyciąga jej teczkę, więc nie było problemu z szukaniem. W pokoju był skaner z drukarką, co jeszcze ułatwiało sprawę. Stanęłam na czatach; szelest papieru wysuwającego się z drukarki zdawał mi się strasznie głośny, ale teczki nie mogły być grube, gdyż kiedy zerknęłam do środka, Rae już je zamykała. Dała mi do potrzymania dwie złożone na pół kartki i umieściła teczki na powrót w szufladzie. Wycofałyśmy się z gabinetu. Kiedy zamykała drzwi na zamek, zmroziło nas skrzypnięcie klepki. Długa chwila ciszy i ponowne skrzypnięcie. Ktoś szedł po schodach od strony chłopaków.

Na palcach przemknęłyśmy korytarzem, prześliznęłyśmy się przez drzwi do kuchni i wskoczyłyśmy do spiżarni.

— No dawaj! — ponagliłam scenicznym szeptem. — Weź coś i spadamy!

— Nie mogę znaleźć krispie. Były tu jeszcze kilka dni temu.

— Pewnie łepki skro... — urwałam i syknęłam: — Ktoś idzie! Zgaś światło!

Zgasiała, a ja przymknęłam drzwi, zostawiając tylko szczelinę, przez którą zobaczyłam, jak do kuchni wchodzi Derek. Światło zostawił zgaszone, więc widać było, jak promienie księżyca oświetlają mu twarz. Rozejrzał się po kuchni, a potem zatrzymał wzrok na drzwiach spiżarni. Pchnęłam je i zrobiłam krok do przodu.

— Krakera? — spytałam, wyciągając w jego kierunku pudełko.

Wbił we mnie wzrok i w jednej chwili byłam znowu w piwnicy, lecąc na ziemię. Przestałam się uśmiechać i wepchnęłam mu w ręce pudełko.

— Chciałyśmy coś przekąsić — odezwała się za mną Rae, ale on nie spuszczał wzroku z opakowania krakersów. — Dobra, ja biorę soki — dorzuciła, przeciskając się obok mnie.

Derek spojrział na zostawione na blacie kartoniki. Dowód, że robiłyśmy tylko akcję w kuchni. Pomysł był mój i uważałam go za sprytny, kiedy jednak Derek przeniósł na mnie wzrok, poczułam, jak włosy jeżą mi się na karku. I Nie kupił tego.

Zrobiłam jeszcze krok, ale on ani drgnął. Słyszałam jego oddech, czułam jego masę.

Wtedy odsunął się na bok.

Śmignęłam koło niego, a on wziął jeden rulon krakersów z pudełka i wysunął je w moim kierunku:

— To co, już nie chcesz?

— Zapomniałam, dzięki.

Chwycałam pudełko i wyskoczyłam na korytarz, R41 poszła w moje ślady.

Skręcając na schody, zerknęłam w kierunku Dereka. Zatrzymał się pod gabinetem doktor Gili i wpatrywał się w drzwi.

Przez piętnaście minut leżałyśmy przy zgaszonym świetle, czekając, czy Derek pójdzie ze skargą do pielęgniarek, czy po prostu wróci do łóżka. Przez cały czas głaskałam paliami kartki papieru, które wsunęłam pod spodnie od piżamy. Wreszcie Rae z latarką w ręku wcisnęła się do mnie na łóżka.

— Mało brakowało — mruknęła.

— Powie im?

— Nie. Sam zszedł coś skroić, więc nie będzie nas spytał.

Derek zrobił się głodny dokładnie wtedy, gdy włamaliśmy się do gabinetu doktor Gili?

Dziwny zbieg okoliczności, ale skaner i drukarka pracowały za cicho, żeby go zbudzić na piętrze.

Wyciągnęłam kartki, rozprostowałam je i wygładziłam na materacu.

— To Dereka — szepnęła Rae i zapaliła latarkę.

— To ta jest Simona? — spytałam, podnosząc drugą. Pokręciła głową.

— Druga kartka Dereka. Simona nie było.

— Nie mogłaś znaleźć?

— Nic nie ma. Na wszystkich przegródkach są nasze imiona, potem także na okładkach teczek. Nie było przegródki ani teczki Simona.

— To...

— Dziwne, tak. Może trzymają ją gdzieś indziej. Tak czy siak, interesował cię Derek, więc nie chciałam tracić czasu na szukanie papierów Simona. No to zobaczmy, za co siedzi tu nasz Frankenstein. — Poświeciła na nagłówek. — Derek Souza. Data urodzin, bla, bla, bla. — Przeniosła promień na następny akapit. — Wow, do Lyle House skierował go Wydział Opieki nad Dziećmi. Żadnej "wzmianki o ojcu, o którym tyle gadają. Jeśli w sprawę jest zamieszany Wydział Opieki nad Dziećmi, na pewno nie jest to Tatuś Roku. O, jest diagnoza...

Antyspołeczne zaburzę!

Inna osobowości. — Krótco prychnęła. — Też mi coś. Co to za choroba, że ktoś jest grubiański? Ciekawe, jakie są na to lekarstwa.

— Jakichkolwiek używają, najwyraźniej nie skutkują.

Uśmiechnęła się.

— Fakt. Nic dziwnego, że tyle tutaj siedzi. Zapaliło się światło na korytarzu. Rae skoczyła do swojego łóżka, zostawiając u mnie latarkę. Wyłączyłam ją, kiedy otworzyły się drzwi do łazienki, ale kiedy chciałam rzucić do Rae, ta wychyliła się i szepnęła:

— Doczytaj do końca, a jak znajdziesz coś ciekawego, powiesz mi rano.

Ktokolwiek był w łazience — pani Talbot czy Tori — wydawało się, że siedzi tam w nieskończoność. Gdy rozległ się odgłos spuszczonej wody, Rae już spała. Odczekałam jeszcze kilka minut, zapaliłam latarkę i zaczęłam czytać.

Z każdym kolejnym zdaniem twardniał kłębek strachu w moim brzuchu. Antyspołeczne zaburzenia nie miały nic wspólnego z gburowatością. Komuś z taką osobowością inni byli

zupełnie obojętni, gdyż nie potrafił się wczuć w sytuację drugiej osoby. Zaburzenia takie charakteryzowały się gwałtownością i nagłymi przyływami gniewu, co *jeszcze* pogarszało sytuację. Jeśli nie rozumiesz, że zadajesz komuś ból, co *jeszcze* może cię powstrzymać? Oświetliłam drugą stronę, zatytułowaną PODŁOŻE.

Standardowe badanie podłoża zaburzeń w przypadku D.S. okazało się trudne. Nie zachowało się świadectwo urodzenia ani żadne inne dokumenty. Najprawdopodobniej istnieją, ale brak informacji o najwcześniejszych latach życia komplikuje ich odszukanie. Zgodnie ze słowami D.S. i jego przyrodniego brata, S.B., Derek zaczął z nimi mieszkać, mając mniej więcej pięć lat. D.S. nie pamięta — albo nie chce zdradzić— szczegółów swego wcześniejszego życia, chociaż niektóre z jego odpowiedzi sugerują, że opiekę nad nim sprawowała jakaś instytucja.

Wydaje się, że ojciec Simona, Christopher Bae, wziął pod faktyczną opiekę D.S. bez żadnych formalnych regulacji. Chłopców zapisano do szkoły jako „Simona Kima” i „Dereka Browna”; nie wiadomo, dlaczego użyto takich właśnie nazwisk.

Informacje uzyskane ze szkoły sugerują, że zaburzenia D.S. zaczęły się w siódmej klasie. Chłopiec, który także wcześniej nie był otwarty ani wesoły, stawał się coraz bardziej ponury, czemu towarzyszył wzrost trudnej do wyjaśnienia lrytacji, często przeradzającej się w gwałtowne wybuchy gniewu.

Gwałtowne wybuchy gniewu... Dotknęłam siniaków na ramieniu i skrzywiłam się z bólu.

Żaden z incydentów nie został dokładnie opisany, co nie pozwala ocenić dynamiki rozwoju zaburzeń. D.S. nie wymierzono żadnych surowszych kar dyscyplinarnych aż do chwili radykalnego przekroczenia granic tego, co świadkowie nazwali „normalną szkolną bójką”. D.S. zaatakował trzech rówieśników w napadzie gniewu, który, jak podejrzewają wychowawcy, miał „źródła chemiczne”. Przyływowi adrenaliny trzeba też chyba przypisać niezwykłą siłę agresora. Zanim wychowawcy zdążyli zareagować, jeden z zaatakowanych doznał poważnych uszkodzeń kręgosłupa, w efekcie których, zgodnie z opinią ekspertów, być może już nigdy nie będzie chodził.

Oczy przesuwają się po kolejnych zdaniach, ale tak naprawdę widziałam tylko podłogę piwnicy, na którą rzucił mnie Derek.

Niezwykła siła...

Gwałtowne wybuchy gniewu...

Być może już nigdy nie będzie chodził...

Zabrali stad Liz za ciśnienie ołówkiem i rozbicie butelek z żelam, ale Dereka dalej trzymają?

Z zaburzeniami, które nie pozwalają mu ocenić, czy zadaje komuś ból i jak wielki?

Schowałam kartki pod materacem. Dalsza lektura nie była mi potrzebna, bo wiedziałam, co znajdę. Że otrzymuje lekarstwa. Że jego stan się poprawia. Że współpracuje z personelem Lyle House i podczas pobytu w nimi nigdy nie uciekał się do przemocy. Że wszystko jest pod kontrolą.

Poświeciłam na ramię. Ślady po palcach zaczęły purpurowieć.

Rozdział szesnasty

Ilekcio zamykały mi się oczy, osuwałam się w dziwne miejsce na pograniczu snu i jawy, gdzie mój umysł mieszał i wykrzywił wspomnienia całego dnia. Znowu jestem w piwnicy. Derek chwyta mnie za ramię i ciska na ziemię. Budzę się w szpitalu. Koło łóżka siedzi pani Talbot i oznajmia mi, że już nigdy nie będę chodzić.

Kiedy rozległo się poranne pukanie do drzwi, schowałam głowę pod poduszkę.

— Chloe? — Pani Talbot stanęła w otwartych drzwiach. — Dzisiaj musisz się ubrać na śniadanie.

Poczułam skurcz w żołądku. Czy w sytuacji, gdy nie ma już Petera i Liz, postanowiły, że śniadanie będziemy jeść wszyscy razem? Nie mogę spojrzeć w twarz Dereka, Po prostu nie mogę.

— O ósmej będzie tu twoja ciotka, żeby cię zabrać na śniadanie, więc musisz się przygotować.

Wynurzyłam się spod poduszki i zaczęłam się zbierać.

— Na pewno jesteś wściekła na mnie, Chloe, prawda?

Przestałam grzebać w jajecznicy i podniosłam wzrok. Zachmurzona twarz ciotki Lauren. Ciemne podkowy pod oczami mówiły, że nie sypia dobrze. Wcześniej ich nie zauważyłam pod makijażem; teraz ujawniły je neonowe światła u Denego.

— Wściekła o co? Prychnęła.

— Czy ja wiem? Na przykład o to, że wpakowałam cię między obcych ludzi w ośrodku terapeutycznym, a sama zniknęłam.

Odłożyłam widelec.

— To nie ty mnie wpakowałaś. Chciała tego szkoła, a w ośrodku zażądali, żebyście ty i tata na razie usunęli się na bok. Nie jestem już małą dziewczynką. Dobrze wiem, co się dzieje. — Odetchnęła tak głośno, że nie zagłuszy! tego gwar restauracji, — Mam problem — ciągnęłam — i sama muszę się z nim uporać. Ani ty, ani tata nie jesteście winni.

Nachyliła się nad stołem.

— Ty także nie jesteś winna, mam nadzieję, że to rozumiesz. To po prostu schorzenie, za które w żaden sposób nie odpowiadasz.

— Wiem.

Odgryzłam kawałek grzanki.

— Jestem z ciebie dumna, Chloe, że w taki dojrzały sposób podchodzisz do tej sprawy. —

Kiwnęłam głową i wzięłam następny kęs; między zębami poczułam pestki z dżemu malinowego. — Aha, mam coś dla ciebie. — Z torebki wyciągnęła plastikowe opakowanie, w którym znajdował się wisiołek z rubinem. — Panie pielęgniarki zadzwoniły do domu i powiedziały, że bardzo ci go brak. Tata zapomniał zabrać go ze szpitala.

Wzięłam plastik, poczułam w palcach znajomy kształt, a potem odsunęłam w kierunku ciotki.

— Przechowaj go. Tutaj nie wolno nosić żadnych ozdób.

— Nie przejmuj się, już rozmawiałam o tym z pielęgniarkami. Powiedziałam im, jakie to dla ciebie ważne, i zgodziły się ustąpić.

— Dzięki.

— Tylko noś go, żeby się znowu nie zgubił. Wyjęłam wisiołek i nałożyłam go. Wiem, że to głupie

przyzwyczajenie, ale poczułam się lepiej. Pewnie. Trudno się dziwić, że czułam się trochę nieswojo bez czegoś, co nosiłam przez tyle lat i co tak mocno wiązało się z mamą. Ciotka pokręciła głową.

— Nie rozumiem, jak mógł go zapomnieć. Bóg raczy wiedzieć, kiedy by sobie przypomniał, szczególnie że znowu się zmył.

Tak, tata wyjechał. Zadzwoił na komórkę Lauren, żeby mi powiedzieć, że poprzedniego wieczoru musiał wyjechać w interesach do Szanghaju. Ciotka była na niego wściekła, czego nie rozumiałam, bo przecież i tak siedziałam w ośrodku. Zrobił już przygotowania, żeby wziąć miesięczny urlop, kiedy wyjdę, i o wiele bardziej zależało mi na tym, aby wtedy miał dla mnie czas.

Zaczęła opowiadać, jak tylko we dwie wyskoczmy do Nowego Jorku, gdy mnie wypuszczą, a ja nie miałam sumienia powiedzieć, że nie mogę sobie wyobrazić lepszego uczczenia końca Lyle House, niż wrócić do domu, zobaczyć się z tatą, odwiedzić przyjaciółki, znowu podjąć normalne życie.

Normalne życie...

Pomyślałam o duchach. Czy moje życie będzie jeszcze kiedykolwiek normalne?

Czy kiedykolwiek jeszcze ja będę normalna?

Przesunęłam wzrokiem po twarzach innych gości. Czy ktokolwiek z nich był duchem? Skąd mam to wiedzieć?

Co z tym facetem za nami w heavymetalowej koszulce, który jakby zszedł z okładki kolekcji *Kocham latać*? A co z tą starszą kobietą z długimi siwymi włosami i farbowanym podkoszulkiem? Albo z tym facetem w garniturze, który czeka przy drzwiach? Jak długoj ktoś się z nimi nie zderzy i nie odbije od nich, skąd mam mieć pewność, że to nie duchy, czekające, abym je zauważyła?

Wpatrzyłam się w sok pomarańczowy.

„To najlepszy plan, Chloe. Do końca życia unikaj koni taktu wzrokowego”.

— Jak idzie przystosowanie? Jak ci się układa z innymi?

Drgnęłam na te słowa, gdyż przypomniały mi, że mam problemy gorsze od duchów.

Uśmiechała się, ponieważ była pewna, że zna odpowiedź. Przecież musi mi się dobrze układać. Nie byłam może zbyt wylewna, ale nigdy nie prowokowałam awantur czy niesnasek. Kiedy podniosłam wzrok, uśmiech Lauren zgasł.

— Chloe?

— Tak?

— Masz jakieś problemy z kolegami?

— N-nnie. Wszystko j-jjjest... Zęby tak dzwoniły o siebie, że musiałam zamknąć usta. Każdy, kto mnie znał, wiedział, że jąkanie się jest zawsze oznaką stresu. Bez sensu jest mówić, że wszystko w porządku, kiedy z trudnością klecę zdanie.

— Co się stało?

Zacisnęła palce na widelcu i nożu, jak gdyby gotowa była nimi zaatakować każdego, kto sprawiał mi kłopoty.

— Nic.

— Nie wygaduj bzdur. Kiedy pytam o kolegów, masz taką minę, jakbyś zaraz miała zwymiotować.

— Za dużo tabasco wylałam na jajka. Z innymi wszystko jest spoko. — Czułam wwiercające się we mnie spojrzenie i wiedziałam, że tak łatwo się nie wymigam. — No dobra, jest taki jeden, ale to nic poważnego. Przecież trudno żyć ze wszystkimi w zgodzie, prawda?

— Kto to taki? — Niecierpliwym gestem odegnęła kelnera, który chciał się dowiedzieć, czy nie trzeba dolać kawy. — Nie przewracaj tak oczami, Chloe. Znalazłaś się tam, żeby odzyskać równowagę, więc jeśli ktoś cię niepokoi. ..

— Dam sobie radę.

Odłożyła sztućce i wygładziła serwetkę.

— Nie o to chodzi, Chloe. Dość masz swoich problemów. Powiedz mi, co to za chłopak, a ja już zadbam o to, żebyś nie miała z nim więcej kłopotów.

— Ale ja nie...

— Który to? Jest ich trzech, chociaż nie, teraz już tylko dwóch. Ten wielki, tak. Widziałam go rano, chciałam się przedstawić, ale on się tylko odwrócił i odszedł. Daren, Damian, jakoś tak...

Przygryzłam wargi. Naprawdę chciałam, żeby mnie posłuchała, może coś poradziła, ale nie żeby interweniowała i „załatwiała”.

— Już wiem: Derek. Kiedy mnie tak potraktował rano, pani Talbot powiedziała, że zawsze taki jest. Obce-sowy. To prawda?

— Nie jest... uprzejmy i tyle. Jak powiedziałam, nie można ze wszystkimi żyć dobrze, a reszta jest OK. Jedna dziewczyna jest w porządku, zupełnie jak tamta na obozie letnim. Pamiętasz. Tamta, która...

— Co zrobił ci ten Derek, Chloe? — spytała, nie dając mi zmienić tematu. — Czy cię... dotykał?

— N-nnnie, p-ppppewnie, że n-nnnie.

— Chloe! — Podniosła głos, bo jękanie mnie zdradzało. — Niczego nie wolno ci tu ukrywać. Jeśli cię tknął, przysięgam, że...

— Nie, nic takiego. Rozmawialiśmy, chciałam odejść, a on wtedy złapał mnie za ramię...

— Złapał cię?

— Na sekundę, nie dłużej. A ja przesadnie zareagowałam.

Znowu się do mnie nachyliła.

— Tu nie może być mowy o żadnej przesadzie, Chloe. Za każdym razem, kiedy ktoś dotyka cię na przekór twej! woli, masz prawo sprzeciwić się i protestować.

I tak to już poszło do końca śniadania. Lekcja na temat „złego dotyku”, jakbym miała pięć lat. Nie wiedziałam, co ją tak wzburzyło, skoro nawet nie pokazałam jej] sińców. Im więcej mówiłam, tym bardziej się irytowała, i w końcu zaczęłam się zastanawiać, że wcale nie chodzi o to, czy ktoś mnie molestuje lub łapie za rękę. Była zła na tatę, że wyjechał, na szkołę, że kazała mnie posłać do Lyle House, a ponieważ nic na to nie mogła poradzić, chciała mieć kogoś, z kim poradzić by sobie mogła, i jakiś problem, który mogłaby rozwiązać.

— Proszę cię — powtórzyłam po raz nie wiadomo który, kiedy wjeżdżałyśmy na podjazd. — Nic nie zrobił. Proszę cię. I bez tego jest dość trudno.

— I właśnie dlatego nie chcę, żeby było jeszcze trudniej, Chloe. Nie chcę powodować żadnych kłopotów, a wprost przeciwnie — łagodzić je. — Uśmiechnęła się. — Medycyna zapobiegawcza. — Ucisnęła mi kolano. Kiedy odwróciłam głowę do okna, westchnęła i wyłączyła silnik. U Nie bój się, nauczyłam się rozwiązywać takie problemy delikatnie, gdyż ostatnią rzeczą, jakiej może chcieć ofiara, jest kara za gadulstwo.

— Ale ja nie jestem żadną ofiarą.

— Ten cały Derek nigdy się nie dowie, kto na niego naskarżył. Nawet pielęgniarki nie będą wiedziały, że pisnęłaś mi choćby słówko. Podzielę się z nimi tylko troskami, które wynikają z mojego zawodowego doświadczenia.

— Ale daj mi najpierw kilka dni...

— Mowy nie ma, Chloe. Jeśli nie wystarczą pielęgniarki, załatwię to z ich przełożonymi. Byłabym nieodpowiedzialna, gdybym całą sprawę zostawiła jej biegowi.

Jeszcze chciałam argumentować, ale kiedy otworzyłam usta, jej już nie było w samochodzie. Tori wróciła. Pojawiła się w klasie i wszystko było po staremu.

Gdybym ja pisała tutaj scenariusz, postawiłabym na przemianę osobowości. Dziewczyna traci jedyną przyjaciółkę, którą zabierają po części z powodu jej szyderczych uwag. Kiedy koleżanki, troskliwe i wyrozumiałe, starają się podtrzymać ją na duchu, rozumie, że wcale nie była to jedyna przyjaciółka, więc przysięga sobie, że w przyszłości sama będzie osobą łagodniejszą i bardziej otwartą na innych.

Ale w prawdziwym życiu ludzie nie zmieniają się z dnia na dzień.

Od razu na samym początku poinformowała mnie, że zajęłam miejsce Liz, i ostrzegła, żebym nie zachowywała się tak, jak gdyby ona już nie miała do nas wrócić.

Na przerwie wyszła za mną i Rae na korytarz.

— Smaczne było śniadanie z ciotunią? Rodzice są zbyt zajęci, żeby ją wyręczyć?

— Och, ona na pewno by to zrobiła, ale nie jest jej łatwo wstać z grobu.

Potężny policzek, ale Tori nawet nie mrugnęła.

— A czym sobie zdążyłaś już zasłużyć na specjalni traktowanie, Chloe? To nagroda za to, że pomogłaś im pozbyć się Liz?

— Przecież ona... — zaczęła Rae, ale Tori nie dała jej dokończyć.

— Ty, Rachele, nie jesteś ani odrobinę lepsza. Pościel Liz jeszcze nie zdążyła wystygnąć, a ty już wskoczyłaś do łóżka swojej nowej kumpeli. No więc, Chloe, jak im się przypodobałaś?

— A jakie to niby specjalne traktowanie — odcięli się Rae. — Ty ciągle wychodzisz z matką. Chloe pewnie dostała nagrodę za dobre zachowanie, ale w twoim przypadku chodzi o to, że twoja matka jest w radzie nadzorczej szkoły.

W naszym wieku „dobre zachowanie nie jest czymś, czym ludzie się szyczą; ale twarz Tori zapłonęła, a nozdrza zaczęły poruszać się gwałtownie, jak gdyby Rae sięgnęła po najcięższą z możliwych obraz.

— Ach tak? — syknęła. — Tylko twoich rodziców nieczęsto się tu widuje, prawda, Rae? Ile to razy odwiedzili cię czy chociażby zadzwonili? Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę, aha! Ile razy? Zero!!! — Ułożyła kciuk i palec wskazujący w znak „O”. — I wcale nie chodzi o żadne złe zachowanie. Po prostu mają to gdzieś.

Rae pchnęła Tori na ścianę, a ta rozdzierająco zawyła.

— Oparzyyyła mnie! — wydarła się na cały korytarz.

— Tylko cię pchnęłam!

Z klasy wybiegli pani Wang, a także Simon i Derek, którzy stanęli za jej plecami.

— Rae mnie oparzyła. Musi mieć zapałki albo coś takiego. Niech pani spojrzy...

Tori odciągnęła rękaw T-shirtu, pokazując łopatkę. Simon zakrył rękami oczy.

— Błagam cię, Tori, nie zdejmuj wszystkiego.

Z ust Dereka wydobył się dziwny dźwięk, niepokojąco przypominający śmiech.

Rae podniosła otwarte dłonie.

— Żadnych zapałek, żadnej zapalniczki, niczego nie schowałam.

— Tori, widzę tylko delikatne zaczerwienienie od zetknięcia ze ścianą — oznajmiła pani Wang.

— Ale mnie oparzyła, wyraźnie czułam. Ma gdzieś schowane zapałki. Proszę ją obszukać! Proszę coś zrobić!

— A może ty byś coś wreszcie zrobiła — mruknął Simon, przechodząc obok nas. — Na przykład zastanowiła się nad sobą?

Okręciła się i rzuciła, ale nie na niego, lecz na Rae. Pani Wang zdołała w porę ją pochwycić i zaczęły się siłować. Nadbiegły inne pielęgniarki.

Tak, Tori wróciła.

Rozdział siedemnasty

Przez całą pierwszą lekcję bałam się, że do klasy wkroczy pani Van Dop albo doktor Gili i poprosi Dereka na rozmowę. Nie powinnam była zawierzyć ciotce. Kiedy wróciłyśmy ze śniadania, spokojnie poprosiła panią Talbot na bok, mówiąc, że chce omówić kwestię moich postępów. Nikt niczego nie podejrzewał, nikt też nie wpadł do klasy i nie wyciągał Dereka na przesłuchanie.

Jeśli nie liczyć wysokości Tori, nic nie zakłóciło spokojnego poranka. W klasie Derek mnie ignorował, a potem udał się na przedpołudniową sesję z doktor Gili. Kiedy wyszedł, czekałam na korytarzu pod drzwiami łazienki, w której, jak zawsze przed posiłkiem, siedział *Simon*. Nigdy jeszcze nie widziałam faceta tak dbającego o mycie rąk przed jedzeniem.

Myślałam już, żeby iść na piętro do łazienki dla dziewcząt, kiedy w drzwiach gabinetu doktor Gili stanął Derek. Zebrałam się w sobie, żeby nie wyszło na to, że przed nim uciekam. Za *progiem* zatrzymał się i wpatrzył we mnie. Serce mi łomotało tak, że byłam pewna, iż musi to słyszeć. Podobnie byłam pewna, że właśnie dostał opieprz. Nasze oczy spotkały się. Kiwnął mi głową, mruknął coś w rodzaju „hej” i miał mnie już minąć, gdy ; otworzyły się drzwi do łazienki.

Wyszedł Simon ze spuszczoną głową. Na mój widok schował coś do tylnej kieszeni spodni.

— Znowu się zasiedziałem i zaraz jest kolejka.

— Tylko Chloe — powiedział Derek i przytrzymał przede mną drzwi.

W ogóle nie wydawał się zły, wprost przeciwnie, miłszy niż zwykle. Ciotka ekstra to załatwiła. Powinnam była jej ufać.

Wchodząc, usłyszałam, jak Simon odezwał się do Dereka:

— A ty dokąd? Jadalnia jest w tym kierunku.

— Zaczynajcie beze mnie, muszę wziąć coś z pokoju.

Chwila ciszy, „Ja też” i kroki Simona idącego po schodach za Derekiem.

Po obiedzie na mnie przyszła kolej wyrzucić śmieci. Doświadczenie życiowe, powtarzałam sobie, popychając przed sobą kubek i odganiając ciekawskie muchy. Wszystko może się przydać. Trudno przewidzieć, kiedy w krytycznej scenie bohaterka będzie musiała usunąć śmieci.

Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Słońce świeciło mi prosto w twarz, kwitły drzewa i zonkile, zapach świeżo skoszonej trawy niemal tłumiał odór śmietnika.

Świetny początek popołudnia. Lepszy niż mogłam się spo...

Znieruchomiałam. Na sąsiednim podwórku był duch. Mała dziewczynka, nie więcej niż czteroletnia.

Musiała być duchem. Miała na sobie sukienkę z falbankami: wszędzie wstążki i kokardki, nie tylko na sukience, ale i na butach. Zupełnie jakby Shirley Tempie zeszła ze starego afisza filmowego.

Torby wyjęte z kubła wrzuciłam do śmietnika i zasunęłam klapę, żeby nie mogły się tam dostać szopy i skunksy. Z hukiem uderzyły w dno, chociaż było to raptem o pięć metrów od dziewczynki, ta nawet nie podniosła wzroku. Obeszłam śmietnik i przykucnęłam przy dzielącej oba podwórka siatce.

— Hej! — powiedziałam, a ona zmarszczyła brwi, jak gdyby nie była pewna, do kogo się zwracam. Uśmiechnęłam się. — Tak, mogę cię widzieć. Ale ładna sukienka. Też I w takiej chodziłam, jak miałam cztery lata.

Zerknęła z wahaniem przez ramię, a potem przysunęła się bliżej.

— Mamusia mi kupiła.

— Mnie też kupiła mama. Podoba ci się? Przytaknęła; w jej ciemnych oczach igrał uśmiech.

— No pewnie. Ja także lubiłam swoją. A czy,..

— Amanda!

Dziewczynka odskoczyła tak gwałtownie, że usiadła na ziemi z cichym piskiem. Rzuciła się ku niej kobieta J w spodniach i skórzanym płaszczu. W rękę brzęczały jej klucze, z tyłu dobiegł trzask zamykających się drzwi.

— Och, Amando, popatrz, pobrudziłaś swoją śliczną *sukieneczkę*.

Rzuciła mi gniewne spojrzenie, a potem poderwała dziewczynkę i przytulając ją, poszła do domu. Wyraźnie usłyszałam słowa:

— Tyle razy ci powtarzałam, Amando, żebyś tam nie j podchodziła. Nigdy nie rozmawiaj z tymi dziećmi. Przenigdy, słyszysz mnie?

Nie rozmawiaj ze świrami. Chciałam krzyknąć, że Wcale nie jestem wariatką. Po prostu wzięłam jej córkę za ducha, to wszystko.

Byłam ciekawa, czy są jakieś książki na ten temat. Na przykład *Pięćdziesiąt sposobów na odróżnienie żywych od martwych, zanim znajdziesz się w domu bez klamek*. Tak, jestem pewna, że w bibliotekach musi gdzieś być taka pozycja.

Przecież nie mogłam być jedyną osobą, która widzi duchy. Może odziedziczyłam to jak kolor oczu? Czy też raczej nabawiłam się tego jak wirusa?

Tak czy siak, są z pewnością inni, tylko jak ich rozpoznać? Potrafię? I czy powinnam?

Usłyszałam odgłos kroków, ktoś nadchodził. Żywa istota. To nauczka, którą już sobie przyswoiłam: duchy mogą krzyczeć, płakać, mówić, ale poruszają się bezszelestnie.

Ciągle byłam skryta za śmietnikiem. Zupełnie jak w piwnicy, tylko że tutaj nikt nie usłyszałby wołania o pomoc.

Chciałam rzucić się do ucieczki, gdy cień mignął zza rogu śmietnika. Simon.

Szedł do mnie z twarzą pociemniałą z gniewu. Zesztywniałam, ale się nie cofnęłam.

— Co takiego nagadałaś?

Mówił wolno, starannie dobierając słowa, jakby starał się panować nad głosem.

— Nagadałam?

— Pielęgniarkom. Na mojego brata. O coś go obwiniłaś.

— Nic nie mówiłam pielęgniarkom.

— To nagadała twoja ciotka. — Jego palce nerwowo przebierały po ścianie śmietnika. —

Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Ty nakapowałaś ciotce, ta poszła do pielęgniarek, a potem doktor Gili wzięła Dereka na rozmowę przed obiadem i ostrzegła go, żeby dał ci spokój. Jeśli nie posłucha, to go wywalą.

C-ccco t-tttakiego?

— Wystarczy twoje słówko, a z nim koniec. Wywali go. — Pulsowała mu żyła na skroni. —

Wszystko było z nim w porządku ód czasu, gdy tu wylądował. I nagle, ledwie się zjawiłaś, zaraz znalazł się na widelcu. Wystarczy, że coś ci się nie spodoba, a on ma przechlapane.

— J-jjjan-nnnic...

— Coś zaszło między wami dwa wieczory temu, tak?¹ Derek wrócił na górę kompletnie wystraszony, ale powiedział tylko tyle, że rozmawiał z tobą i zawalił. Nic więcej nie chciał mówić.

Niczemu nie czułam się winna. Wcale nie chciałam obmawiać Dereka. Byłam tylko mało rozmowna podczas śniadania i ciotka zorientowała się, że coś mnie trapi, chociaż ktoś mógłby podejrzewać, że swoim zachowaniem celowo sprowokowałam ją do wypytywania.

Natomiast byłam wściekła na Simona za jego postawę. Oskarżył mnie o zmyślanie jakichś historii tylko po to, aby przywalić jego biednemu, niezrozumianemu braciszkowi.

— W restauracji było gorąco i nieostrożnie podwinęłam rękawy — powiedziałam.

— Jakie znowu rękawy?

Pokazałam mu lewe ramię z czterema siniakami, które zdążyły już nabrać atramentowej barwy. Pobladał jak ściana.

— Ciotka zaraz zaczęła się dopytywać, co się stało.

Nie chciałam nic powiedzieć, ale w końcu wyciągnęła ze mnie, że to chłopak. Rano natknęła się na Dereka, który był jak zwykle opryskliwy, więc uznała, że to on musiał być sprawcą, czego ja nie potwierdziłam. Jeśli ma teraz jakieś kłopoty, to nie z mojej winy. Przecież miałam pełne prawo, żeby się komuś poskarżyć, a tego nie zrobiłam.

— Dobrze już, dobrze. — Nie mógł oderwać wzroku od mojego ramienia. — Złapał cię, tak? Tak to wygląda., Po prostu złapał mocniej, niż myślał.

— I jeszcze rzucił mnie na podłogę.

Simon wytrzeszczył oczy i przygryzł wargę, nie mogąc ukryć zaskoczenia.

— Na pewno tego nie chciał. Gdybyś widziała, jaki przerażony wrócił do pokoju, natychmiast byś zrozumiała.

— Więc to wszystko tłumaczy? Jeśli stracę cierpliwość i dam ci po gębie, wszystko jest OK, bo tego nie chciałam, nie miałam takiego planu. Tak?

— Nic nie rozumiesz. On tylko..,

— Ona ma rację.

Głos Dereka rozbrzmiał, zanim on sam wyłonił się zza rogu.

Skuliłam się ze strachu; to było silniejsze ode mnie. Po twarzy Dereka przemknął cień.

Wyrzut sumienia? Poczucie winy? Odwrócił oczy.

Zza pleców Simona mruknął:

— Tamtego wieczoru chciałem z tobą porozmawiać, więc kiedy próbowałaś odejść, złapałem cię...

— I cisnąłeś na podłogę.

— Ja wcale... OK, powiedziałem już, masz rację. Nic mnie nie tłumaczy. Simon? Idziemy! Simon pokręcił głową.

— Nie, ona tego nie rozumie. Widzisz, Chloe, to nie jest wina Dereka. Jest megasilny...

— A ty nie miałaś na sobie ochronnego naszyjnika z kryptonitu — dorzucił Derek, a przez jego wargi przewinął się gorzki uśmiech. — Tak, jestem duży. No i silny] Może nawet sam jeszcze nie wiem jak.

— On naprawdę... — zaczął Simon, ale Derek nie dał mu dokończyć.

— Nie ma co tłumaczyć. Chcesz, żebym trzymał się od ciebie z daleka. Masz załatwione.

— Derek, powiedz jej...

— Daj spokój, nie ma sensu. Jej to nie obchodzi, powiedziała to bardzo wyraźnie. A teraz spadajmy stąd, bo znowu ktoś mnie z nią przyłapie i będzie afera.

— Chloe! — rozległo się wołanie pani Talbot.

— Ale koordynacja — mruknął Derek. — Musi mieć szósty zmysł.

— Już idę — krzyknęłam i wychyliłam się zza śmietnika tak, żeby mogła mnie zobaczyć.

— Tak, tak, idź — powiedział Derek. — Żebyś się czasem nie spóźniła na swoje lekarstwa.

Krew uderzyła mi do głowy, ale przygryzłam wargi i ominęłam ich szerokim łukiem.

Usłyszałam, jak Simon i mruczy coś pod nosem jakby do Dereka.

Przede mną uniósł się dym. Odskokczyłam. Pełzł po ziemi niczym tuman mgły.

— Simon! — syknął Derek. Odwróciłam się, wskazując palcem dym.

— Co to jest?

— Jakie co? — Derek powiódł wzrokiem za moim palcem. — Hmmm, to pewnie duch. Nie, zaraz, przecież

Ty nie widzisz duchów, tylko masz halucynacje. Więc pewnie halucynacja.

— To nie może...

— Nie przejmuj się, Chloe. — Derek wcisnął ręce do kieszeni spodni i kołysał się na obcasach. — To tylko wyobraźnia, jak we wszystkich innych sprawach. A teraz biegnij, weź

swoje lekarstewka i bądź grzeczną dziewczynką. I naprawdę, nie masz się czego bać. Będę już z daleka schodził ci z drogi. Po prostu pomyliłem się, i to 'bardzo. — Przacenił mnie, nie zasługiwałam na jego zainteresowanie. Pięści same mi się zacisnęły. — Uważaj, Chloe, żebyś czasem ty się na mnie nie rzuciła, bo wtedy ja będę musiał na ciebie naskarżyć.

Simon zrobił krok do przodu.

— To nie tak, Derek. Ona nie naskarżyła...

— Dobrze o tym wie — wpadłam mu w słowo. — Drażni się ze mną. Jest karkiem i mięśniakiem, a te wszystkie nie wiadomo jakie „tajemnice” może zachować dla siebie. Tu ma rację, nic mnie to nie obchodzi.

Odwrociłam się i chwyciłam za rączki kubła.

— Czekaj, pomogę ci — odezwał się Simon.

— Da sobie radę.

Derek chwycił za ramię Simona, ale ten usiłował strząsnąć jego dłoń.

— Chloe...

Nie odwracając się, potoczyłam kubek pod dom.

Rozdział osiemnasty

W tylnych drzwiach mato nie zderzyłam się z Tori.

— Fajnie było pod śmietnikiem? — spytała. Zerknęłam przez okno; koło śmietnika widać było

Simona. Mogłam powiedzieć, że mi pomagał, albo — jeszcze lepiej — zwrócić uwagę, że widać tam także Dereka.

Tyle że nie widziałam specjalnie sensu.

Derek miał do mnie żal, że go wpędziłam w kłopoty, Simon miał do mnie żal, że wpędziłam w kłopoty Dereka.

Jeśli Tori chciała mieć do mnie żal, że się przystawiam do jej chłopaka-niechłopaka, niech ma. Brak mi było siły, by się tym przejmować.

Rae była przygaszona całe popołudnie, najprawdopodobniej z powodu uwag Tori, że rodzice jej nie odwiedzają. Na przerwie pozwolono nam iść przed lekcjami na górę, aby przenieść do mnie resztę jej fotografii.

— Dzięki za pomoc — powiedziała. — Wiem, że nie] muszę tego robić natychmiast, ale gdybym jakieś zdjęcie zostawiła, Tori mogłaby je wyrzucić i powiedzieć potem, że myślała, iż już go nie chcę.

Zapatrzyłam się na fotografię blond dziewczynki, mniej więcej trzyletniej, i odrobinę starszego chłopca, który wyglądał na Indianina.

— Ekstra! Znajomi? Dzieci, którymi się opiekowałaś? i— Młodszy brat i siostra.

Twarz mi spurpurowiała, gdy zaczęłam przeproszać, jękając się.

— Nie masz za co przeproszać. Zostałam adoptowana na. Moja matka była z Jamajki, w każdym razie tak mi powiedziano. Podobno była dzieckiem, kiedy mnie urodziła więc musiała mnie oddać. To... — wskazała na zdjęcie pozującej na plaży pary rasy kaukaskiej — ..moja mama i tata. .To,.. — palec przesunął się na zdjęcie dziewczynki o hiszpańskiej urodzie, która uśmiechała się do obiektywu zza Kaczora Donalda — ..moja siostra Jess. Ma dwanaście lat. To... — machnęła w kierunku rudzielca o poważnej twarzy — ..mój brat Mike. Osiem lat. Jak widzisz, wielokulturowa rodzina.

— Pięcioro dzieci? Wow!

— Jess i mnie adoptowali. Reszta to rodzeństwo przyrodnie. Mama lubi dzieci. — Przygryzła wargę. — Przynajmniej w teorii.

Przeszliśmy do mojego pokoju. Rae wzięła ode mnie stos fotografii i położyła na swojej nowej toalecie.

Kiedy odkładała na bok konsolę Nintendo DS, po-^o stuknęła palcem w podrapany plastik.

— Wiesz, jak to jest z dziećmi, kiedy dostają nowe Gizmo. Przez kilka tygodni czy nawet miesięcy to najbardziej cool, najlepsze, najbardziej interesujące coś, jakie miały kiedykolwiek, i przez jakiś czas gadają tylko o tym. Chodzą z tym wszędzie. A potem któregoś dnia dostają nowy gadżet, ze starym wszystko jest OK, tyle że nie jest już ani cool, ani nowy. No więc tak właśnie jest z moją mamą. — Nachyliła się nad łóżkiem. — Ale u nie) nie są to gadżety, tylko dzieci.

— O-o!

— Dopóki są małe, wszystko *jest świetnie*. Jak *zaczynają rosnać*... już nie tak bardzo. — Usiadła na łóżku i pokręciła głową. — Nie wiem, chyba jestem dla niej zbyt surowa. Jak

jesteś maluchem, mama jest cool, nigdy nie robi niczego złego, a potem rośniesz... — Urwała i zaczerwieniła się. — Przepraszam, przecież ty tego nie przeżyj łaś... Naprawdę przepraszam. — Nie ma za co. Także ja przysiadłam na łóżku.

— Tata nigdy się potem nie ożenił? Pokręciłam głową.

— Więc kto się tobą opiekuje? W drodze na lekcje opowiedziałam jej o ciotce Lauren i niekończącym się ciągu gospodyń, a ona tak zaśmiewała się z moich komentarzy, że zapomniała o wszystkich innych rzeczach... przynajmniej na jakiś czas.

Podczas popołudniowej sesji z doktor Gili odegrałam rolę jej godną Oscara. Przyznałam, że zgodnie z jej przypuszczeniami sądziłam wcześniej, że mogę widzieć duchy. Teraz, po wysłuchaniu jej diagnozy, a także kiedy leki zaczęły już działać, zrozumiałam, że miałam halucynacje. Miałam schizofrenię i potrzebowałam pomocy. Dała się kupić bez reszty.

Teraz tylko przez tydzień czy odrobinę dłużej nie wypaść z roli, a będę wolna.

Po lekcjach razem z Rae odrobiłyśmy zadane prace w pokoju medialnym. Simon kilka razy przeszedł koło drzwi; myślałam, że może chce ze mną porozmawiać, ale kiedy wyjrzałam, on zniknął już na schodach.

I Przez cały czas myślałam o tej mgle koło śmietnika. Niby nie zobaczył jej także Derek, może uznałabym, że to duch.

I Czemu jednak syknął na Simona? Czyżby Simon ja-Łoś powodował moje „halucynacje”? Coś w rodzaju efektów specjalnych?

Jasne, to wszystko tłumaczyło. Duchy widziane w szkole to holograficzne projekcje kolesia, którego nigdy przedtem nie spotkałam. Pewnie. Coś jednak się działo.

Albo przynajmniej Derek chciał, żebym tak sądziła.

Nie chcąc niczego wytłumaczyć i robiąc z tego wielkie halo, Derek pragnął, żebym postępowała tak, jak właśnie postępowałam: żebym zastanawiała się nad tym, czegoż to *me* zamierzał mi powiedzieć. Chciał, żebym przyszła do niego i błagała o odpowiedź, a wtedy mógłby się jeszcze trochę nade mną poznęcać.

Nie było sposobu, żeby Simon lub Derek mogli wyprodukować duchy w mojej szkole, ale już z mgiełką sprawa nie była taka trudna. Może zrobił to Derek i dlatego Simon protestował, a Derek go uciszył.

Czy Simon bał się swojego brata? Udawał, że go broni i że są najlepszymi kumplami, ale czy miał jakiś wybór? Musiał trzymać się z Derekiem aż do powrotu ojca.

Gdzie był ojciec?

Dlaczego zapisał Simona i Dereka do szkoły pod fałszywymi nazwiskami?

Dlaczego Simon przebywał w Lyle House, skoro nie było tu żadnych jego papierów?

Mnóstwo pytań, musiałam zacząć szukać odpowiedzi.

Zbieraliśmy ze stołów po kolacji, gdy pani Talbot weszła do jadalni z mężczyzną, którego przedstawiła jako pana Davidoffa, przewodniczącego rady nadzorczej, pełniącej piecza nad Lyle House. Miał tylko małą kępkę włosów na czubku głowy, długi, spiczasty nos i był tak wysoki, że wydawało się, iż nieustannie się nachyla, aby usłyszeć to, co się do niego mówi. Z tą pozą, włosami i nosem bardzo nieprzyjemnie przypominał sępa, a wrażenie to pogłębiały jeszcze skryte za okularami, maciupkie jak paciorki oczy.

— To pewnie mała Chloe Saunders. Promieniował fałszywą przyjaznością faceta w średnim wieku, któremu, ponieważ nie ma dzieci, do głowy nawet nie przyjdzie, że piętnastolatka może się czuć fatalnie, kiedy nazywa się ją „małą” Chloe Saunders. Niezgrabnie poklepał mnie po plecach.

— Podobają mi się twoje włosy Chloe. Czerwona pasemka. Bardzo cool.

„Cool” wypowiedział tak, jak ja hiszpańskie słowo, kiedy nie jestem pewna wymowy. Rae przewróciła oczami za jego plecami, a potem stanęła przed nim z uśmiechem.

— Dzień dobry, panie doktorze.

— O, Rachele! To znaczy, przepraszam, Rae, prawda? Trzymasz się jak najdalej od kłopotów?

Rae przywołała na twarz uroczy uśmiech, przeznaczony dla dorosłych, których trzeba było zwieść.

— Oczywiście, panie doktorze.

— Kochana dziewczynka. Dowiedziałem się, Chloe, od doktor Gili, że dzisiaj dokonał się u ciebie prawdziwy przełom. Pani doktor jest bardzo zadowolona z postępów, jakie czynisz, z tego, jak szybko dostosowałaś się do rygoru terapeutycznego i zaakceptowałaś jej diagnozę. Zrobiłam wszystko, żeby się nie skrzywić. Intencje miał zapewne dobre, ale mnie niezbyt zależało na powalach, że jestem posłuszną pacjentką. Zwłaszcza że Derek przestał jeść i uważnie się przypatrywał.

„A teraz biegnij, weź swoje lekarstewka i bądź grzeczną dziewczynką”.

Tymczasem doktor Davidoff ciągnął: — Zazwyczaj spotykam się z naszymi małymi przyjaciółmi dopiero, kiedy spędzą już tutaj co najmniej tydzień, ponieważ jednak tak szybko ci się poprawia, nie I mamy zamiaru przetrzymywać cię ponad potrzebę, jestem pewien, że chcesz jak najszybciej wrócić do szkoły i do przyjaciółek, prawda?

— Tak, proszę pana — potwierdziłam i skopiowałam uśmiech Rae, ignorując chmurne spojrzenie Dereka.

— Chodź zatem ze mną, porozmawiamy w gabinecie doktor Gili.

Położył mi rękę na ramieniu, ale w tym samym momencie zastąpiła mu drogę Tori.

— Dzień dobry, panie doktorze. To nowe lekarstwo, które mi pan przepisał, jest wspaniałe. Czuję się coraz lepiej.

— To świetnie, Victorio, to świetnie.

Poklepał ją z roztargnieniem po ramieniu, a następnie pociągnął mnie za sobą.

Rozmowa z nim bardzo przypominała pierwszą sesję z doktor Gili: pytania, a jednocześnie przeglądanie papierów. Kim jest Chloe Saunders? Co jej się przytrafiło? jak się do tego odnosi?

Mógł to z pewnością znaleźć w notatkach doktor Gili, która zresztą została tego dnia dłużej, żeby też uczestniczyć w rozmowie, ale *wszystko było jak w filmie kryminalnym*, kiedy detektyw przesłuchuje oskarżonego, za dając te same pytania *co jego* kolega, rzecz bowiem nit w informacjach, lecz w tym, jak są przekazywane. Jakie są moje reakcje emocjonalne? Co dodałam za drugim razem? Co opuściłam?

Przy całej swojej fałszywej serdeczności doktor Davidoff był przełożonym doktor Gili i kontrolował jej pracę. Siedziała sztywna, nachylona do przodu i w takim napięciu śledziła każde moje słowo i każdy gest, jakby była studentką, która nie chce uronić niczego, co może się przydać przy egzaminie. Tymczasem Davidoff się nie spieszył, sobie zrobił kawę, mnie nalał soku, zanim zaczął, przez kilka chwil luźno gawędził ze mną, abym się odprężyła.

Kiedy doszliśmy wreszcie do kwestii, czy miałam jakieś halucynacje już po przybyciu do Lyle House, odparci łam, że tak, najpierw drugiego ranka oddzieloną od ciała i rękę, a potem w trakcie dnia słyszałam głos. Nic nie wspomniałam o dniu poprzednim, natomiast zgodnie z prawdą powiedziałam, że *dzisiaj* wszystko było dobrze.

Przez całą rozmowę przemknęłam bez najmniejszego potknięcia. Na koniec powiedział mi, że radzę sobie „świetnie, po prostu świetnie”, poklepał mnie po plecach i wyprowadził z gabinetu.

Przechodząc obok pokoju medialnego, zajrzałam do środka. Derek obrócony do mnie plecami, grał na komputerze w coś, co wyglądało na wojenną grę strategiczną. Simon rozwalony na fotelu z nogami przerzuconymi przez oparcie też grał, tyle że na swoim Nintendo DS.

Zobaczywszy mnie, lekko się wyprostował i rozchylił usta, jakby chciał mnie o coś nagabnąć.

— Jeśli idziesz po coś do jedzenia — powiedział Derek, nie odwracając się od ekranu — przynieś mi colę. Wiesz, gdzie ją chowają.

Simon przez chwilę się we mnie wpatrywał. Brat dawał mu znakomity pretekst, żeby wyszedł na rozmowę ze mną, tymczasem on się wahał, jakby węszył jakiś podstęp. Nie było mowy, żeby Derek wiedział, że znajduję się za nim, ale Simon powrócił do dawnej pozycji.

— Jak chcesz colę, weź sobie sam.

— Nie mówiłem, żebyś mi przyniósł, powiedziałem: „Jeśli idziesz”.

— Nie idę.

— Więc tak trzeba było odpowiedzieć. Co się z tobą dzisiaj dzieje?

Poszłam dalej korytarzem.

Rae była w jadalni, dalej odrabiała lekcje na jutro.

— Masz DS, prawda?

— Tak, ale tylko Mario Kart. Chcesz?

— Chętnie.

— Leży na toaletce.

Znowu zatrzymałam się przy drzwiach do pokoju medialnego. Siedzieli tak samo, zupełnie jakby się nie ruszyli od chwili, gdy ostatnio ich widziałam. I znowu Simon zerknął, a ja pokazałam konsolę. Uśmiechnął się i pokazał uniesiony kciuk.

Teraz tylko miejsce, z którego będę mieć zasięg... Miałam w domu DS i wiedziałam, że mogę połączyć się z innym graczem, jeśli nie był dalej niż o piętnaście metrów. Pokój medialny znajdował się między holem i klasą; ani tam, ani tam nie mogłam się zasadzić. Ale położony był dokładnie pod łazienką, poszłam więc na górę, zamknęłam się i wrzuciłam PictoChat, modląc się, żebym miała połączenie z Simonem. Miałam.

Rysikiem napisałam: „Gadamy?”

Przeciągnął fajkę, potem napisał „D” i dołączył rysunek, w którym po krótkiej chwili rozpoznałam oko. Tak, chciał rozmawiać, ale Derek miał go na oku.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, przesłał następną wiadomość. „D8?” a do tego pudełko, w którym napisał „mydło” i narysował bąbelki. Moment się wpatrywałam, w końcu uznałam, że sens jest taki: „Derek koło ósmej bierze prysznic”.

Skasował, narysował „8”, a do tego „podw.”. „Spotkajmy się o ósmej na podwórku”.

Przesłałam rajkę.

Rozdział dziewiętnasty

Za dziesięć ósma pomagałam Rae wypakowywać zmywarkę. Słyszałam, jak Simon pyta, czy może wyjść i porzucić trochę do kosza, podczas kiedy Derek bierze prysznic. Kiedy zmywarka była pusta, powiedziałam Rae, że zobaczymy się później, i wysliznęłam się za Simonem.

Jak przestrzegała pani Talbot, na zewnątrz robiło się już ciemno, tym bardziej że dziedzińiec okalały wysokie drzewa. Betonowe boisko do koszykówki było poza zasięgiem światła na tylnej werandzie, więc widziałam tylko migającą biel koszulki Simona i słyszałam odgłos kozłującej piłki. Obeszłam boisko.

Nie widział mnie, z poważną twarzą i wzrokiem wbitym w piłkę trenował zwody.

Nie wychodząc z cienia, podeszłam bliżej i czekałam, aż mnie zauważy. Kiedy mnie wreszcie spostrzegł, podskoczył jakby zaskoczony, a potem wskazał mi jeszcze ciemniejsze miejsce po drugiej stronie boiska.

— Wszystko w porządku? — spytałam. — Wydajesz się jakiś... zafrasowany.

— Zamyślony... to wszystko. — Spojrzał na ogrodzenie. — Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjdę. Jak chyba wszyscy, tylko że...

— Rae mówi, że jesteś tu już od jakiegoś czasu.

— Powiedzmy.

Przez jego twarz przemknął cień, jak gdyby wejrząwszy w przyszłość, nie *zobaczył* w niej żadnych jasnych perspektyw. Ja miałam dokąd wracać. Ich skierował Wydział Opieki nad Dziećmi. Dokąd mieli trafić po wyjściu stąd?

Mocno odbił piłkę i uśmiechnął się niewyraźnie...

— Trochę tracimy czas, prawda? Za jakieś dziesięć minut Derek zacznie mnie szukać. No więc, po pierwsze! chciałem przeprosić.

— Za co? Przecież nic nie zrobiłeś.

— Za Dereka.

— *Jest tylko* twoim bratem, przecież nie *jesteś za* niego odpowiedzialny, nie masz *wpływu* na to, co robi. — Kiwnęłam głową w kierunku domu. — Dlaczego nie| chciałeś, żeby widział, jak rozmawiamy? Będzie się wściekał?

— Nie będzie zadowolony, ale... — Zobaczył wyraz mojej twarzy i parsknął śmiechem. —

Chodzi ci o to, J że boję się, że mnie zleje? Nie, nie, z Derekiem jest inaczej. Jeśli jest zły, traktuje mnie tak jak wszystkich innych, po prostu ignoruje. Nie jest to *aż takie złe*, ale jeśli tylko mogę, nie chcę go denerwować. Chodzi *oto*... — Przez! *chwile* kozłował piłkę, nie *odrywając od niej* wzroku, *poi&* tern chwycił ją w obie dłonie. — Już jest wściekły, że wystąpiłem w jego obronie, nienawidzi tego, a teraz, kiedy rozmawiam z tobą, żeby wyjaśnić to, czego on nie chce I wyjaśniać... — Zakręcił piłką na czubku palca. — Widzisz, Derek nie jest specjalnie towarzyski. — Przygryź-1 łam wargi, żeby się nie roześmiać. Też mi odkrycie! — Kiedy uznał, że być może widzisz duchy, powinienem być I powiedzieć: „OK, bro, porozmawiam z nią”. Ja bym to załatwił... no, trochę inaczej. Dla niego sprawa jest prosta, jak dodać dwa do dwóch. Jeśli sama nie możesz tego zobaczyć i nie słuchasz tego, co ci podpowiada, będzie na ciebie naciskał, aż się ockniesz.

— Rozumiem, uciekanie z krzykiem niewiele pomoże.

Roześmiał się.

— No wiesz, jakby Derek zaczął na mnie naciskać, także i ja uciekłbym z krzykiem. A dzisiaj nigdzie nie uciekałaś. Postawiłaś mu się, a możesz mi wierzyć, że to dla niego coś niezwykłego. — Przekrzywił głowę i ciągnął: — I dobrze. Tak właśnie powinnaś robić: nie dawać sobie wciskać jego kitu.

Rzucił piłkę, a ta gładko przeszła przez obręcz.

— Więc Derek myśli, że jestem... nekromantą?

— Widzisz duchy, prawda? A ten umarlak, który z tobą rozmawiał i cię gonił, chciał, żebyś mu pomogła, prawda?

— A skąd ty...

Serce mi tak łomotało, że z trudem chwytałam oddech. Oznajmiłam doktor Gili, że akceptuję jej diagnozę, chociaż więc chciałam zaufać Simonowi, bardzo się tego bałam.

— Skąd wiem? Bo tak duchy postępują z nekromantami. Jest ktoś, kto jako jedyny może je słyszeć, a one wszystkie mają coś do powiedzenia. Właśnie dlatego siedzą w czyścicu, czy gdziekolwiek to jest. — Wzruszył ramionami i znowu przymierzył się do rzutu. — Nigdy nie spotkałem żadnego nekromanty. Mówię to, co słyszałem.

Odetchnęłam głęboko i powiedziałam:

— Dla mnie to brzmi sensownie. Myślę, że jeśli są duchy, to tak postępowałyby z ludźmi, którzy uważają, że są w stanie słyszeć zmarłych. Z mediami, spirytualistami, psychikami, jakkolwiek ich nazwać.

Pokręcił głową.

— Media, spirytualiści, psychicy, wszyscy oni myją ślę, że są w stanie rozmawiać, natomiast nekromanci są w stanie. To dziedziczne. — Po wargach przemknął mu uśmiech. — Jak włosy blond. Można je ufarbować na czerwono, ale pod spodem zostaną blond. Nawet jeśli będziesz ignorować duchy, one i tak będą cię nachodzić, gdyż wiedzą, że potrafisz je zobaczyć, — Nie rozumiem.

Podrzucił piłkę i chwycił otwartą na płask dłońią. Potem mruknął coś pod nosem, a kiedy chciałam powiedzieć, że nie rozumiałam, piłka się uniosła. Lewitowała.

Gapiałam się na nią wytrzeszczonymi oczami.

— Wiem, że to równie bezużyteczne jak pasmo mgły — ciągnął, tak uporczywie wpatrzony w piłkę, jakby się! koncentrował. — Gdybym potrafił ją podnieść więcej niż na kilka centymetrów, na przykład na wysokość obręczy, i mógł to powtarzać za każdym razem, byłaby to naprawdę niezła sztuczka. Ale nie jestem Harrym Potterem i prawdziwa magia nie tak działa.

— To... magia? — powiedziałam z niedowierzaniem. Piłka opadła na dłoń Simona.

— Nie wierzysz mi, prawda?

— J-jjja... — zająknęłam się, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

Zaśmiał się w głos.

— Na pewno myślisz, że to jakiś trik, jakiś efekt specjalny. No nic, pani miłośniczko kina, podejdź tutaj i mnie sprawdź.

— Nie trze...

— Stań tutaj. — Wskazał miejsce za sobą. — Zobacz, Bzy są jakieś sznurki, linki, dźwignie. Przynęłam się bliżej. Wypowiedział kilka słów i te-[raz już wiedziałam, że nie były po angielsku.

Kiedy piłka ani drgnęła, lekko zaklął pod nosem.

— Mówiłem, że żaden ze mnie Harry Potter, prawda? Spróbujmy jeszcze raz.

Powtórzył dziwne słowa, wolniej, uważnie wpatrzony w piłkę. Podjechała w górę parę centymetrów.

— Sama teraz sprawdź, czy coś ją podtrzymuje lub podpira.

Zawahałam się, ale tak mnie zachęcał, że podeszłam jeszcze bliżej i wsunęłam palec między piłkę i jego dłoń. Kiedy na nic nie natrafiłam, włożyłam wszystkie palce i nimi poruszyłam. Ręka Simona zamknęła się na mojej; wydałam stłumiony okrzyk. Piłka uderzyła o beton.

— Przepraszam — powiedział, lekko się uśmiechając. — Nie mogłem się powstrzymać.

— Ja... Łatwo mnie przestraszyć, jak pewnie słyszałeś już od Dereka. Jak ty to... — Urwałam i spojrzałam na piłkę, która znieruchomiła na trawie. — Wow.

Uśmiechnął się szerzej.

— Wierzysz mi teraz?

Wpatrywałam się w piłkę i szukałam jakiegoś innego wyjaśnienia, ale żadne się nie nasuwało.

— Możesz mnie tego nauczyć? — spytałam w końcu.

— Nie. Tak samo jak ty nie możesz mnie nauczyć widzieć duchy. A nawet gdybyśmy mogli...

— Grasz po ciemku, Simon? — doleciał do nas głos od strony domu. — Trzeba było mnie zawołać. Dobrze wiesz, że zawsze chętnie...

Tori urwała, gdyż dopiero teraz mnie zobaczyła.

— .. Gram sam na sam — dokończyła po krótkiej chwili.

Wyrwałam rękę z uścisku Simona, a Tori nie spuszczała ze mnie wzroku.

— Cześć, Tori — powiedział Simon i schylił się po piłkę. — Stało się coś?

— Usłyszałam, że grasz, i pomyślałam, że może potrzebujesz partnerki. — Popatrzyła na niego, a potem znowu na mnie. — Ale zdaje się, że nie.

— Muszę już iść — mruknęłam. — Dzięki za rady, Simon.

— Poczekaj — powiedział, zrobił dwa kroki za mną, przystanął i obejrzał się na Tori, — Jak będziesz chciała zagrać, nie ma sprawy, zawsze możemy. Ale teraz jest już ciemno i czas chyba na kolację.

I Simon poszedł w moje ślady.

Znowu przewracałam się w łóżku, nie mogąc zasnąć.

Tym razem nie chodziło jednak o złe sny, ale myśli tak natrętne i utrapione, że w okolicach północy zaczęłam się zastanawiać, czy nie wyprawić się do kuchni, gdzie zauważyłam podrózne opakowanie tylenolu.

Zatem byłam nekromantką.

Mogłoby się wydawać, że diagnoza jest zarazem pomocą, wcale jednak nie czułam się z tą lepiej niż ze „schizofrenią”. Schizofrenia była przynajmniej jakimś powszechnie uznanym schorzeniem. Mogłam o nim rozmawiać z ludźmi, prosić o pomoc w zmaganiu się z nim, przyjmować leki i pozbywać się symptomów.

Te same leki mogły sobie poradzić z symptomami nekromancji, tyle że, jak powiedział Simon, byłoby to pofiołbne do kolorowania włosów. Moja prawdziwa natura od lego by się nie zmieniła i tylko czekałaby, żeby się ujawnić, kiedy skończy się działanie specyfików.

Nekromancja.

Skąd się u mnie wzięła? Po matce? Jeśli tak, to czemu ciotka Lauren nie wspomniała o tym ani słowem? Po ojcu? Może zabrakło mu odwagi, żeby mnie ostrzec, i właśnie piątego wydawał się w szpitalu taki przybity i tak się starał, żebym poczuła się dobrze i wygodnie. Albo też może ani rodzice, ani ciotka nic o nekromancji nie wiedzieli. Mogło chodzić o jakiś gen recesywny, który w niektórych pokoleniach w ogóle się nie ujawnia.

Simon miał szczęście. Najpewniej ojciec opowiedział mu o magii, pokazał, jak z niej korzystać. Ale zazdrość natychmiast uleciała. Szczęście? Wylądował przecież w ośrodku terapeutycznym. Magia w niczym mu nie pomogła.

Magia. Słowo to pojawiało się tak łatwo i normalnie, jakbym je bez reszty zaakceptowała. A jeśli tak, to czy słusznie?

Całymi dniami nie chciałam przystać na to, że widzę duchy, a teraz nagle bez żadnych kłopotów uwierzyłam w magię? Powinnam była domagać się dalszych potwierdzeń. Także poszukać innych wytłumaczeń. Tyle że przedtem tak się zachowałam wobec siebie samej, a teraz, kiedy stwierdziłam, że naprawdę widzę duchy, jakąż ulgę dawała myśl, że nie tylko ja jestem obdarzona dziwnymi mocami.

A co z Derekiem? Simon powiedział, że jest nienaturalnie megasilny. Czy magia miała z tym coś wspólnego? Poczułam tę siłę. Czytałam jego akta i wiedziałam, że także nauczyciel i urzędnicy mieli z nim kłopot.

Jakkolwiek dziwacznie mogło to zabrzmieć, najbardziej sensowne wydawało się wyjaśnienie najdalej sięgające. Istnieli ludzie obdarzeni mocami, o których na co dzień mówiły tylko legendy i filmy. I my do nich należeliśmy.

Mało nie parsknęłam śmiechem. Coś zupełnie jak z komiksów. Małolaty obdarzone niezwykłymi mocami, jak jacyś superherosi. Superherosi? Jakoś nie wydawało mi się, żeby widzenie duchów czy utrzymywanie piłki w powietrzu bez żadnego podparcia mogło w przewidywalnej; przyszłości uratować świat przed złem.

Jeśli i Derek, i Simon rozporządzali takimi władzami, czy właśnie dlatego zostali przyrodni braćmi? Co im powiedział ojciec? Czy jego zniknięcie miało jakiś związek z magią? Czy właśnie dlatego zostali zapisani do szkoły pod fałszywymi nazwiskami i nieustannie się przenosili? Czy właśnie takie było przeznaczenie ludzi nam podobnych? Ukrywanie się? W głowie huczało mi od pytań, na które nie znajdowałam odpowiedzi... a przynajmniej nie znajdowałam o drugiej nad ranem. Były jak piłka kozłowana przez Simona: odbijały się tam i z powrotem. Najpierw wydało mi się, że widzę je, pomarańczowe piłki hasające po mojej głowie, a potem wreszcie usnęłam.

Głos przedarł się przez gruby koc snu; otrząsnęłam się, usiłując odzyskać przytomność.

Łapczywie chwyciłam powietrze, nadstawiałam uszu, rozglądałam się po pokoju. Wszędzie spokój i cisza. Zerknęłam na Rae; głęboko spała.

Sen. Zaczęłam z powrotem układać się do snu. — Zbudź się.

Szept płynął przez na pół uchylone drzwi. Walczyłam z chęcią, aby naciągnąć kołdrę na głowę.

„A ja myślałam, że koniec z tchórzostwem. Przecież taki był plan, prawda? Nie ignorować głosów, lecz zbierać odpowiedzi i zyskiwać kontrolę”.

Głęboki oddech. Wyśliznęłam się z łóżka i podeszłam do drzwi.

Na korytarzu pusto. Słyszać było tykanie starego zegara na parterze. Kiedy się odwróciłam, jakiś niewyraźny kształt zamigotał przy zamkniętych drzwiach. Drzwiach schowka, jak wcześniej uznałam. Co się w tym domu działo ze schowkami i duchami?

Podkrađłam się pod drzwi i uchylłam je. Mroczne stopnie wznoszące się w górę.

Na poddasze.

O-o, to równie złe jak piwnica, a może nawet gorsze. Na pewno nie pójdę za duchem na strych. „Dobra wymówka”. To żadna...

„Po prostu, tak naprawdę wcale nie chcesz z nimi rozmawiać. Nie chcesz poznać prawdy”.

Ekstra. Nie tylko musiałam się zmagać z przytykami Dereka, ale teraz na dodatek mój wewnętrzny głos zaczynał się do niego upodabniać.

Raz jeszcze wzięłam głęboki oddech i weszłam na schody.

Rozdział dwudziesty

Przesunęłam ręką po ścianie w poszukiwaniu kontaktu, ale nagle znieruchomiałam. Czy to na pewno dobry pomysł? Przy moim szczęściu Tori wstanie do łazienki, spostrzeże światło, sprawdzi, co się dzieje i... znajdzie mnie rozmawiającą z sobą samą.

Dałam sobie spokój ze światłem.

Jedną rękę trzymając na poręczy, a drugą sunąc po przeciwległe ścianie, zaczęłam wstępować w ciemność.

Zatrzymałam się, gdy ręka ześliznęła się z zaokrąglonego końca poręczy. Byłam na podeście. Przez małe okienko wpadał promień światła księżycowego, ale nawet po chwili przyzwyczajania wzroku rozpoznać mogłam tylko niewyraźne kształty.

Macając rękami przed sobą, zrobiłam trzy kroki do przodu. Wpadłam na coś i w górę wzbija się chmurka kurzu. Chwyciłam palcami koniec nosa, żeby nie kichnąć.

— Dziewczyno...

Zesztywniałam. To duch z piwnicy, który nalegał, żebym otworzyła drzwi schowka.

Odetchnęłam głęboko. Kimkolwiek był, nie mógł mnie skrzywdzić. Nawet woźny pomimo wszelkich wysiłków potrafił tylko mnie nastraszyć.

A ja miałam moc. Byłam nekromantką.

— Kim jesteś? — spytałam.

— ..Kontakt... zawrzeć..

— Nie rozumiem cię.

— ...Nie mogę...

Coś mu nie pozwalało nawiązać ze mną kontaktu? Pozostałości leków w moim organizmie?

— ..Piwnica... spróbuj...

— Otworzyć tamte drzwi? Mowy nie ma. Nie zejść do żadnej piwnicy. I nie wejść już więcej na poddasze. Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, to tylko na piętrze albo na parterze.

Zrozumiałeś?

— ..Nie mogę... blokada...

— Rozumiem, coś cię blokuje. Przypuszczam, że to jeden ze środków, które zażyłam. Jutro powinno już być lepiej. Rozmawiajmy w moim pokoju. Kiedy jestem sama. OK?

Cisza. Ponowiłam moją propozycję, ale nie odpowiedział. Dygocząc, stałam tam jakieś pięć minut, po czym raz jeszcze powtórzyłam swoje słowa, a gdy nie było reakcji, obróciłam się w kierunku schodów.

— Chloe?

Okręciłam się tak szybko, że uderzyłam o coś kolanem, goleniami boleśnie kalecząc się o drewno, a rękami wzbijając chmurę kurzu, który sprawił, że kichnęłam.

— Na zdrowie! — Chichot. — Wiesz, dlaczego tak się mówi?

Krew zatętniła mi w uszach, gdyż rozpoznałam głos. Nie tylko głos. O kilka kroków ode mnie stała Liz w swojej koszuli nocnej z Myszka Miki.

— Bo jak kichamy, dusza wylatuje przez nos i jeśli nie powie się „na zdrowie”, narażona jest na przeróżne niebezpieczeństwa. — I znowu chichot. — A przynajmniej tak mi mówiła niania. Śmieszne, nie?

Otworzyłam usta, ale nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa. Liz rozejrzała się i zmarszczyła nos.

— Co to? Poddasze? Co my tutaj robimy?

— Jjja...

— Odetchnij głęboko, to zawsze pomaga mojemu] bratu. — Znowu się rozejrzała. — Jak się tutaj znalazłyśmy? Ach, tak, seans, miałyśmy zrobić seans.

— Seans? — powtórzyłam z wahaniem. — Nic *nie* pamiętasz?

— A o czym niby? — zmarszczyła brwi. — Wszystko z tobą w porządku, Chloe?

Nie, byłam pewna, że nic nie jest ze mną w porządku.

— Mniejsza z tym. Rozmawiałam z mężczyzną. Widzisz go? Jest tutaj?

— Hmm, nie, nie. Jesteśmy tylko my. — Wpatrywała się we mnie okrągłymi oczami. —

Widzisz duchy?

— D-ddduchy?

— Chloe?!

Usłyszałam natarczywy głos, pani Talbot wspinali się do mnie. Spojrzałam w kierunku Liz, tej jednak nie] było,

— Chloe, co tutaj robisz?

— *Jaaa* m-mmmysłałam, że słyszę... mysz. A może szczura. Coś się tu poruszało.

Pani Talbot była już na szczycie schodów.

— I rozmawiałaś z tą myszą? Czy szczurem?

— N-nnnie, j-jjja...

— Otóż ja zupełnie wyraźnie słyszałam, jak mówisz „duchy”, i nie mam wątpliwości, że z kimś rozmawiałaś. Widać, moja droga, że wcale nie jest z tobą tak dobrze, jak twierdziłaś.

Pani Talbot dała mi pigułkę nasenną i poczekała, aż ją połknę. Przez cały ten czas nie odezwała się ani słowem, kiedy jednak słyszałam, jak schodzi na parter, byłam pewna, że wiele będzie miała do powiedzenia doktor Gili i doktorowi Davidoffowi. Zawaliłam sprawę. Poczulałam łzy na policzkach i otarłam je wierzchem dłoni.

Usłyszałam szept Rae.

— Ty rzeczywiście widzisz duchy, prawda? — Nic nie odpowiedziałam. — Słyszałam, co się zdarzyło. I nawet teraz mi się nie przyznasz?

— Chcę stąd wyjść.

— Co ty powiesz? Wszyscy chcemy. Wszystko w porządku, kiedy kłamiesz im — powiedziała z naciskiem — ale ja przecież zaczęłam podejrzewać, że widzisz duchy, jeszcze przed tobą. Kto ci podpowiedział, żebyś spróbowała dowiedzieć się czegoś o tym facecie, którego widziałaś w szkole, no kto? I co, poszperałaś, ale mnie nic nie powiedziałaś?

— Bo... bo...

Odwróciła się do mnie plecami. Wiedziałam, że powinnam coś powiedzieć, ale nie mogłam się zdecydować co.

Zamknęłam oczy i znowu zobaczyłam Liz; poczułam skurcz żołądka.

Czy naprawdę ją widziałam? Czy rozmawiałam z nią? Szukałam jakiegoś rozsądnego wyjaśnienia. Nie mogła być duchem, gdyż widziałam ją i słyszałam wyraźnie, nie jak ducha, który mnie wezwał na poddasze. I na pewno żyła. Przecież pielęgniarki obiecały, że będziemy mogły z nią porozmawiać.

Ale kiedy?

Coś w związku z Liz.. Trzeba... Głowa bezsilnie opadła mi na poduszkę.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Podczas porannej rozmowy z lekarzami starałam się zrobić wszystko, by zminimalizować konsekwencje nocnego zdarzenia. Oznajmiłam, że naprawdę miałam już za sobą fazę widzenia zmarłych i w pełni zaakceptowałam diagnozę, ale zbudził mnie głos wzywający na strych. Ponieważ ocknęłam się *tylko* częściowo, więc przyśniło mi się, że widzę duchy, chociaż naprawdę ich nie widziałam.

Wiedziałam, że moje wyjaśnienia nie do końca przekonały doktor Gili i doktora Davidoffa. Potem zjawiła się ciotka Lauren. Przypomniała mi się sytuacja, gdy mając jedenaście lat, ściągала podczas klasówki i zostałam wydana przez nową koleżankę, której chciałam zaimponować. Przykra była już konieczność stawienia się w gabinecie dyrektora, ale wyraz twarzy ciotki był karą nieporównanie dotkliwszą.

Teraz zobaczyłam tę samą minę i ani odrobinę mniej zbolalą.

W końcu udało mi się jakoś przekonać ich wszystkich, że miałam chwilę załamania, ale było to trochę tak, jak z tym przysłowiowym pastuszkiem, który woła, że napadły go *wilki*. Kiedy następnym razem oznajmię im, że mi się *polepszyło*, będą o wiele bardziej podejrzliwi.

Perspektywa szybkiego wyjścia coraz bardziej się oddalała.

— Będziesz musiała nam dostarczyć próbki *mocz* — zapowiedziała doktor Gili-

— To śmieszne — nie wytrzymała ciotka. — *Sks* niby wiadomo, że istotnie nie lunatykowała? Przecież nie ma żadnego wpływu na swoje sny.

— Sny są oknami duszy — oznajmiła doktor Gili.

— Oczami — zwięźle sprostowała ją ciotka.

— Każdy, kto zna się choć trochę na psychiatrii, powie, że w przypadku snów to jedno i to samo. — Głos **j** doktor Gili był opanowany, ale jej wzrok zdradzał, że ma dość rodziców i opiekunów, którzy, broniąc swoich dzieci, kwestionują jej diagnozy. — Nawet jeśli Chloe tylko śni się, że widzi *duchy*, sugeruje to, że podświadomie nie zgadza się z naszą opinią o jej stanie. Dlatego musimy zbadać jej mocz.

— Nie... nie rozumiem — odezwała się. — W czym pomoże badanie moczu?

— Pozwoli ustalić, czy dawka leków odpowiada *twojej* wielkości, poziomowi aktywności, sposobowi odżywiania się i tak dalej. Trzeba zbilansować bardzo wiele czynników.

— Chyba nie sądzicie... — zaczęła ciotka Lauren.

Doktor Davidoff chrząknął znacząco. Ciotka zacisnęła wargi w wąską kreskę i zaczęła strzepywać jakiś pyłek ze spódnicy. Rzadko komukolwiek ustępowała w sporze, ale od tych lekarzy zależała moja przyszłość.

Wiedziałam, co zamierzała powiedzieć. Że chcą sprawdzić mój mocz nie dlatego, by skontrolować właściwość dawek, lecz by się upewnić, że istotnie przyjmuję lekarstwa* Ponieważ ominęły mnie poranne lekcje, więc dostałam zajęcia kuchenne. Nakrywałam zamyślona do stołu, kiedy Za moimi plecami rozległ się głos:

— Jestem za tobą. — Gwałtownie się odwróciłam zobaczyłam Dereka. — Aleś ty płochliwa, jak myszka.

— Uważasz, że jak się zakradniesz i znienacka to obwieścisz, to powinnam być mniej zaskoczona, nit gdybyś klepnął mnie po ramieniu?

— Wcale się nie podkradałem... — Derek pokręcił głową, wziął dwie bułki z kosza i tak ułożył resztkę pieczywa, aby zamaskować lukę, — Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli ty i

Simon chcecie porozmawiać, nie musicie tego robić za moimi plecami. Chyba że po prostu bardzo wam na tym zależy.

— Chciałam tylko...

— Wiem, Simon mi powiedział. Szukasz odpowiedzi, tymczasem ja przez cały czas starałam się ci je podsuwać. Wystarczyło tylko spytać.

— Ale przecież...

— Dzisiaj o ósmej w naszym pokoju. Powiedz pani Talbot, że chodzi o matematykę.

— Nic z tego. Przecież nie pozwoli, żebym wieczorem zostawała sama z chłopakiem!

— Powtarzam; matematyka. Wtedy się zgodzi. Pewnie miał z nią kłopoty.

— I to będzie OK? No wiesz, że ja i ty...

— Powiedz jej, że będzie także Simon. I rozmawiaj z Talbot, nie z Van Dop.

Rozdział dwudziesty drugi

Niewiele tego dnia rozmawiałam z Rae. Nie obraziła się, to nie było w jej stylu. Siedziała w klasie obok mnie, zadawała pytania, tyle że nie było żadnych luźnych pogawędek, żartów, chichotów. Byłyśmy koleżankami, ale nie przyjaciółkami.

Normalnie przed kolacją razem odrabiałabyśmy lekcje czy robiłyśmy coś innego, tym razem jednak wzięła książki i zamknęła się w jadalni.

Po kolacji poszłam za nią do kuchni z brudnymi talerzami.

— Dzisiaj jest moja kolej prania — powiedziałam. H Mogłabyś mi pokazać, jak ustawiać pralkę? — Ściszyłam głos. — A poza tym chciałam z tobą porozmawiać.

— Spoko.

— Przepraszam, że ci nie powiedziałam — zaczęłam, kiedy już pokazała mi wszystkie pokręta. — Mam z tym... straszny kłopot.

— Czemu? Możesz rozmawiać ze zmarłymi; czy to nie jest cool?

— Jakie tam cool! Było okropne, ale nie chciałam, by; wyszło na to, że się skarżę, że jestem jakimś Jooserem.

Włożyłam pierwszą porcję i nasypałam proszku.

— Czekaj, czekaj, przecież to nie dywan po imprefcie! — Wzięła ode mnie pudełko i odjęła trochę proszku. Ir Jeśli możesz dowieść, że widzisz duchy, to czemu im tego nie powiedzić? Bardzo logiczne pytanie, ale jakiś głęboko zakorzeniony instynkt przestrzegał: „Nie mów! Nigdy!”

— Ja... nie chcę, by ktokolwiek znał prawdę. Nie teraz. Nie tutaj.

Pokiwała głową i odstawiła pudełko z proszkiem.

— Gili nie ma w sobie ani grama wyobraźni, jest strasznie pedantyczna. Nie wypuści cię stąd tak długo, jak długo nie zostaniesz wyleczona z tych „bzdurnych duchów. Więc rzeczywiście lepiej to sobie zachować na czas, jak już stąd wyjdiesz.

Przez chwilę w milczeniu sortowałyśmy bieliznę, aż wreszcie ja się odezwałam:

— Chciałam z tobą tutaj porozmawiać, bo tu jest duch. — Powoli rozejrzała się dookoła, zarazem owijając sobie T-shirt wokół dłoni niczym bokser szykujący się do walki. — To znaczy, nie w tej chwili. Był tutaj. Ten, którego wczoraj w nocy usłyszałam na górze. Zanim pokazała się Liz. Przez cały dzień starałam się o niej nie myśleć. Jeśli ją widziałam, czy miało to znaczyć...

Dlaczego nie spytałam pani Talbot, kiedy będę mogła porozmawiać z Liz? Czyhałam się odpowiedzi?

— ...powiedział?

Otrząsnęłam się i spojrzałam na Rae.

— Słucham?

— Co takiego powiedział?

— Niełatwo go zrozumieć, same oderwane słowa. Myślę, że to z powodu lekarstw. W każdym razie chciał, żebym otworzyła te drzwi.

Wskazałam schowek. Odwróciła się tak raptownie, że skrzywiła się z bólu i potarła kark.

— Tamte? Zamknięte drzwi w piwnicy?

— Dobra, wiem, że to zgrany numer. Nie wcholl mała, do zamkniętego pokoju. — Rae już do nich szła. — I tak sobie pomyślałam, że wiesz, mogłybyśmy coś zrobić, sprawdzić, co tam jest, czy coś takiego.

— Jaaasne! Ja bym to już dawno zrobiła. Jak możesz żyć w takim napięciu?

— Po pierwsze, jestem pewna, że nic tam nie ma.

— To czemu są zamknięte?

— Bo mają tam odłożone jakieś rzeczy, do których nie chcą, żebyśmy się dobierały. Leżaki, poszwy zimowe, zabawki na choinkę.

— Ciała pacjentów Lyle House, którzy nigdy nie wrócili do domu. — Uśmiechnęła się ironicznie, ale ja ze zgrozą pomyślałam o Liz. — Wyluzuj, ja tylko żartuję. Ale z ciebie *jeszcze* dzieciuch.

— Nie, po prostu za dużo filmów się naoglądałam.

— To po drugie. — Zdjęła z półki jakiś karton i zaczęła w nim przewracać. — I znowu jakiś gówniany zamek, który nawet sześciolatek otworzy kartą kredytową. |

— Niewielu jest sześciolateków z kartą.

— Tak? A ja idę o zakład, że Tori miała. — Wyjęła gąbkę, pokręciła głową i odłożyła. — Ten dom jest właśnie I dla takich bogatych lasek, którym karta kredytowa służy j jedynie do kupowania nowych raybanów. Są pewni, że jak założą tani zamek, to jak klamka nie ustąpi, powiecie: i „O, zamknięte” i sobie odpuscicie.

— Wcale...

Spojrzała na mnie ironicznie i wpadła mi w słowo:

— A co, z tobą było inaczej? — Znalazła jakąś odrywaną od nowej koszuli plakietkę. — Nie jest najlepsza

— mruzczała, wciskając plastik między drzwi i framugę.

— Ale powinno... — Chwilę poruszała plakietką i zakłęta pod nosem. — Albo i... —

Gwałtownie pociągnęła w dół plastikiem, który z chrzęstem rozdarł się na pół.

— Ugrzęzła, poczekaj, daj teraz mnie.

Chwyciłam fragment plakietki paznokciami, co byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby w szpitalu nie spiłowano mi ich do samego ciała, zupełnie jakby się obawiano, że zadrapię się na śmierć. Jakoś jednak ją złapałam, ale kiedy pociągnęłam, oderwałam kolejny kawałek, podczas gdy reszta została w miejscu, gdzie nawet najdłuższe paznokcie nie mogłyby jej dosięgnąć.

— Nie wydaje ci się, że ktoś nie chce, żebyśmy się dostały do środka? — Usiłowałam się zaśmiać, ale od chwili, gdy wspomniałam o ciałach pacjentów, czułam kwaśny posmak w ustach. — No nic, widać wyraźnie, że potrzebny jest nam klucz. Może jest w kuchni na kółku z tym od szopy.

— Zobaczę.

Kiedy zakradłam się do kuchni, Derek buszował w koszu z owocami. Drzwi otworzyły się bezgłośnie, dalej więc stał obrócony do mnie plecami. Znakomita okazja, żeby się zemścić, podkraść się więc na palcach, tłumiąc dech i...

— Klucza, o który ci chodzi, nie ma na kółku — powiedział, nie odwracając się.

Skamieniałam. Wziął jabłko, nagryzł je, a potem podszedł do lodówki, sięgnął za nią i wyciągnął namagnetyzowany komplet kluczy.

— Spróbuj tych. — Cisnął mi klucze na dłoń i przeszedł obok mnie do drzwi kuchennych. — Nie wiem, co wy tam wyrabiacie na dole, ale kiedy chcecie po cichu otworzyć drzwi, nie szarpacie nimi tak, że aż cały dom się trzęsie.

Zeszłam z kluczami na dół, ale nie powiedziałam Rae, że Derek wie, co chcemy zrobić, gdyż bałam się, że może się rozmyślić. Tak czy siak, Derek nie wyglądał na takiego, który by się z tym obnosił po całym Lyle. Przynajmniej chciałam w to wierzyć.

Rae zaczęła próbować klucze jeden po drugim, a ja; potarłam szyję, gdyż miałam wrażenie, iż nadciąga nieznośny ból głowy. Czy to dlatego, że bałam się tego, co znajdziemy za drzwiami? Otrząsnęłam się, żeby odegnać od siebie tę myśl.

— Mam — szepnęła Rae. Otworzyła drzwi, a za nimi...

Pusta komórka. Rae weszła do środka, ja za nią. Było tak ciasno, że ledwie się mogłyśmy zmieścić. Rae pokręciła głową.

— To naprawdę dziwne. Po co zamykać pusty schowek? W tym musi być jakiś haczyk. — Poskrobała ścianę.

— Au, to beton, otynkowany beton. Zdarłam sobie skórę.

— Pomacała ściany. — A gdzie reszta? Przecież musi być coś więcej; dom jest o wiele większy.

Rozmasowałam skronie, które zaczęły pulsować.

— Piwnica może być mniejsza. Moja ciotka mieszkała w starym wiktoriańskim domu, ale kiedy miała już dość remontów, przeniosła się do apartamentowca. Mówiła, że z początku pod domem nie było żadnej piwnicy, tylko pusta przestrzeń. Potem dopiero ktoś obmurował pralnię. Jak przyszła ulewa czy coś takiego, miała same kłopoty. Może właśnie dlatego nikt nie korzysta z tego schowka.

— No dobra, więc ten twój duch chce, żebyś sobie obejrzała pustą komórkę?

— Nie wiem, pewnie nie było żadnego ducha. Powiedziałam to mocniej, niż zamierzałam. Poruszyłam barkami i znowu potarłam szyję.

— Co jest? — Rae dotknęła mojego ramienia. — Jezu, ty przecież masz gęsią skórę.

— To od zimna.

— Fakt, chłodno tutaj.

Potaknęłam, ale wcale nie było mi zimno. To raczej strach. Jak u przestraszonej kotki, której jeży się sierść.

— Więc co, może tutaj jest jednak ten duch? Spróbuj nawiązać z nim kontakt.

— Jak?

Zerknęła na mnie spod oka.

— No nie wiem; może zacznij od „hej”.

— Hej.

— Więcej, nawijaj.

— Hej, jest tu kto? — Przewróciła oczami, ale i bez tego czułam się dostatecznie głupio. — Jeśli tu jesteś, chcę z tobą porozmawiać.

— Zamknij oczy — poradziła Rae. — I skup się. Coś mi podpowiadało, że potrzeba tu czegoś bardziej

skomplikowanego niż tylko „zamknięcie oczu i skupienie się”, ale nie miałam żadnego lepszego pomysłu.

— Nic — powiedziałam po chwili.

Kiedy otworzyłam oczy, przemknęła jakaś postać, ale tak szybko, że dostrzegłam tylko smugę. Obróciłam się za nią, ale już nic nie było.

— Co, co? — spytała Rae. — Widziałaś coś?

Zamknęłam oczy i spróbowałam odtworzyć zapis pamięci. Zobaczyłam gładko ostrzyżonego mężczyznę w szarym garniturze, z kapeluszem i okularami w rogowych oprawkach; zupełnie jakby go żywcem przeniesiono z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Opowiedziałam to Rae.

— Ale tylko błysk. To z powodu lekarstw. Musiałam je dzisiaj wziąć, a one... chyba blokują przekaz. I są tylko błyski.

Powoli okręciłam się, mrużąc oczy i usiłując się skonaj centrować na najlżejszym choćby błysku. W pewnej chwili) trąciłam drzwi łokciem, a one obity się o ścianę z dziwniej metalicznym dźwiękiem.

Odsunęłam Rae i zajrzałam za nie. Ona wcisnęła się obok mnie.

— Zdaje się, że coś przeoczyliśmy — mruknęła. Schowek był tak mały, że otwarte drzwi zasłaniały

lewą ścianę. Teraz okazało się, że znajduje się za nimi przymocowana do muru metalowa drabina. Kilka stopni prowadziło do drewnianych drzwi w połowie ściany, których szara farba zlewała się z tynkiem. Weszłam na drabinkę. Drzwi zabezpieczała tylko zasuwa, wystarczył jeden ruch, by je odblokować i otworzyć. Za nimi czerń. I jakiś odór.

„Jak gnijące zwłoki”.

Zupełnie jakbym wiedziała, jak cuchnie rozkładające się ciało. Jediną zmarłą osobą, jaką widziałam, była mama. Niczym nie cuchnęła, pachniała po prostu jak mama. Odegnąłem od siebie to wspomnienie.

— Jakiś pawlacz czy coś takiego. U ciotki w starym domu też był taki. Wejdę do środka.

Pociągnęła mnie za spódnicę.

- Ej, nie tak szybko. Strasznie tam ciemno... Za ciemno dla kogoś, kto śpi przy podniesionych żaluzjach.

Przeciągnęłam ręką po podłodze; mokro, brudno. Obmaciałam ścianę.

— Żadnego kontaktu. Potrzebna będzie latarka. Jest chyba...

— Wiem. Teraz moja kolej.

Rozdział dwudziesty trzeci

Rae zeszła po schodach i rozłożyła puste ręce.

— No zgadnij, gdzie schowałam.

Nawet się obróciła, ale nigdzie nie dostrzegłam żadnego wybrzuszenia. Z filuternym uśmiechem sięgnęła pod bluzkę i zza stanika wyciągnęła latarkę.

Parsknęłam śmiechem.

— Ekstra — powiedziała. — Jak zapasowa kieszeń.

Wetknęła mi latarkę do ręki. Poświeciłam do środka pawlacza. Ściany twarde, gliniane podłoże. Przesunęłam promień, który ukazał coś po lewej. Metalowe pudło.

— Jakaś skrzynka — powiedziałam. — Ale stąd nie dosięgnę.

Weszłam dwa stopnie wyżej i wczołgałam się do środka. Powietrze było tak zatęchłe, jakby nikt nie zagiął dał tutaj od lat.

Sklepienie było nisko, więc musiałam przesuwać się na czworakach. Dotarłam do pudła.

Metal buroszary, unoszona pokrywa.

— Zamknięte? — spytała Rae, która wdrapała się na drabinę i zaglądała teraz do środka.

W świetle latarki obejrzałam pudło ze wszystkich stron, ale nigdzie nie było nawet śladu zamka.

— To otwórz.

Wcisnęłam latarkę między kolana, a palcami napałam na rogi pokrywy.

— Dawaj, dawaj — ponaglała Rae.

Nie zwracałam na nią uwagi. Duch chciał, żebym obejrzała ten pawlacz. Tego byłam pewna.

A jedyną rzeczą, którą mogłam dojrzeć, było właśnie to pudło.

W filmach wiele razy widziałam takie skrzynki, a to, **co** znajdowało się w środku, nigdy nie było fajne. Najczęściej były to jakieś fragmenty ciała.

Musiałam jednak zajrzeć do wnętrza. Pokrywa zaczęła się unosić, a potem znieruchomiła.

Napałam mocniej. Jedna strona ustąpiła, ale druga się opierała. Przeciągnęłam palcem wzdłuż krawędzi, aby stwierdzić, co przeszkadza. Kawałek papieru.

Pociągnęłam, papier rozerwał się, w ręku został mi róg. Odręcznie napisane słowa, a

właściwie fragmenty słów. Wymacałam resztę i chwyciłam za nią, drugą ręką naciskając na

pokrywę. Jeszcze jedno mocne szarpnięcie i papier wysunął się spod pokrywy, a ona sama

wylądowała na moich udach. Zanim zdążyłam się zastanowić, czy chcę zajrzeć do środka, już to robiłam.

— No i co? — spytała Rae.

— Jakieś... akta.

Wzięłam teczkę z napisem „2002” i wyciągnęłam z niej plik papierów. Spojrzałam na pierwszy.

— Podatek od nieruchomości. — Przekartkowałam następne. — Dokumenty, które chciały zachować. Włożyły je do ognioodpornej skrzynki i tutaj umieściły. Za jedynymi drzwiami zamykanymi na zamek, dzięki czemu miałyśmy się do nich nie dostać.

— To nie o to musiało chodzić duchowi, więc musi być coś jeszcze.

Dobrych dziesięć minut buszowałyśmy po pawlaczu, ale znalazłyśmy jeszcze tylko zdechłego kreta, który cuchnął tak, że mało nie zwymiotowałam.

Przysiadłam na piętach i skrzyżowałam ręce na piersiach.

— Spadajmy — powiedziałam. — Nic tu nie mił a mnie jest zimno.

Rae poświęciła mi w twarz. Gwałtownie się uchyliłam.

— Spoko. Chciałam tylko powiedzieć, że tu wcale nie jest zimno.

Wzięłam jej rękę i przeciągnęłam nią po moim ramieniu.

— Mnie jest zimno. Czujesz gęsią skórę, prawda? — Ale to może z...

— Ja spadam. Ty, jak chcesz, zostań.

Zaczęłam się wyczołgiwać. Kiedy Rae chwyciła mnie za stopę, tak się wstrząsnęłam, że mało jej nie kopnęłam.

— Co się z tobą dzieje?

Skrzyżowanymi rękami chwyciłam się za barki. Nerwy miałam napięte do" granic. Zęby zaciskałam tak mocno, że rozbolały mnie szczęki.

— Przedtem było OK, ale teraz... Po prostu chcę się stąd wydostać.

Rae przyjrzała mi się uważnie.

— Masz gęsią skórę, ale jesteś też spocona. I oczy ci tak błyszczą, jakbyś miała gorączkę.

— Może mam. Czy możemy już...

— Ale coś tu jeszcze jest, prawda?

— Nie... — Zatrzymałam się i rozejrzałam dookoła. — Nie wiem, może i jest, ale ja już tu nie wytrzymam.

— Spoko. — Podała mi latarkę. — Prowadź.

Ledwie wzięłam do ręki latarkę, światło przygasło. Kilka chwil i było prawie niewidoczne.

— Tylko mi nie mów, że bateria wysiadła — szepnęła Rae.

Szybko zwróciłam jej latarkę. Latarka rozbłysła, ale tylko na chwilę, bo zaraz całkowicie zgasła, zostawiając nas w ciemnościach. Rae syknęła; trzask i znowu rozbłysło światło.

Płomień zapałki oświetlił jej twarz.

— Wiedziałam, że kiedyś się przydadzą — mruknęła. — A teraz...

Znieruchomiała zapatrzona w płomień niczym dziewczynka urzeczona blaskiem ogniska.

— Rae! — syknęłam.

— Och, przepraszam! — Gwałtownie potrząsnęła głową.

Byłyśmy już prawie przy wyjściu, gdy z daleka usłyszałyśmy, jak otwierają się drzwi prowadzące do piwnicy.

— Zapałka! — syknęłam.

— Jasne!

Zgasiła zapałkę, nie machając nią lub dmuchając na nią, lecz zamykając na niej dłoń. Potem cisnęła za siebie zgaszoną zapałkę i pudełko.

— Dziewczęta? — ze szczytu schodów zawołała pani Talbot. — Lekcje odrobione?

Lekcje. Simon i Derek. Sprawdziłam zegarek. 19:58. Zaczęłam schodzić po drabince.

Rozdział dwudziesty czwarty

Wiedziałam, że Rae jest rozczarowana tym, co znalazłyśmy, czy raczej tym, czego nie znalazłyśmy. Miałam jakieś dziwne poczucie winy, trochę jak aktorka, która zawałiła swój występ. Tak czy owak, nigdy nie miała żadnych wątpliwości, że widziałam ducha i że kazał mi otworzyć drzwi, za co byłam jej wdzięczna.

Odłożyłam klucz na miejsce, umyłam ręce, później znalazłam panią Talbot i powiedziałam, że idę do Dereka w związku z matematyką i że będzie także Simon. Zawahała się, ale tylko na chwilę, a potem się zgodziła.

Wzięłam od siebie z pokoju zeszyt do matematyki oraz książki i przesłam na stronę chłopców. Simon leżał na łóżku i czytał komiks. Derek siedział pochylony nad zdecydowanie za małym dla niego biurkiem i odrabiał lekcje.

Pokój, znajdujący się na tyłach, a nie froncie domu, stanowił lustrzane odbicie naszego. Na ścianach Simona pełno było kartek, które w pierwszej chwili wydawały się wyrwane z komiksów, ale kiedy przyjrzałam się dokładniej, zobaczyłam, że to odręczne rysunki. Niektóre były czarno-białe, ale większość stanowiły kolorowe, w stylu, który nie był ani dokładnie japoński, ani amerykański. Simon nieraz miał kłopoty, gdyż nie uważał na lekcjach; teraz wiedziałam, czym się przede wszystkim zajmował, j Ściany Dereka były puste. Książki stały na komódce, na łóżku leżały pootwierane czasopisma. W samym rogu biurka stała jakaś konstrukcja z drutów, krążków i przekładni. Pewnie jakieś szkolne zadanie, ale gdybym ja miała w ciągu roku zrobić coś tak skomplikowanego, w żaden sposób bym się nie wyrobiła. Poskrobałam we framugę.

— Hej! — Simon zamknął komiks i usiadł na łóżku. — Już chciałem powiedzieć Derekowi, żebyśmy zeszli na dół i zobaczyli, czy pielęgniarki cię nie zatrzymały, no ale jak widzę, udało się.

Kiwnęłam głową.

Derek postawił pionowo na biurku zeszyt do matematyki, a o niego oparł jakąś książkę.

— Idę wziąć prysznic. Zaczniście beze mnie.

— Nie usłyszają, że woda się leje?

Wzruszył ramieniem i odrzucił długie, lśniące od brylantyny włosy.

— Powiesz, że byłem już w łazience, jak przysłaś. Kilka minut, nie dłużej.

Poszedł do łazienki, omijając mnie tak szerokim łukiem, że zastanowiłam się, jak bardzo potrzebny mu jest prysznic. Nie zamierzałam pociągać nosem, żeby sprawdzić.

Jeśli kąpał się tylko wieczorem, mógł mieć problem. Kari~ kiedyś powiedziała, że dawniej brała prysznic tylko wieczorem, ale potem musiała zmienić to na rano, gdyż inaczej miałyby okropne włosy już przed kolacją.

— Nie wolałbyś się kąpać rano? — nie potrafiłam się powstrzymać.

— Kapię się — mruknął i zniknął za drzwiami. Simon z powrotem ułożył się na łóżku i wskazał na

jego róg.

— Siadaj. Nie gryzę. *Gdyby nie* brzmiało to strasznie frajersko, powiedziałbym, że po raz pierwszy zapraszam dziewczynę do łóżka.

Pochyliłam się nad nocnym stolikiem, żeby ukryć rumieniec, jednocześnie rozkładając na nim zeszyt, jakbyśmy tym się właśnie zajmowali. Przy okazji nieostroźnie trąciłam biurko, z którego poleciała książka, zostawiona przez Dereka. Nachyliłam się, żeby ją podnieść, i znieruchomiałam, raz jeszcze spoglądając na okładkę.

Algebra z trygonometrią. Podręcznik akademicki.

Przerzuciłam kilka stron.

— Jeśli rozumiesz coś z tego, to jesteś znacznie lepsza ode mnie — powiedział Simon.

— Myślałam, że Derek jest w dziesiątej.

— Bo jest. Ale nie w algebrze, geometrii, chemii, fizyce czy biologii, chociaż w tych trzech ostatnich jest tylko; na poziomie dwunastej.

Tylko...?

Kiedy Derek powiedział, że na wspólną naukę matematyki pielęgniarki na pewno się zgodzą, myślałam, że to jemu potrzebna jest pomoc. Ekstra. Nie tylko uważał mnie 1 za blondyneczkę podskakującą przy każdym szeleście, ale 1 na dodatek nie sądził, że bym była zbyt bystra.

Odłożyłam książkę na biurko Dereka.

— Tor i miała coś do ciebie? Po wczorajszym? Pokręciłam głową. Westchnął i założył ręce za głowę.

— To dobrze. Nie wiem, na czym polega jej problem. Powiedziałem jej jasno, że mnie nie interesuje. Z początku i delikatnie ją spławiałem, ale w końcu powiedziałem to 1 wyraźnie. Teraz jestem już dla niej naprawdę chamski, i tymczasem ona nie chce się odwalić.

Poprawiłam się, żeby widzieć go lepiej.

— To nie jest, jak to powiedzieć... łatwe. Ktoś cię bardzo lubi, a ty mu mówisz, że cię nie interesuje.

Roześmiał się.

— Ale przecież jedyną osobą, którą Tori lubi, jest ona Bama. Ja jestem takim chwilowym oparciem, zanim będzie mogła powrócić do swoich ulubionych kapitanów szkolnych reprezentacji. Takie dziewczyny jak Tori muszą mieć faceta — jakiegokolwiek — a tutaj *tylko* ja jestem na podorzędziu. Peter był za młody, a Derek... Derek nie jest w jej typie. Możesz mi wierzyć, gdyby tylko pokazał się tutaj jakiś odpowiedni koleś, natychmiast by o mnie zapomniała.

— Nie jestem taka pewna. Może naprawdę jej się podobasz...

— Daj spokój. — Obrócił się na bok i podparł głowę łokciem. — Czy ja wyglądam na podrywacza? OK, kiedy razem z Derekiem zmieniamy szkołę, zawsze są laski, które coś tam do mnie mają. W stylu — tutaj zaczął mówić falsetem: — „Hej, Simon, tak sobie, wiesz, myślałam, czy byś mi, wiesz, nie pomógł w pracy domowej. Bo to, wiesz, matma, ja nic nie kumam, a ty, wiesz, jesteś jakimś Chińczykiem, czy coś takiego, nie? No to musisz w tym być megadobry...? — Przewrócił oczami. — Po pierwsze, ojciec jest Koreańczykiem, a matka Szwedką. Po drugie, olewam matkę. Nie lubię też zegarków z kukułką, nart i tych wypasionych czekoladek.

Przygryzłam wargi w uśmiechu.

— Te to chyba są szwajcarskie.

— Aha. To co jest szwedzkie?

— Czy ja wiem? Może klopsiki.

— Te akurat lubię. Ale pewnie nie szwedzkie.

— To co lubisz?

— W szkole? Historię. Tylko się nie śmiej. Niezły™ stem w angielskim. Piszę marne haiku, chociaż te akurat są japońskie.

— Tyle wiem. — Popatrzyłam na ścianę nad nim. — Musisz być dobry na plastyce. Te rysunki są genialne.

— Nie wiem, kiedy mówisz, że coś jest ekstra, a kiedy nie, ale dzięki. I wcale tak dobrze mi nie idzie. Ledwie przeszedłem w zeszłym roku. Wkurzyłem nauczycielkę, bo ciągle dawałem tylko swoje komiksy. Coś nam zadawała, ale ja tylko zmieniałem techniki i stale dawałem] swoje rzeczy. Uznała mnie za ściemniacza.

— To nie fair.

— No wiesz, robiłem to nawet wtedy, kiedy kilka razy mnie upomniała. Więc może istotnie się doigrałem. A w każdym razie byłem uparty. Tak czy siak, w szkole jak w szkole, solidne

dwa mniej. Derek jest geniuszem. A mnie najbardziej podpada WF. Biegi przełajowe, płotki, kosz, noga...

— Ja też lubię grać w nogę... — Urwałam. — W każdym razie kiedyś lubiłam. Uganialiśmy się całą bandą za piłką jak pszczoły za miodem.

— Nie ma sprawy. Trochę cię podszkolę i założymy drużynę. Klub Piłkarski Łyle House.

— Bardzo mały klub.

— Bardzo ekskluzywny.

Pófleżała m na wznak, oparta na łokciach. Ostatni raz rozmawiałam tak sam na sam z chłopakiem... zdaje się, że zanim zaczęłam ich traktować jak „chłopaków”, a nie „inne dzieciaki”.

— W sprawie tej ekskluzywności — odezwałam się — miałam nadzieję, że zaprosiłeś mnie tutaj, żebym usłyszała odpowiedzi na kilka pytań.

— To samo moje towarzystwo nie wystarczy? — Uniósł brwi w wyrazie rozczarowania, któremu przeczyło jego rozbawione spojrzenie. — No dobrze, i tak wykazałaś już dużo cierpliwości. Co chcesz wiedzieć?

— Wszystko.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

— OK, ty jesteś nekromantką, a ja czarownikiem. Ty rozmawiasz ze zmarłymi, a ja rzucam czary.

— To dlatego tu wylądowałaś? Bo coś zrobiłaś?

— Nic. — Cień przemknął po jego twarzy. — No, powiedzmy, ale nie chodziło o magię. Coś się stało. Z Dere... — Urwał.

Z papierów wiedziałam, dlaczego Derek tutaj się znalazł, ale z tym się nie mogłam zdradzić.

— Mniejsza o szczegóły. Coś się zdarzyło, a potem zniknął ojciec. To bardzo długa historia, a w największym skrócie brzmi ona tak, że będziemy tutaj siedzieć, aż wpadną na pomysł, co z nami zrobić.

No i dopóki Derek nie zostanie „wyleczony, dodałam w myśli. To dlatego Simon nie miał żadnych akt ani nie uczestniczył w terapii. Nie było z nim żadnego problemu. Kiedy ojciec zniknął, władze musiały umieścić Dereka tutaj i uznały, że najlepiej będzie skierować tu także Simona.

— A kto jest jeszcze? Jakie są inne rodzaje... Nie mogłam znaleźć odpowiedniego słowa.

— Paranormalnych. Najczęściej mówi się, że to różne rasy. Największe to nekromanci, czarodzieje i wiedźmy, czyli czarownice. Rasa podobna do męskiej, ale inna, słabsza, tak przynajmniej wszyscy utrzymują. Kto jeszcze? Półdemony, ale o nie pytaj, bo wiem tyle co nic. W przeciwieństwie do Dereka. Aha, szamani. Dobrzy lekarze, a na dodatek są zdolni do podróży astralnych.

— Jakich?

— Potrafią oderwać się od swojego ciała, poruszać się jak duchy. To jest ekstra, jak chcesz komuś zrobić kawał, ściągnąć na egzaminie czy zajrzeć do łazienki dziewczyn, jeśli jesteś akurat chłopakiem, którego takie sprawy rajcują.

— Mhm. Powiedziałaś, że Derek wie więcej o półdemonach. Bo sam nim jest?

Zerknął w kierunku korytarza, jak gdyby chciał się upewnić, czy na pewno woda ciągle leci.

— Wyciągnęłaś to ode mnie, OK?

— Jak to?

Przysunął się bliżej i ściszył głos.

— Chodzi o to, kim jest Derek. Gdyby pytał, *poi* wiesz, że wyciągnęłaś to ode mnie.

Wyprostowałam się poruszona.

— A więc Derek nie chce, żebym wiedziała, kim *jest*, tak? Ten, który nazwał mnie nekromantką i domagał się, żebym to zaakceptowała? No, ale jeśli nie chce...

— Chce. I powie. Tylko to... takie skomplikowane. Jak nie zapytasz, sam ci nie powie. Ale gdybyś spytała...

W jego spojrzeniu była prośba, abym nie utrudniała sprawy.

Westchnęłam.

— No więc dobrze, pytam. Kim jest Derek? Jednym z tych p ó ł d e m o n ó w ?

— Nie. Nie ma specjalnej nazwy dla takich jak on. No nie wiem, można by powiedzieć, że to rodzaj supermana, ale sama wiesz, jakie to zgrane.

— Mhm.

— No więc dlatego nie używa się takiej nazwy. Tacy faceci jak Derek mają... powiedzmy, fizyczne naddatki. Megasilni, jak sama mogłaś zobaczyć. Mają też bardziej wrażliwe zmysły. Tego typu sprawy.

Zerknęłam na podręcznik akademicki.

— Są bardziej lotni?

— Nie, to specjalna zdolność Dereka. Tak przynajmniej mówi tata.

— A więc twój tata... Rozumiem, że także jest czarownikiem. Ale to znaczy, że zna innych... takich jak my?

— Paranormalni mają swoją wspólnotę, chociaż może lepszym słowem jest „sieć”. Kiedy znasz innych, możesz się z nimi skontaktować, załatwić sobie rzeczy, których nie ma w normalnym świecie. Tata kiedyś bardzo w tym siedział, teraz już mniej. Coś... się stało. — Przez chwilę milczał, bawiąc się jakąś luźno zwisającą nitką, a potem rzucił się na plecy. — Kiedyś do tego wrócimy, długa historia. A krótka odpowiedź brzmi: tak, kiedyś tata bardzo się zaangażował w całą tę sieć. Pracował w firmie badawczej; paranormalni specjaliści i naukowcy starają się ułatwić sytuację innym paranormalnym. Tata jest prawnikiem, ale takich ludzi też potrzebują. W każdym razie w ten sposób wyłapali Dereka.

— Wyłapali? Simon skrzywił się.

— Może to niedobre określenie. Zupełnie jakby go schwytali i przynieśli do domu jak kukiełkę. No, ale o coś takiego jednak chodziło. Sama widziałaś, jaki jest Derek. To rzadki przypadek. W ogóle tacy jak my są rzadcy, ale tacy jak Derek szczególnie. W każdym razie ci, dla których tata pracował, chcieli go wychować. Kiedy był bardzo mały, albo został sierotą, albo go porzucono, a oni chcieli być pewni, że nie wyłąduje w jakimś domu dziecka, bo to dopiero byłaby historia, jak w wieku, powiedzmy, jedenastu lat zaczęłyby rzucać ludźmi po klasie. Tyle że ta firma taty nie miała dobrych warunków do chowania dziecka, Derek niewiele o tym mówi, ale wydaje się, że to było jak pobyt w szpitalu. Tacie się to nie podobało, więc w końcu pozwolili mu zabrać go do domu. Był... dziwny. Zupełnie jakby nigdy nie wychodził na zewnątrz. Strasznie denerwowała go szkoła, centra handlowe, nawet autostrada. Nikt był przyzwyczajony do tłumów, hałasu...

Urwał i nadstawił ucha w kierunku korytarza. W rurach szczęknięło, gdy Derek zakręcił wodę. Poruszył bezgłośnie ustami;

— Później.

— Jeszcze się będzie wycierał. Nie usłyszy...

— Usłyszy, usłyszy.

Przypomniałam sobie, co Simon powiedział o wyostrzonych zmysłach Dereka. Teraz zrozumiałam, dla-; czego Derek zawsze słyszał to, czego nie powinien był usłyszeć.

Zanotowałam sobie w pamięci, żeby być bar-I dziej ostrożną.

Odchrząknęłam i przybrałam normalny ton.

— Dobrze, mamy zatem czarowników, wiedźmy, półdemony, nekromantów, szamanów i różne dziwne typy takie jak Derek. To już wszystko? Nie wpadnę na żadnego i wilkołaka czy wampira?

Roześmiał się.

— To byłoby cool.

Może i cool, ale zdecydowanie bardziej wolałam zostawić wilkołaki i wampiry Hollywoodowi. Proszę bardzo, mogę uwierzyć w magię, duchy, nawet w podróże astralne, ale zamienić się w zwierzaka czy istotę wysysającą krew... Nie, w coś takiego za nic nie chciałam uwierzyć.

Na usta cisnęły mi się dziesiątki pytań. Gdzie był ich ojciec? Co to za ludzie, dla których pracował? A co matką Simona? Powiedział; że kiedyś do tego wrócimy. Pomaganie się teraz ich osobistej historii byłoby zbyt natarczywe.

— Zatem jest nas trójka? W jednym miejscu? To musi coś znaczyć.

— Derek przypuszcza, że ludzie nie wiedzą, czym wyjaśnić niektóre zdolności paranormalne — jak jego czy twoje — więc uznają je za chorobę umysłową. W takich domach jak ten mogą być dzieci paranormalne, chociaż większość nie jest paranormalna. Ale musisz z nim porozmawiać, on to wytłumaczy znacznie lepiej.

— Dobra, to wróćmy do mnie. Czego chcą te duchy? Wzruszył ramionami.

— Chyba pomocy.

— Jakiej? I dlaczego ode mnie?

— Ponieważ możesz je słyszeć — powiedział Derek, który wszedł, ręcznikiem wycierając włosy. — Trochę bez sensu mówić do kogoś, kto cię nie może słyszeć.

— Dzięki, sama nigdy bym do tego nie doszła.

— Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Spojrzałam na niego spod oka; odwrócony do mnie

plecami, składał ręcznik i starannie rozwieszał go na krześle. Nie oglądając się, spytał:

— Jak myślisz, ilu może być w okolicy nekromantów?

— A skąd mam wiedzieć?

— Gdyby odpowiedź miała brzmieć: „mnóstwo”, to musiałybyś o nich słyszeć, prawda?

— Wyluzuj — mruknął Simon. Derek zaczął rozczesywać włosy.

— Kilka setek w całym kraju. Spotkałaś kiedyś albinosa?

— Nie.

— Statystycznie rzecz biorąc, masz trzy razy większą szansę natknąć się na albinosa niż na nekromantę. No to teraz wyobraź sobie, że *jesteś* duchem. Kiedy zobaczysz nekromantę, to zupełnie jakbyś, siedząc na bezludnej wyspie, zobaczyła nad sobą samolot. Będziesz usiłowała **zwrócić** ich uwagę? Jasne. A czego chcą? — Wziął krzesło i przechylił je tak, że stanęło na jednej nodze. — Kto to wie? Gdybyś była duchem i wpadłabyś na jedyną istotę, która może cię usłyszeć, na pewno czegoś! byś od niej chciała. Żeby wiedzieć, czego chcą, musisz je spytać.

— Łatwiej powiedzieć, niż zrobić — mruknęłam. Opowiedziałam im o duchu w piwnicy.

— Coś tam jednak może być. Coś ważnego dla niego, czego nie znalazłaś. — Podrapał się po policzku, skrzywili i dodał: — Jakiś papier albo przedmiot, który miałabyś! przekazać jego rodzinie.

— Albo poszlaka wskazująca na mordercę — powiedział Simon. — Albo ukryty skarb.

Derek uciszył go spojrzeniem i pokręcił głową.

— Niewykluczone, że to jakieś głupstwo. Na przykład list, który zapomniał dać żonie. Coś bez znaczenia.

To wcale nie wydawało mi się głupie ani bezsensowne. Całkiem romantyczne. Duch przez całe lata cierpi, gdyż chciałby przekazać niedostarczony list żonie, która; teraz jest już w domu starców... Film nie w moim stylu, ale wcale nie powiedziałabym, że głupi.

— Tak czy siak — podsumowałam — nie ma sprawy, bo jak długo biorę pastylki, nie ma *mowy* o takim kontakcie, żebym mogła zadać pytanie.

Derek potarł policzek w miejscu, gdzie rozdrapał strupa, i z niedowierzaniem wpatrzył się w ślad krwi na palcu. W jego głosie słychać było irytację:

— To musisz przestać je brać.

— Z chęcią, gdybym mogła. Ale po tym wczorajszym będą badać mi mocz.

— To problem, fakt. — Simon na chwilę ucichł, a potem strzelił palcami. — Ej, mam pomysł. No, to takie może trochę niezręczne, ale... Jakbyś pokruszyła te pigułki i wsypała je, no wiesz, do moczu. — Derek popatrzył na niego ironicznie. — O co chodzi?

— Zdałeś w zeszłym roku chemię? Simon machnął ręką.

— W porządku, geniuszu, to jaki ty masz pomysł?

— Muszę nad tym pomyśleć. Trzeba jakoś zablokować te lekarstwa. Mało mnie właściwie interesuje, czego chce ten duch, ale może się okazać pożyteczny. Jak długo czegoś chce, Chloe powinna to wykorzystać, żeby się czegoś nauczyć. Szybko to stąd nie wyjdzie... chyba że ją wywiozą.

Simon rzucił mu gniewne spojrzenie.

— To mało śmieszne, bro.

Derek przeciągnął palcami po włosach.

— Nie żartuję. Jak widzisz duchy, nie tak łatwo to ukryć. Inaczej jest z czarami. Po twojej porannej rozmowie z Davidoffem i Gili, podsłuchałem potem ich rozmowę. .. — Zerknął na mnie. — No wiesz, akurat przechodziłem i...

— Ona wie o twoim słuchu — odezwał się Simon, a kiedy Derek popatrzył na niego pośpiesznie, wzruszył ramionami i dodał: — Domyśliła się, nie jest głupia. No i co usłyszałeś? Derek uniósł głowę.

— Ktoś idzie.

— Chłopcy? Chloe? — zawołała z dołu schodów pani Talbot. — Chodźcie na przekąskę. Simon odkrzyknął, że idziemy.

— Jeszcze chwilkę — zatrzymałam ich. — Co mój wili?

— Rozmawiali o tobie. Czy na pewno Lyle House jest dobrym dla ciebie miejscem.

Rozdział dwudziesty piąty

Czy Derek chciał mnie wystraszyć? Kilka dni temu bez wahania przytaknęłabym, teraz jednak wiedziałam, że jest po prostu szczery. Powiedział to, co udało mu się posłyszeć, nie starając się niczego upiększyć tylko dlatego, że mnie taka myśl w ogóle do głowy nie przyszła.

Informacja ta sprawiła jednak przynajmniej tyle, że postanowiłam wyjaśnić wreszcie pewną kwestię, kiedy nadszedł czas gaszenia świateł.

— Pani Talbot?

— Tak, kochanie? — powiedziała, wracając z korytarza i zaglądając przez framugę.

— Czy możemy już porozmawiać z Liz? Bardzo chciałabym to zrobić i ją przeprosić za tamtą noc.

— Nie masz za co przepraszać, kochanie. To jej jest bardzo przykro, że tak cię wystraszyła. Myślę, że będzie można to zrobić podczas któregoś weekendu.

— Tego najbliższego?

Weszła do pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

— Lekarze mówią, że na razie ma kłopoty z przystosowaniem się do tego miejsca.

Rae usiadła na łóżku.

— Coś z nią nie tak?

— Nazywa się to stresem pourazowym. Tamtą noc.

była dla niej bardzo trudna i tamtejsi lekarze nie chcą, by się jej przypominała.

— Ale ja o niej nawet nie wspomnę.

— Sam twój widok będzie przypomnieniem. Myślę jednak, że w niedzielę powinno już być wszystko w porządku. A najpóźniej w następnym tygodniu.

Czułam, jak palce strachu chwytają mnie za gardło „Nie teraz, kochanie”. „Może podczas weekendu”. „Może za tydzień”. „Może nigdy”.

Zerknęłam na Rae, ale zamiast niej zobaczyłam Lizi która wpatrywała się w palce u nóg, a czerwone i pomarańczowe żyrafy poruszały się na podłozie.

Biedna Liz.

Biedny duch Liz.

To przecież idiotyczne. Nawet gdyby udało mi się wymyślić powód, dla którego mieliby w Lyle House zabijać młodocianych pacjentów, co z ich rodzinami? To nie byli przecież ulicznicy czy uciekinierzy. Mieli rodziców, którzy zauważyliby ich zniknięcie i zaczęli domagać się wyjaśnień.

„Tak myślisz? A co z rodzicami Rae? Tacy czuli i pełni zainteresowania, że nieustannie wydzwaniali i odwiedzali ją, kiedy mogli? A ojciec Simona i Dereka? Niewidzialny człowiek?”

Odwrociłam się na bok i zakryłam uszy poduszką, jak gdyby to było w stanie uciszyć głosy. I wtedy przypomniałam sobie słowa Simona. Wędrowki astralne. Niektórzy paranormalni mogli opuszczać swoje ciała i odwiedzać inne miejsca. Czy nekromanta potrafi widzieć także i takie duchy? Z pewnością, bo przecież duchy to ta część osoby, która opuszcza ciało po śmierci lub w trakcie astralnej podróży.

Więc Liz była właśnie taka. Była... jak on to nazwał? Szamanką. Astralnie przywędrowała tutaj, a ja ją zobaczyłam. To by tłumaczyło, dlaczego mogłam widzieć i słyszeć ją, ale nie duchy. To by też tłumaczyło poltergeista. Nie zdając sobie z tego sprawy, Liz opuszczała swoje ciało i ciskała przedmiotami.

Taka musiała być odpowiedź.

Musiała.

— Masz — szepnął Derek i wepchnął mi do ręki pusty słoik. Odciągnął mnie na bok po lekcjach i staliśmy teraz pod schodami dla chłopców. — Schowaj gdzieś u siebie w pokoju.

— Ale to tylko... słoik.

Prychnął niecierpliwie, najwyraźniej zirytowany tym, że nie rozumiem, jak ważne jest, by schować pusty słoik w sypialni.

— Na twoją urynę.

— Na co?

Przewrócił oczyma i wydał dźwięk, jak gdyby zgrzytał zębami. Nachylił mi się do ucha.

— Mocz. Siki. Szczyny. Jakkolwiek to nazywasz. Podniosłam słoik w górę.

— Chyba dadzą mi coś mniejszego.

Znowu złowrogie chrząknięcie. Szybko rozejrzał się dokoła, potem chwycił mnie za ramię, ale zaraz puścił i gestem ręki pokazał, bym szła za nim. Wbiegł na górę, po dwa stopnie, następnie z podestu spojrzął na mnie tak, jakbym się celowo ociągała. Kiedy dotarłam do niego, nachylił się nade mną i syknął:

— Brałaś dzisiaj lekarstwa? — Przytaknęłam. — Więc zachowaj mocz w słoiku.

— Zachować?

— Jeśli dasz im jutro porcję z dzisiejszego, będzie wyglądało na to, że ciągle bierzesz lekarstwa.

— Więc mam... nalać do słoika?

— Masz lepszy pomysł?

— Nie, ale...

Znowu podniosłam słoik i wpatrywałam się w niego nieufnie.

— Dobra. Chcesz, to zachowaj siki, nie chcesz, nie zachowuj. Co mnie to wszystko obchodzi. Simon wyjrzał zza rogu, brwi miał uniesione z rozbawienia.

— Już miałem zapytać, co wy tutaj wyrabiacie, ale zdaje się, że lepiej, żebym się zmył.

Derek sprowadził mnie po schodach, słoik schowałam do plecaka. Wolałabym z niego nie korzystać, ale jakbym zaczęła się sprzeciwiać gromadzeniu moczu, wyszłoby n\$ to, że jestem tą właśnie przymuloną dziewczyneczką, za jaką mnie uważał.

Rozdział dwudziesty szósty

Wykorzystałam więc słoik. Ponieważ dzisiejszą próbkę już oddałam, więc kiedy kolejny raz musiałam iść do łazienki, zrobiłam to na piętrze do słoika, który potem schowałam za stojące pod zlewem środki do czyszczenia. Ponieważ sprzątanie łazienek należało do naszych obowiązków, uznałam, że pielęgniarki nie będą tam szperać.

Niewiele zrobiliśmy tego dnia w klasie. Próbowaliśmy, ale z panią Wang niełatwo było nawiązać kontakt. Był piątek, ona czuła już nadciągający weekend, więc tylko przydzieliła każdemu pracę do odrobienia, a sama układała w laptopie pasjansa.

Rae większość poranka spędziła na terapii, najpierw z doktor Gill, a potem z doktorem Davidoffem, podczas gdy Tori siedziała w tym czasie w gabinecie doktor Gili. Znaczyło to, że kiedy pani Wang zwolniła nas na obiad, do towarzystwa miałam tylko Simona i Dereka, co zupełnie mi odpowiadało. Tylu rzeczy chciałam się dowiedzieć, a pytania niełatwo było stawiać, zwłaszcza że pokój medialny nie nadawał się do tego typu dyskusji.

Najlepszym rozwiązaniem byłoby wyjście na podwórze, ale pani Van Dop pracowała w ogródku. Simon zaofiarował się, że pomoże mi z praniem, a Derek mruknął, że za jakiś czas do nas dołączy.

— Więc to tutaj wałęsa się nasz lokalny duch — powiedział Simon, obchodząc w kółko pralnię.

— Chyba tak, ale...

Powstrzymał mnie ruchem ręki, a potem pochylił się nad ostatnim koszem i zaczął sortować jego zawartość.

— Nie musisz mi mówić, że może w tej chwili go tu nie ma, a ja także nie zamierzam cię namawiać, żebyś próbowała się z nim skontaktować. Jak zjawi się Perek, możesz tego spróbować. Nie daj mu się zastraszyć.

— Nie zamierzam jej straszyć — odezwał się zza rogu głos Dereka, który pojawił się już w następnej chwili. — *Jeśli* mówię coś komuś, a on to robi, czy to mój problem? Przecież wystarczy powiedzieć „nie”. Chyba Chloe nie brakuje języka w gębie, prawda? — Ekstra. Facet potrafi sprawić, że czuję się jak idiotka, nawet wtedy, gdy mówi, że nie powinnam się czuć jak idiotka. — Jeśli zdecydują;! się cię przenieść, co zamierzasz zrobić?

Simon nerwowo potrząsnął trzymaną w ręku koszulą.

— Na miłość boską, Derek, przecież oni...

— Rozmawiają, więc ona musi mieć plan.

— Ona? — Simon cisnął koszulę na stos kolorów. — A co z tobą, bro? Jak rozejdzie się plotka, że jesteś następny na liście, masz gotowy plan?

Wymienili spojrzenia. Nie widziałam twarzy Simona, natomiast widziałam, jak Derek zaciska szczękę. Wstałam i włożyłam ładunek do pralki.

— Jeśli będą chcieli tak zrobić, nie widzę przed sobą żadnych możliwości. Przecież nie mogę po prostu odmówić.

— Po prostu się poddasz? Jak grzeczna dziewczynka, pójdziesz posłusznie tam, gdzie ci każą?

— Wyluzuj, bro.

Derek zignorował go, podniósł upuszczoną przeze pinie bluzkę i włożył ją do pralki.

— Nie pozwolą ci rozmawiać z Liz, prawda?

— Jak to?

— Słyszałem, jak rano spytała o to Tori, a pani Talbot odparła, że nie i że to samo ci odpowiedziała, jak pytałaś wieczorem. — Wyjął mi z ręki pudełko z proszkiem i sięgnął na półkę po miarkę. — Z tym łatwiej.

— Mnie powiedziała, że będę mogła zadzwonić w weekend.

— Trochę to dziwne. Ledwie ją znałaś, a miałabyś dzwonić pierwsza?

— Chodzi o troskliwość. Słyszałeś kiedyś takie słowo? Zdjął mi rękę z pokrętła.

— Kolory, niższa temperatura. Chyba że chcesz wszystko odbarwić. — Zerknął na mnie spod oka. — Nie tylko znam takie słowo, ale sam jestem troskliwy, jak widzisz.

— Pewnie, jak tam są głównie twoje rzeczy. — Za nami Simon parsknął śmiechem. — A co do Liz, chciałam się upewnić, że wszystko z nią w porządku.

— A dlaczego miałyby nie być?

Skrzywił się ironicznie na moje idiotyczne przypuszczenie, że Liz mogła zostać zamordowana. Paradoksalnie, właśnie tego potrzebowałam: poświadczenia, że za dużo mam w głowie filmowych kawałków.

Ledwie doszłam do miejsca, gdzie się budzę i widzę Liz mamroczącą na łóżku, kiedy Derek mi przerwał:

— Jasne, Liz porzuciła swoje „nie wiadomo gdzie”, żeby pokazać, że ma naprawdę wystrzałowe skarpetki.

Opowiedziałam o jej „śnie”, a także o zjawieniu się na poddaszu.

Kiedy skończyłam, Simon siedział zamyślony, kołyszając na palcu koszulę, aż wreszcie odezwał się:

— Wygląda, że faktycznie był to duch.

— Ale z tego jeszcze nie wynika, że została zamordowana — zauważył Derek. — Na przykład w drodze do szpitala mogła mieć wypadek. Wtedy nie powiedzieliby nam o tym od razu.

— A może wcale nie chodzi o to, że nie żyje? — powiedziałam. — Czy to mogła być astralna wędrówka? Robią to szamani, tak? To by tłumaczyło także, jak może poruszać różnymi rzeczami na odległość. Nie chodziło o poltergeista, lecz jej ducha czy jakkolwiek nazwać to, co tak działa. Powiedziałaś, że takie zdolności jak nasze uruchamiają się w okresie dojrzewania, tak? Kiedy do tego dochodzi, a my nie wiemy, co się dzieje, lądujemy w takim miejscu jak to. Dom dla nastolatków z problemami. — Derek wzruszył tylko ramionami, ale się nie spierał. — Czy bycie szamanką tłumaczyłoby to, co się z nią działo? Czy mogła, sama o tym nie wiedząc, opuszczać ciało i rzucać przedmiotami?

— Nie wiem — powiedział wolno, z ociąganiem. ~4 Muszę się nad tym zastanowić.

Byliśmy w połowie deseru, kiedy znowu pojawiła się pani Talbot.

— Bardzo mi przykro, że muszę ingerować w to, jak spędzicie czas wolny po obiedzie, ale chciałam was prosić, żebyście nie przeszkadzali Victorii i jej mamie, dlatego aż do rozpoczęcia lekcji trzymajcie się z dala od klasy i nie wchodźcie do pokoju medialnego, żeby tam nie hałasować. Możecie iść na zewnątrz albo do salonu.

Gdyby tydzień temu ktoś mi powiedział, że trzeba komuś zapewnić odrobinę intymności, zrobiłabym wszystko, aby jej nie naruszyć, gdyż tego domagałaby się elementarna grzeczność. Wystarczyło jednak kilka dni w Lyle House, Bym, słysząc: „Nie idź tam”, odpowiadała nie: „Dobrze”, ale: „Dlaczego?” i... zaczynała szukać. W tym domu wiedza była ważną bronią, a ja szybko się uczyłam.

Problem był następujący: jak podkraść się do gabinetu doktor Gili, aby podsłuchać Tori i jej matkę i dowiedzieć się, czemu ich rozmową musiała się odbywać z zachowaniem tak wielkiej dyskrecji. Mogłabym poprosić o to chłopaka z nadzwyczajnym słuchem, ale nie chciałam mieć żadnych długów wobec Dereka.

Pani Talbot powiedziała, że dziewczęta mogą iść na górę, ale nie chłopcy, bo wtedy musieliby przejść obok pokoju doktor Gili. To mi podsunęło pewien pomysł. Poszłam na górę, wśliznęłam się do sypialni pani Talbot, stamtąd przeszłam do pani Van Dop i zesłam schodami po drugiej stronie.

Ryzyko się opłaciło, co stwierdziłam, ledwie przycupnęłam na stopniach.

— Nie jestem w stanie uwierzyć, że mogłaś zrobić coś takiego, Tori. Czy możesz sobie wyobrazić, jaka jestem teraz zawstydzona? Kiedy byłam tutaj zeszłej niedzieli, podsłuchiłaś, co pielęgniarki mówiły między sobą o Chloe Saunders, i zaraz musiałaś to wypaplać innym dzieciom.

Tyle się wydarzyło, że dopiero po chwili zrozumiałam, o czym mówi matka Tori. I potem zrozumiałam: to Tori powiedziała reszcie, że sędzę, iż widzę duchy. Rae mówiła, że matka Toń miała jakieś biznesowe powiązania z Lyle House. Kiedy w niedzielę pod rzuć i ła córce nową spódniczkę, pielęgniarki musiały jej wspomnieć o nowej pacjentce i jej halucynacjach, a Tori musiała to usłyszeć.

— A jakby tego było jeszcze mało, słyszę, że rozpad czasz z powodu przeniesienia tej drugiej.

— Liz — szepnęła Tori. — Ma na imię Liz.

— Wiem, jak ma na imię. Natomiast nie wiem, co cię wprawiło w taką desperację.

— Desperację?

— Przesiadujesz w pokoju. Kłócisz się z Rachele. Wygadujesz na rodzinę tej nowej. Czy lekarstwa nie działają dobrze, Victorio? Przecież ci mówiłam, że jeśli będzie coś nie w porządku, masz mi natychmiast dać znać.

— Pomagają, mamó — powiedziała Tori głosem tal stłumionym, jakby mówiła przez łyzy.

— Stale je bierzesz?

— Stale. Przecież dobrze wiesz.

— Wiem tylko tyle, że jeśli je przyjmujesz, to powinno ci się poprawiać, a ten tydzień dowodzi, że tak nie jest.

— Ale to nie ma nic wspólnego z moim problemem. Chodzi o tę nową. Ona doprowadza mnie do szału. Panna Migotka. Zawsze usiłuje mi przyciąć i pokazać, że to ona jest lepsza. — Naśladowując mnie, zmieniła głos na sztuczny falset. — Och, jaka dobra jest nasza Chloe. Och, tylko patrzeć, jak nasza Chloe stąd wyjdzie. Och, jak bardzo nasza Chloe się stara. — Wróciła do swojego normalnego głosu. — Ja też się bardzo staram, o wiele bardziej niż ona, ale to jej gratulował doktor Davidoff.

— Marcel stara się tylko was motywować, kochanie.

— Ja mam dostateczną motywację. Myślisz, że lubię siedzieć tutaj z tymi odjazdami i świrami? Tyle że ja nie chcę wyjść stąd za wszelką cenę, chcę, żeby mi się naprawdę polepszyło. A ta Chloe ma to gdzieś. Łże jak najęta, kiedy wszystkich przekonuje, że wcale już nie myśli, że zjawiają się jej duchy. Chloe Saunders to wstrętna dwulicowa dzi... — przełknęła resztę słowa i po chwili dokończyła: — ...Dziewczynka.

Jeszcze nikt nigdy tak o mnie nie mówił, nawet — jak przypuszczam — za moimi plecami. Miała jednak rację: kłamałam. Mówiłam jedno, a myślałam drugie. To właśnie nazywa się dwulicowością, prawda?

— Rozumiem, że ci się nie podoba, ale...

— Nie podoba? Ja jej nienawidzę! Ładuje się tutaj, sprawia, że wywożą moją najlepszą przyjaciółkę, nadaje na mnie pielęgniarkom i lekarzom, podkrada mi chłopaka... — Urwała i dorzuciła: — Tak czy siak, zasłużyła sobie.

— jakiego znowu chłopaka? — ostro spytała matka,

— Żadnego.

— Flirtujesz z którymś z chłopaków tutaj, Tori?

— Nie, mamó. Z nikim nie flirtuję.

— Wypraszam sobie taki ton. I wytrzymaj nos. Ledwie mogę cię zrozumieć. — Chwila ciszy. — Pytam po raz ostatni: o co chodzi z tym chłopakiem?

— Po prostu... — Głęboki oddech. — Po prostu podoba mi się jeden chłopak, a Chloe o tym wie, więc na złość mi przystawia się do niego.

Przystawiam się?

— Który to?

Pytanie matki było tak ciche, że ledwie dosłyszałam.

— Och, mamo, to bez znaczenia, ja tylko...

— Żadnych mi tutaj „och, mamo”, mam prawo wiedzieć. — Matka zniżyła głos jeszcze odrobinę. — Tylko mi nie mów, że to Simon. Nie waż się powiedzieć mi, że to Simon.

Ostrzegałam cię, żebyś trzymała się od niego z daleka.

— A dlaczego? Jest bardzo fajny. Nawet nie bierze tu żadnych lekarstw. Podoba mi się i...
Auu! Co ty robisz?

— Staram się zwrócić twoją uwagę. Przestrzegałam! cię przed nim i oczekuję posłuszeństwa. Miałaś już chłopaka. I to niejednego, jeśli dobrze sobie przypominam. Bardzo miłych młodzieńców, którzy czekają, aż stąd wyjdiesz.

— A wyjdę pewnie jutro.

— To, kiedy wyjdiesz, zależy tylko od ciebie samej. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jakie to jest upokarzające, że ja, członkini rady nadzorczej, mam tutaj córkę? Więc dowiedz się, droga Victorio, że to nic w porównaniu z tym, że jesteś już tutaj od dwóch miesięcy.

— Ciągłe to powtarzasz. I powtarzasz. I powtarzasz.

— Jak się okazuje, i tak za mało, bo nic nie robisz, żeby ten stan zmienić.

— Staram się!

Zdenerwowana Tori prawie krzyczała.

— A wszystkiemu winien jest ojciec. To on cię tak niemiłosiernie rozpuścił. O nic w życiu nie musiałaś zabiegać. Nigdy się nie dowiedziałaś, co to znaczy marzyć o czymś.

— Mamo, ja przecież próbuję...

— Nawet nie wiesz, jak to jest próbować! — W głosie matki było tyle zjadliwości, że poczułam ciarki na skórze. — Jesteś zepsutą, leniwą egoistką, w ogóle nie obchodzi I cię, jak wiele zadajesz mi cierpienia, między innymi z tego powodu, że wydaję się wyrodną matką, że to podważa moją zawodową reputację...

Jedyną odpowiedzią Tori był szloch tak głęboki, że cała się skuliłam.

— Nie martw się o tę Chloe Saunders. — Matka

Tori nieomal syczała. — Nie ma mowy, żeby wyszła stąd szybko, niezależnie od tego, co ty sugerujesz. Martw się o Victorię Enright. Spraw, żebym była z ciebie dumna. Tylko o to cię proszę.

— Spróbu... Tak będzie.

— Ignoruj Chloe Saunders. Ignoruj Simona Bae. Nie są warci twojej uwagi.

— Ale Simon...

— Nie słyszysz, co do ciebie mówię? W ogóle się do niego nie zbliżaj. On może dla ciebie oznaczać tylko kłopoty; on i jego brat. Jeśli tylko się dowiem, że ktoś widział was razem, on stąd znika. Już ja to załatwię, możesz być pewna.

Doświadczenie życiowe. Mogę się nad nim rozwodzić, rozprawiać o poszerzeniu horyzontów, zawsze jednak będę skazana na własne doświadczenia.

Jak bowiem pojąć doświadczenia całkowicie odmienne od naszych? Można je obserwować, wczuwać się w nie, wyobrażać sobie, jak to jest, kiedy się ich doznaje, ale to zupełnie jak z filmem, który oglądając, powtarzamy sobie: „Ale dobrze, że to nie ja”.

Podłuchawszy matkę Tori, przysięgam sobie, że już nigdy złego słowa nie powiem o ciotce Lauren. Co za szczęście, że jako zastępcza matka trafiła mi się osoba, której jedyną wadą było to, że się za bardzo o mnie troszczyła. Stawała w mojej obronie nawet wtedy, gdy ją rozczarowałam. Do głowy by jej po prostu nie przyszło, żeby oskarżać mnie o to, iż ją upokarzam.

Nazwać mnie leniuchem, bo się nie staram dostatecznie? Grozić, że załatwi przeniesienie chłopaka, który mi się podoba?

Wstrząsnął mną dreszcz.

Tori naprawdę chciała, żeby jej się polepszyło. Teraz wiedziałam, dlaczego Rae nazwała ją królewną lekarstw. Ledwie mogłam sobie przedstawić, jak wygląda jej życie, ale podejrzewałam, że nie starcza mi w tym przypadku] wyobraźni.

Jak może matka czy ojciec winić swe dziecko za to, że nie potrafi pokonać schorzenia psychicznego? Czym innym jest upominanie ucznia, który się ociąga, żeby się; przyłożył do sprawdzianu, a czym innym robienie wyrzutów dyslektykowi, że nie czyta najlepiej w klasie. Jakkolwiek wyglądały dokładnie kłopoty Tori, była to jakaś postać schizofrenii, która nie była jej winą i nad którą nie panowała całkowicie.

Trudno się dziwić, że tego popołudnia Tori nie było na lekcjach. Zasada, że nie wolno się zaszywać w swoim pokoju, najwyraźniej nie stosowała się do niej, czy to ze względu na jej stan, czy też ze względu na pozycję jej matki. Na przerwie poszłam na górę; chociaż drzwi były zamknięte, dobrze było słyszeć jej szloch.

W filmie weszłabym do jej sypialni, pocieszyła ją i może nawet zostałybyśmy przyjaciółkami; takie sceny oglądałam wielokrotnie. Ale w prawdziwym życiu wyglądało to inaczej; trzeba było dopiero stanąć pod drzwiami, żeby poczuć, jak to jest

Tori mnie nienawidziła.

Ta myśl powodowała skurcz żołądka. Nikt dotąd nie żywił do mnie nienawiści. Byłam osobą, na której temat inni mówili, gdy ich zapytano: „Chloe? No nie wiem, ale chyba jest OK”.

Ludzie mnie nie kochali, ale też nie nienawidzili, po prostu nie bardzo ich interesowałam.

Czymkolwiek zaskarbiłam sobie nienawiść Tori, nie mogłam polemizować z jej oceną sytuacji. Fakt, to ja znieczekałam wtargnęłam i zajęłam jej miejsce: stałam się „dobrą pacjentką”, którą ona tak bardzo chciała być.

Gdybym weszła do niej, nie zobaczyłaby wcale współczującej twarzy. Ujrzałaby zwyciężczynię, która przychodzi się litować, i znieczekałaby mnie jeszcze bardziej.

Zostawiłam więc ją samotnie płaczącą w pokoju.

Kiedy skończyła się popołudniowa przerwa, pani Talbot oznajmiła, że na dzisiaj koniec lekcji, bo mieliśmy zrobić jedną z rzadkich wycieczek poza Lyle House. Nie była daleka: tylko na basen, który znajdował się raptem przecnicę dalej.

Ekstra pomysł, gdybym tylko miała kostium kąpielowy.

Pani Talbot zaoferowała się, że zadzwoni do ciotki Lauren, ale nie chciałam jej kłopotać czymś takim, zwłaszcza że i tak ściągali już ją w związku z moim wczorajszym zachowaniem.

Ale nie tylko ja zostałam. Derek miał swoją sesję z doktor Gili. Kiedy powiedziałam Simonowi, że to nie fair, odrzekł, że Derekowi w ogóle nie wolno opuszczać Lyle House. Pomyślałam, że to nie takie dziwne, jeśli zważyć, za co się tu znalazł. Kiedy mnie tu przywieźli i wszystkich wzięli na kolację na zewnątrz, żeby nie przyglądali się, jak mnie rozlokowują, on musiał zostać w swoim pokoju.

Kiedy wszyscy wyszli, wykorzystałam fakt nieobecności pielęgniarek i poszłam na górę do siebie, żeby posłuchać muzyki. Już po kilku minutach usłyszałam mocne pukanie do drzwi. Zdjęłam słuchawki. Znowu pukanie. Ponieważ byłam przekonana, że duchy tego nie robią, powiedziałam: „Proszę”.

W progu stała Tori, wyglądająca zupełnie jak nie ona. Włosy jej sterczały, jakby je przed chwilą własnoręcznie potargała. Wymięta koszula wysuwała się z dzinsów.

Usiadłam.

— Myślałam, że poszłaś na basen.

— Nie mogę, bo mnie łapią kurcze. Z tobą wszystko OK? — W jej głosie nadal pobrzmiwała zwykła arogancja, ale słowa z trudem wydostawały się z ust. — Dobra! Nie przyszłam po kredkę do oczu, bo i tak raczej nie masz. Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że możesz sobie wziąć Simona. Ja... — Uciekła wzrokiem. — Nie interesuje mnie. Nie jest w

moim typie. Za... młody. — Wydęła wargi, „Niedojrzały. Tak czy siak, bierz go sobie. Jest twój.

Miałam już na końcu języka: „Ekstra, dzięki”, gdybym nie widziała, jakie to wszystko było dla niej trudne. Simon nie miał racji; on naprawdę się jej podobał.

— Ale... ale to jeszcze nie wszystko. — Odkasznęła. — Chciałam zaproponować... rozejm. — Rozejm?

Niecierpliwie machnęła ręką, przeszła za próg i zamknęła za sobą drzwi.

— Ta durna wrogość między nami. Nie warto, żebym. .. — Urwała i zgarbiła się. — Koniec walk. Chcesz Simona? Bierz go. Uważasz, że widzisz duchy? Nie mój interes. Zależy mi na czym innym. Powiesz doktor Gili, że przeprosiłam za to, iż pierwszego dnia opowiedziałam wszystkim o twoim widzeniu duchów. Cholera, mieli mnie wypisać w poniedziałek, ale teraz nic z tego. Więc] powiesz, że coś tam było, ale to właściwie twoja wina.

— Ja przecież...

— Jeszcze nie skończyłam! — Tym razem agresywna arogancja była wyraźniejsza. —

Powiesz doktor Gili, że przeprosiłam, a ty faktycznie wyolbrzymiłaś sprawę. Ja myślałam, że widzenie duchów jest cool, tylko ty to inaczej odebrałaś, ale potem już zawsze byłam wobec ciebie OK.

— Bo „odstąpiłaś” mi Simona. Ja cię wcale...

— To tylko jedna część umowy. A druga? Pokażę ci coś, na czym ci zależy.

— Co niby?

— Ten cały... — machnęła ręką — ..zjechany schowek. Zeszłam na dół, żeby zobaczyć, kiedy mi wreszcie wypierzenie dzinsy, i usłyszałam, jak czegoś tam razem z Rae szukacie. Usiłowałam zachować obojętność.

— Niewierno...

— Nie ściemniaj. Sama zgadnę. Brady powiedział Rae, że tam coś jest, tak?

Nie miałam pojęcia, o czym mówi, ale na wszelki wypadek kiwnęłam głową.

— Kasetka, w niej jakieś starocie. — Skrzywiła się z niesmakiem. — Brady mi pokazał, myślał, że może mnie to kręcić. To jak antyki, powiedział. Suuuuper. No, ale kiedy nie usłyszał: „Ale jazda, jakie to słodkie i romantyczne! Po prostu uwielbiam zgniłe wisiorki i brudne antresole”, musiał opowiedzieć o tym Rae. Jak chcesz, mogę ci pokazać.

— Jasne, może wieczorem?

— Myślisz, że zamierzam się pakować w następne kłopoty? Mogę ci pokazać teraz, kiedy jeszcze zdążę wskoczyć pod prysznic. A sama nie znajdziesz, nie ma mowy.

Zawahałam się. Zacisnęła wargi.

— Jasne, nie chcesz mi pomóc. Ekstra, niech będzie i tak.

Odwróciła się do drzwi. Spuściłam nogi z łóżka. — Zaczekaj. Idę z tobą.

Rozdział dwudziesty siódmy

Wspięłam się na drabinę, otworzyłam drzwi, zajrzałam, w czarną jak smoła czeluść.

Cofnęłam się i spojrzałam! w dół na Tori.

— Rae miała latarkę. My też musimy. Wymowne westchnienie.

— Gdzie ona jest?

— Nie wiem. Myślałam, że ty...

— A skąd mam niby wiedzieć, gdzie one trzymają latarki? Myślisz, że włócę się nocą po domu? Czytam: świńskie książki pod kołdrą? Wejdz po pro... — Urwała, a usta wykrzywił jej ironiczny uśmiech. — Jasne. Boisz się ciemności, tak?

— Skąd ci to...

Pociągnęła mnie za nogawkę spodni.

— Złaż, kochana. Ja pójdę przodem i przegnam wszystkie wstrętne duchy.

— Spadaj. Sama to zrobię, muszę tylko przyzwyczaić oczy do ciemności.

Ach, jak było trzeba, była pod ręką Rae z jej zapalkami. Zaraz, zapalki. Przecież rzuciła je tutaj. Obmacałam brudną podłogę, ale niczego nie znalazłam.

— No i jak? — usłyszałam za sobą kpiący głos. — Już sparaliżowana ze strachu? Dalej, albo puść mnie. — Zaczęłam przesuwać się na czworakach. — W lewo, jest mniej więcej w połowie. — Po jakichś sześciu metrach znowu się odezwała. — Teraz bardziej w prawo.

Widzisz filar? — Zmrużyłam oczy i dostrzegłam zarys wspornika. — Zaraz za nim. —

Podpełzałam bliżej i zaczęłam szukać po omacku. — Za, nie obok. Czy ty nic nie widzisz? Daj mi.

Chwyciła mnie za bark i szarpnęła tak mocno, że straciłam równowagę.

— Ej! — pisnęłam. — To...

— Boli? — Wpiła palce jeszcze głębiej. Kiedy usiłowałam się wyrwać, kolaniem tak uderzyła mnie w brzuch, że skuliłam się we dwoje. — Wiesz, Chloe, jak mi wszystko popsułaś? Zjawiasz się, wywalasz stąd Liz, kradniesz mi Simona, opóźniasz moje zwolnienie. Podobno zaraz cię stąd wypuszczą. Pewnie wypuszczą, tyle że dostaniesz bilet w jedną stronę do wariatkowa. Ale na razie zobaczmy, jak bardzo boisz się ciemności.

Podniosła jakąś poszarpaną bryłę. Nadkruszona cegła? Ból eksplodował z tyłu głowy.

Poleciałam na twarz, krztusząc się kurzem, zanim wszystko rozplynęło się w mroku.

Oszołomiona budziłam się kilka razy, podczas gdy jakaś głębsza część mnie krzyczała: „Musisz wstać!”, druga, rozespana, mruczała: „To znowu te pigułki i osuwałam się w nieświadomość.

Wreszcie przypomniałam sobie, że nie biorę już leków, i się zbudziłam. Usłyszałam ciężki oddech. Leżąc, z umysłem ciągle zamglonym i dudniącym sercem, usiłowałam spytać: „Kto tu jest?”, ale wargi się nie poruszyły.

Zaczęłam się szarpać, ale nie byłam w stanie się podnieść, poruszyć rekami, z trudem wciągałam powietrze.

Wtedy zrozumiałam, jakie było źródło ciężkiego oddechu. To ja sama.

Zmusiłam się do spokoju i bezruchu. Coś silnie przywierało do moich policzków, napinając skórę, ilekroć pa ruszyłam głowę. Taśma. Miałam zaklejone usta.

Ręce miałam skrępowane na plecach, a nogi...

Zmrużyłam oczy, usiłując dojrzeć coś w ciemności, ale przy zamkniętych drzwiczkach, braku jakiegokolwiek źródła światła, nic nie mogłam zobaczyć. Kiedy poruszyłam nogami, poczułam, że coś ściska mi kostki. Byłam związana.

Dziwka!!!

Nigdy nie przypuszczałam, że kogokolwiek tak określe, ale do Tori nie pasowało żadne inne słowo.

Nie tylko zwabiła mnie do schowka i ogłuszyła, ale jeszcze skępowała i zakneblowała.

Miała świra. Mega świra.

„No wiesz, przecież z jakiegoś powodu tu siedzi. Zaburzenia psychiczne. Przecież dobrze o tym wiedziałaś. I tylko nie chciałaś o tym pamiętać, idiotko!”

A teraz leżałam w ciemności zakneblowana i spętana, czekając, aż ktoś mnie znajdzie.

„Tak, ktoś cię znajdzie?”

Oczywiście. Nie pozwolą mi tutaj zgnieć.

„Pewnie już od kilku godzin leżysz tu nieprzytomna. Może przestali już szukać. Może uznali, że uciekłaś”.

To nieważne, jak Tori dość już będzie miała ubawu — czy zemsty — znajdzie sposób, by komuś zasugerować, gdzie jestem.

„Czy aby? Pamiętaj, że ma świra. Myśli tylko o tym, żeby się ciebie pozbyć. Może uznała, że będzie najlepiej, jeśli już nigdy cię nie znajda. Kilka dni bez wody...”

Przestani

„Pomyśl, że ktoś się włamał, związał biedną Chloe i zostawił w schowku. Świetna bajka. Ostatnia bajka naszej Chloe”.

Tak. Znajda mnie. W końcu. Ale nie zamierzałam leżeć tutaj beczynn timer i czekać na ratunek. Przewróciłam się na plecy i rozpaczliwie szukałam jakiegoś uchwytu. Kiedy to się nie udało, najpierw przekręciłam się na bok, potem podniosłam się na klęczki.

Nareszcie. Teraz mogłam się przesunąć. Jeśli uda mi się dotrzeć na drugi koniec, będę mogła walić w drzwi, aż wreszcie ściagnę czyjąś uwagę. Trochę to potrwa, ale...

— Chloe?

Męski głos; doktor Davidoff? Usiłowałam odpowiedzieć, ale byłam w stanie wydać z siebie tylko stłumiony pomruk.

— .Twoje imię... Chloe...

Teraz, gdy głos był bliższy, poczułam, jak jeżą mi się włosy na karku. Piwniczny duch.

Opanowałam się i rozejrzałam, ale nic nie mogłam zobaczyć -w mroku.

Choć oko wykol.

— .. .Odrpęż się... do ciebie... Przesunęłam się do przodu, i wyrznęłam nosem w podporę. Poczułam ból gdzieś za oczami, które zalały się łzami. Kiedy schyliłam się, uderzyłam w drewno tym razem ciemieniem i poleciałam na bok. „Wstawaj!”

Po co? Ledwie mogę się poruszyć. Nie wiem, w jakim kierunku, tak jest ciemno.

Uniosłam głowę, ale naturalnie nic nie zobaczyłam. Duchy mogły być wszędzie dookoła - ..

„Dajże wreszcie spokój! Są duchy, ale nic ci nie można zrobić. Nie mogą »przyjść po ciebie«”.

— .. .Wezwij ich... musisz...

Zamknęłam oczy i skupiłam się na oddychaniu.

— ...Pomóc ci... słuchaj... ten dom...

Byłam wprawdzie przerażona, ale nacisk, z jakim zostały wypowiedziane słowa „ten dom”, sprawił, że cała zamieniłam się w słuch.

— ...Dobrze... odrpęż się... skoncentruj... Spróbowałam się podnieść.

— ...Nie, spokój... do ciebie... cierpliwie... nawiąż kontakt... nie mogę... musisz... ich historię... jak najszybciej...

Usiłowałam to wszystko jakoś poskładać. Odrpężyc się i skoncentrować? Zupełnie, jakbym słyszała Rae. Wtedy pomogło, przynajmniej na tyle, że zobaczyłam tęcp mężczyznę w garniturze.

Zamknęłam oczy.

Zacisnęłam mocno powieki i wyobraziłam sobie, że nawiązuję z nim kontakt. Zobaczyć go. Przeciągnąć na tę stronę. Z wysiłku zaczęło mi pulsować w skroniach.

— ...Dziecko... nie tak...

Wyraźniej, głośniejsze. Zacisnęłam pięści, teraz siebie usiłując przepchnąć przez barierę, aby dostać się do zmarłych...

— Nie! — zaprotestował duch. — Nie tak! Poderwałam głowę, gapiąc się w mrok.

„Jesteś tu?“, najpierw pomyślałam, a potem spróbowałam to powiedzieć, ale przez knebel przedostało się tylko niewyraźne stęknienie.

Dwie minuty tak trwałam w absolutnej ciszy. Tak się kończą próby wymuszenia czegoś na duchu. Tylko go odepchnęłam tak daleko, że straciłam z nim kontakt, i tak marny.

Przez te dwie minuty przynajmniej się uspokoiłam. Serce przestało mi łomotać jak u królika, także ciemność jakby stała się odrobinę mniej gęsta. Gdybym tak dotarła do drzwi i zaczęła w nie uderzać...

„Gdzie są drzwi?“

Da się ustalić.

Zobaczyłam jakiś pasek odrobinę jaśniejszy, uznałam, że to musi być szczelina między drzwiami i ścianą, zaczęłam więc pełznąć w tym kierunku. Podłogę odrobinę dygotało.

Kiedy tak się napinałam, poczułam, że ucisk na przegubach się zmniejsza, a ręce poruszają się coraz swobodniej. Kiepski węzeł zawiązała Tori.

„A co więcej może zrobić nadziana laska?“

Tak by powiedziała Rae.

Uwolniłam dłonie. Sięgnęłam do stóp, ale wtedy wstrząs się powtórzył, tym razem silniejszy, tak że musiałam się podeprzeć, aby nie polecieć na bok.

Trzęsienie ziemi?

Przy moim szczęściu, całkiem możliwe. Poczekajłam, aż podłoga się uspokoi, i obmacałam kostki. Na sznurku było kilka węzłów, jak gdyby już na nim były, zanim skorzystała z niego Tori. Trzeba ustalić, który jest ten właściwy, a wtedy...

Chrzęst sprawił, że myśl się urwała. Tak jakby ktoś stąpał po zapiaszczonej podłodze. Ale duchy poruszają się bezgłośnie. Nasłuchiwałam. Znowu dźwięk, ale teraz podobny do odgłosu sypniętego żwiru.

Przełknęłam ślinę i wróciłam do węzła.

„A jeśli jest tutaj ze mną jakaś rzeczywista osoba? Ktoś, kto może mi zrobić krzywdę?“

Za mną rozległo się skrzypnięcie. Podskoczyłam i usiłowałam się obejrzeć. Taśma stłumiła okrzyk, ja wytrzeszczałam oczy, a serce waliło tak głośno, że, przysięgłabym, dało się je słyszeć.

„Bum-bum-bum. To nie moje serce“.

Dźwięk dobiegał z lewej, zbyt lekki, aby to były kroki. Raczej jakby ktoś klepał w piasek.

Lub jakby się do mnie podkładał na czworakach. „Przestań!“

Tylko to pomyślałam, ale usłyszałam, jak słowa wyrrywają się z gardła i zderzają z kneblem. Klepanie ustało. Jakby pomruk.

„To nie ktoś, ale coś. Jakiś zwierzak“.

Kret Wczoraj razem z Rae widziałam zdechłego kreta.

„Kret? Mruczący? Tupiący tak, że słyhać na całym pawlaczu?“

Cicho. Nie ruszaj się i siedź cicho, to cię nie znajdzie.

„Tak jest z rekinami. Jak się nie ruszasz, nie znajdą cię rekiny ani dinozaury, idiotko! Ale to nie *Jurassic Park*“.

W gardle zabulgotał histeryczny śmiech. Przełknęłam ślinę i śmiech zamienił się w kwilenie. Tymczasem I klepanie znowu się odezwało, głośniejsze, ale wraz z nim inny dźwięk, jakby... tykanie.

Tik-tak, tik-tak...

A to co znowu?

„Zamierzasz poczekać, żeby się dowiedzieć?”

Obmaciałam knebel, ale ponieważ taśma nie dawała się oderwać, poddałam się i znowu wróciłam do stóp, a palce ślizgały się tak szybko, że kaleczyły skórę. Przy każdym kolejnym węźle szukałam luźnych końców, a gdy ich nie znajdowałam, przechodziłam do następnego, aż wreszcie...

Są! Zwisające końce.

Wbiłam palce w zaciśnięte sploty, usiłując rozluźnić je to z jednej, to z drugiej strony.

Skoncentrowana niemal zapominałam o oddychaniu.

Nagle coś zaklekotało obok mnie. A potem tykanie.

Moje nozdrza wypełniła gęsta, zatęchła woń. Następnie coś zimnego przesunęło się po moim ramieniu.

Coś we mnie... puściło. Poczułam wilgoć na wewnętrznej stronie ud, ale niemal tego nie zauważyłam. Siedziałam nieruchomo, tak bardzo spięta, że aż mnie rozbolała szczęka.

Śledziłam to tupiące, szeleszczące, tykające coś, które, wydawało się, okrążało mnie. I jeszcze inny dźwięk. Długi, niski szloch. Mój szloch. Chciałam go powstrzymać, ale miałam taką pustkę w głowie, że nie potrafiłam, mogłam się tylko kulić,

I znowu mnie dotknęło. Coś długiego, suchego, zimnego, palczastego przesunęło mi się po karku. Trudny do opisanego dźwięk, cmok-trzask-szelest, sprawił, że włosy stanęły mi dęba.

Powtarzał się aż do chwili, gdy stał się słowem. Straszliwie pokieroszowane słowo, które nie mogło wyjść z ludzkiego gardła, słowo w nieskończoność powtarzane.

— Pomocy. Pomocy. Pomocy.

Rzuciłam się, żeby być jak najdalej od dźwięku. Z ciągle skrępowanymi kostkami padłam na twarz, ale zaraz poderwałam się na czworaka i jak najszybciej po-pełzłam w kierunku drzwi.

Syk, tupot, trzask z innej strony.

I z jeszcze innej.

O, Boże, gdzie one są? I ile ich jest? „Mniejsza z tym; nie stawaj!” Wreszcie dowlekłam się do drzwi. Napałam na drewno; nie ustąpiło. Zamknięte.

Cofnęła się i zaczęłam walić pięściami, krzycząc, łomocząc, wołając o pomoc.

Zimne palce oplotły moją *kostkę*.

Rozdział dwudziesty ósmy

Ręka natrafiła na coś w kurzu. Pudełko z zapalkami.

Chwyciłam, wymacałam zapalkę, palcem odszukałam draskę. Jest.

— Pomóż mi. Pomóż.

Rozpaczliwie wierzgałam skrępowanymi nogami, tak podrygując, że zapalka mi wypadła. Na próżno zaczęłam jej szukać wokół siebie.

„Drugą!”

Mam! Znowu poszukałam draski, chwyciłam zapalkę między dwa palce i znieruchomiałam.

Nie miałam pojęcia, jak ją zapalić. Bo niby skąd. Na obozie zawsze robili to opiekunowie, nigdy nie paliłam papierosów, obca mi była fascynacja innych dziewczyn świeczkami.

„Na pewno już kiedyś to robiłaś”.

Może... ale nie pamiętam.

„A co to ma za znaczenie, przecież widziałaś to w kinie, nie może być strasznie trudne!”

Ścisnęłam zapalkę, potarłam... a ona się złamała. Wyciągnęłam następną. Ile ich jeszcze może być w pudełku? Niewiele; to było to samo pudełko, które Rae miała pierwszego dnia, kiedy przyłapałam ją na dole.

Teraz chwyciłam zapalkę niżej, bliżej łebka. Potarłam. Nic. I znowu. Tym razem zapłonęła, parząc mnie w palce, ale jej nie wypuściłam. Płomień był jasny, ale światła dawał niewiele. Widziałam swoją rękę, ale nic poza nią.

Chociaż nie, po prawej coś poruszało się w pyle. Jakiś ciemny, sunący w moim kierunku kształt. Duży i długi. Wyciągnęło przed siebie coś, co wyglądało jak zabrudzone ramię, z białymi, giętkimi palcami odbijającymi się od podłoża.

Ramiona sięgnęły do przodu, przebierając w prochu, a potem podciągnęły ciało. Mogłam dostrzec ubranie, porwane i w strzępach. Doleciał do mnie zapach brudu i jakiejś zgnilizny. Wzniosłam zapalkę, stwór także uniósł głowę. Czarnymi oczodołami wpatrywała się we mnie czaszka z pasmami poczerńiałego ciała i zakurzonymi włosami. Otworzyła się szczęka, zęby zaklekotały, dobył się jakiś chrapliwy jęk.

— Pomóż mi. Pomóż.

Krzyknęłam w knebel tak mocno, że głowa mało nie pękła. Cokolwiek zostało w pęcherzu, wyciekło na zewnątrz. Wypuściłam zapalkę; potoczyła się i zgasła, ale zanim to nastąpiło, zobaczyłam kościstą rękę, która sięgała do mojej nogi, i drugie ciało pełznące za pierwszym. Przez sekundę siedziałam tak sparaliżowana trwogą, że z gardła dobywał mi się tylko cichutki pisk. Potem ręka chwyciła mnie za nogę, zimne kości boleśnie się w nią wpiły, resztki łachmanów przesunęły się po skórze. Nawet jeśli nic nie widziałam, mogłam to sobie wyobrazić, co wystarczyło, aby pokonać odrętwienie.

Poderwałam się, wierzgając i kopiąc, a za każdym razem, gdy stopa czegoś dotknęła, ciałem wstrząsał dreszcz. Słyszałam jakieś suche trzaski, ale oprócz nich ktoś gdzieś i wołał mnie po imieniu i kazał przestać.

Próbowałam zerwać knebel, ale rozedrgane palce dalej były nieporadne, więc poddałam się i odczołgałam tak szybko, jak potrafiłam, aż wreszcie tykanie, szelesty i syczenie jakby się oddaliły.

— Chloe! Przezań! — W wątlym świetle majaczyła nade mną jakaś postać. — To są... — Kopnęłam z całej siły. Jęk bólu i przekleństwo. — Chloe!!! — Czyjeś ręce chwyciły mnie za barki i mocno potrząsnęły. — Chloe, to ja, Derek.

Nie wiem, co się potem stało. Może osunęłam się w jego ramiona, ale jeśli istotnie tak się stało, wołę o tym nie pamiętać. Pamiętam za to, jak zdjęto mi knebel i jak znowu usłyszałam te okropne stuki i szelesty.

— T-tttam s-sssą...

— Umarli. Wiem. Musiano ich tu właśnie pochować, a ty przypadkiem ich obudziłaś.

— O-ooobudz-dzdzdziłam?

— Później, teraz musisz...

Znowu pukanie i szelesty, a ja oczami wyobraźni zobaczyłam, jak wleką swoje bezwładne ciała. Szuranie ich łachmanów i wyschniętego ciała. Grzechot ich kości. Uwięzione w środku duchy. Uwięzione w zwłokach...

— Chloe, skup się! — Derek przyciągnął mnie tak blisko, że zauważyłam biały błysk zębów, gdy mówił. Za nim widziałam smugę światła, którą dostrzegłam wcześniej, ale odrobinę szerszą, na tyle by można było rozpoznać kształty. — Nie zrobią ci krzywdy. To nie są filmowe zombi, które wyjadają mózgi. To tylko martwe ciała, w które powróciły duchy. Tylko martwe ciała? Z duchami, które w nie powróciły? To ja je przywołałam? Zastanowiłam się, jak to może być, wracać w swoje rozłożone ciało, grzęznąć w nim...

— T-ttrzeba je odesłać!

— Właśnie.

W jego głosie nie było ani odrobiny ironii. Kiedy sama przestałam dygotać, poczułam, jaki on jest napięty, jak drżą jego trzymające mnie ręce, i wtedy zrozumiałam, że ze wszystkich sił stara się zachować spokój. Potarłam ręką po nosie, usiłując odegnać wstrętny zapach.

— A-aaale jak? — Cisza. Popatrzyłam na niego. — Derek?

— Nie... nie wiem. — Poruszył barkami, odzyska! odrobinę pewności siebie. — To ty je wezwałaś? Chloe. Jakkolwiek to zrobiłaś, teraz to odkręć.

— Aleja nie...

— Spróbuj... Zamknęłam oczy.

— Wracajcie. Wracajcie w swoje zaświaty. Odsyłam] was.

Kilka razy powtórzyłam te słowa w takim napięciu, że poczułam strużki potu na twarzy. Ale odgłosy były coraz bliższe. I bliższe.

Z zamkniętymi oczami odegrałam sobie film, w którym durna młoda nekromantka chce odesłać duchy w zaświaty. Usiłowałam wyobrazić sobie ciała. Potem zobaczyłam siebie wyzwalającą duchy z ciał, które ulatują...

— Pomóż! Pomóż!

Wyszło mi w gardle. Głosy były tuż za mną. Otworzyłam oczy.

Derek stęknął i ścisnął mnie jeszcze mocniej.

— Nie otwieraj oczu, Chloe. I pamiętaj, że nie mogą cię skrzywdzić. — Kościsty palec dotknął mojego kolana. Podskoczyłam. — Spoko, Chloe. Jestem przy tobie.

Zmusiłam się do bezruchu. Palce dotknęły barku, sunęły się na ramię, ślizgając się, badając, obmacując niczym niewidomy. Kość poskrobała skórę. Klekot odsuwającego się ciała.

Zapach...

„Wyobraź sobie!”

Przecież to robię!

„Nie tak!”

Zacisnęłam powieki; było to trochę bez sensu, bo i tak i nic nie mogłam zobaczyć, ale czułam się odrobinę lepiej. I Palce przesuwały się po moich plecach, szarpały bluzkę, ! ciało charczało, jakby chciało coś powiedzieć.

Zagryzłam zęby i usiłowałam nie zważać na to wszystko, co nie było łatwe, gdy wiedziałam, że to coś na mnie napiera, ociera się. „Dość już!”

Spróbowałam skoncentrować się na oddechu Dereka. Wolny, głęboki, przez usta; w ten sposób usiłowałam zachować spokój.

Głęboki oddech. Głęboki oddech. Szukaj spokojnego miejsca. Twórczego miejsca.

Z wolna dźwięki, dotyki i zapach rzeczywistego świata zaczęły blednąć. Jeszcze mocniej zacisnęłam powieki i spróbowałam całkowicie pogrążyć się w wyobraźni. Skupiłam się na ciałach, na tym, jak wyzwalam z nich duchy, a te, niczym wypuszczone z klatek gołębie, bijąc skrzydłami, wznoszą się w słońce.

Po wielekroć przywoływałam te obrazy: uwalniam duchy, życzę im dobrze, przepraszam, że wyrwałam je z ich stanu. Docierał do mnie niewyraźny głos Dereka, który mówił, że idzie mi dobrze, ale było to tak, jakby rozbrzmiewał gdzieś na granicy świadomości. Rzeczywisty świat był tutaj, gdzie naprawiałam swój błąd, odkręcałam go...

Usłyszałam szept:

— Już ich nie ma, Chloe.

Znieruchomiałam. Ciągle czułam na nodze kościste palce, ciało dalej przywierało do mnie, teraz jednak nieruchome. Kiedy otrząsnęłam się, z kościanym stukotem zleciało na podłogę. Derek zrobił długi wydech i przeciągnął ręką po włosach, a potem, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy, spytał, co ze mną.

Wzruszyłam ramionami.

— Żyję-

Kolejny głęboki oddech. Spojrzał w dół na ciało.

— Mamy chyba coś do zrobienia.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Chodziło mu o to, że trzeba zrobić porządek. Na powrót pochować ciała. Powiedzieć mogę tylko tyle, że byłam bardzo zadowolona, iż nawet przy otwartych drzwiach było na tyle ciemno, że nie widziałam ich zbyt dokładnie.

Groby były płytkie, ledwie kilkanaście centymetrów kurzu przykrywało ciała, przez które łatwo mogły się przecisnąć, gdyby duchy w nie powracały, ale nad tym wolałam się w tej chwili nie zastanawiać.

Wydawało się pewne, że znalazły się na pawlaczu dawno, bez wątpienia zanim Lyle House stał się ośrodkiem terapeutycznym. I były to ciała dorosłych osób. Na razie żadna dalsza wiedza nie była mi potrzebna.

Spytałam Dereka, jak mnie znalazł. Odparł, że kiedy okazało się, iż Tori zostaje, był pewien, że będzie chciała coś zrobić, więc zaczął mnie szukać. Nie rozwodził się szczegółowo nad tym, jak konkretnie na mnie trafił; mruknął tylko, że zajrzał w kilka „oczywistych miejsc”, aby mnie odnaleźć.

Problemem było, co zrobić z Tori.

— Nic — powiedziałam, ocierając ręce, gdy skończyliśmy wyrównywać drugi grób.

— Jak to?

Nareszcie coś go zaskoczyło.

— Będę się zachowywała tak, jakby nic nie zaszło.

Chwilę się zastanawiał, a potem kiwnął głową.

— Dobra. Gdybyś na nią naskarzyła, mogłoby być jedynie gorzej. Lepiej ją ignorować i liczyć na to, że sama się zdradzi.

— Modlić się o to — mruknęłam, kierując się ku drzwiom.

— Jest tu na dole jakieś czyste pranie?

— Jest jedna porcja w suszarce. A czemu... Jasne. Lepiej nie pokazywać się na górze w takim stanie. — Ze szłam po drabince. — Większość to twoje rzeczy, więc...

— Chloe? Derek? — Pośrodku pralni stała pani Tal« bot. — Co wy tu robicie we dwójkę?

Derek, dobrze przecież wiesz, że nie wolno ci... — Jej wzrok zatrzymał się na moim ubraniu.

— Mój Boże, a z tobą co się stało?

Nie było sensu ukrywać, że byliśmy na pawlaczu, ponieważ widziała, że wyszliśmy ze schowka, ja cała brudna i zakurzona. Ścisnęłam nogi w nadziei, że nie będzie widać mokrych smug. Ból pulsował w potylicy, gdy usiłowałam wykrztusić jakąś odpowiedź. Miałam nadzieję, że Derek! się włączy, ale tego nie zrobił. Najwyraźniej jedna pomoc! na dzień wyczerpywała jego limit.

— Prałam tutaj, a wtedy przyszedł D-ddderek i s-ssspytał...

W drzwiach stanęła doktor Gili; spojrzałam na nią jakbym to od niej spodziewała się ratunku.

— Mów dalej, Chloe.

— S-ssspytał o koszulę. Spytałam, czy wie, gdzie jest jakiś odplamiacz, bo żadnego nie mogłam znaleźć, nie wiedział, więc zajrzałam do schowka, a Derek powiedział, że to dziwne, bo zwykle jest zamknięty, więc zajrzeliśmy I dalej, a tam była drabina. Więc byliśmy ciekawi i...

— Tak myślę, że byliście ciekawi. — Doktor Gili założyła ręce na piersiach. — Osoby w waszym wieku są Zwykle bardzo ciekawe, czyż nie?

— T-tttak. Więc zaczęliśmy się tam rozglądać...

— Na pewno się rozglądaliście.

Ton głosu pani Talbot wyraźnie sugerował, co jej zdaniem tam robiliśmy.

Zacząłam protestować, chociaż widziałam, że sama podsunęła nam znakomity wykręt. Gdybym wstydliwie spuściła powieki i bąknęła: „No tak, przyłapałyście nas panie”, przyjęłyby wyjaśnienie i nie miałyby powodu wchodzić na pawlacz, gdzie pewnie szybko znalazłyby pospiesznie ukryte ciała.

Gdyby to był Simon, natychmiast bym tak postąpiła. Ale Derek? Nie potrafiłam aż tak dobrze kłamać.

Nie miało to jednak znaczenia. Im bardziej zaprzeczałam, tym bardziej obie były pewne, że łąę. Doktor Gili dobrze wiedziała, co sądzić o sytuacji, gdy dwoje nastolatków wymyka się w jakieś sekretne, mroczne miejsce. Jakże tu można mieć wątpliwości?

Wydawało się, że taka sama jest opinia pani Talbot, która z zaciśniętymi ustami przysłuchiwała się mojej paplaninie.

A Derek? Nie odezwał się ani słowem.

Kiedy nas wreszcie puściły, czym prędzej pobiegłam na górę, aby zmienić dzinsy, zanim ktokolwiek zobaczy, że są obsikane. Kiedy obmaciałam głowę, wykryłam dwa guzy: jeden od Tori, drugiego sama sobie nabiłam o wspornik.

Na dole mniejszy pokazałam doktor Gili, na poparcie mojej opowieści, że szukałam czegoś na pawlacz („O, proszę, nawet sobie nabiłam guza”, ale tylko rzuciła okiem, dała mi tylenol i kazała położyć się w sali medialnej. Ciotka Lauren była już w drodze.

— Sama nie wiem, co powiedzieć, Chloe.

Głos Lauren był na poziomie szeptu. To pierwsze słowa, jakie do mnie wypowiedziała od chwili, gdy przy-była do Lyle House. Słyszałam, jak wcześniej krzyczała na doktor Gili i pielęgniarki, dopytując się, dlaczego na przekór swym obietnicom nie trzymały Dereka z daleka ode mnie. Teraz, gdy była już tylko ze mną, nie okazywała żadnej złości.

Siedziałyśmy same w gabinecie doktor Gili, tak jak przedtem Tori i jej matka. Co z tego, że wiedziałam, że rozmowa nie skończy się na groźbach i obelgach, skoro J i tak byłam pewna, że wyjdę z niej w nie lepszym stanie niż Tori.

Ciotka Lauren siedziała sztywno, jakby połknęła kij od szczotki, ręce miała złożone na kolanach, a palce za-plecione wokół szmaragdowego pierścionka.

— Dobrze wiem, że masz piętnaście lat i nawet jeśli nie umawiałaś się z chłopakami, interesujesz się nimi. W takim miejscu jak to, gdy jesteś z dala od znajomych i rodziny, rodzi się pokusa, by czegoś popróbować...

— Nic z tych rzeczy. Kompletnie. — Nachyliłam się ku niej. — Znaleźliśmy w schowku taką jakby antresolę, Derek chciał sprawdzić, co tam jest, a ja pomyślałam, że to może być cool.

— I poszłaś tam za nim? Po tym, co ci zrobił? — Dalej siedziała nieruchomo, ale w jej oczach strach zajął miejsce zawodu. — Chloe, ja po prostu nie mogę uwierzyć. Naprawdę uznawałaś, że wcześniej straszyl cię i napastował, bo mu się podobasz?

— Co takiego? Nie, oczywiście, że nie. Derek wcale nie jest... Nie zrobił mi tak naprawdę krzywdy i wcale tego nie chciał. Oboje pomyliliśmy się.

Teraz ona nachyliła się i mocno złapała moją rękę.

— Och, Chloe, kochanie, nie. Tak nie można, nie możesz szukać dla niego usprawiedliwień.

— Usprawiedliwień?

— Może to pierwszy chłopak, który ci powiedział, że mu się podobasz, i ja wiem, co to za uczucie, ale bądź pewna, że to nie jedyny. Pierwszy, który zdobył się na odwagę. Jest starszy od ciebie i wykorzystał sytuację. Jestem pewna, że w szkole żadna dziewczyna nie spojrzy na niego dwa razy, a tutaj ma ładną, efektowną, niemającą gdzie...

— Ciociu! — Gwałtownie wyrwałam rękę. — Przecież ci mówię, że to...

— Zasłużyłaś na coś lepszego, Chloe. Naprawdę. Wyraz niesmaku na jej twarzy powiedział mi, że nie chodzi jej o to, jak Derek się do mnie odnosił. Poczułam przypływ wściekłości. Z jednej strony nie mogłam się zmusić, żeby udawać, że baraszkowaliśmy z Derekiem, ale wcale nie czułam się z tym dobrze.

Derek nie był winny temu, jak wyglądał. Wiedział oczywiście, jak wygląda — i jak ludzie na niego reagują — i z całą pewnością wcale nie starał się być odpychający. Od dorosłych można by oczekiwać większego rozsądku, a ciotka powinna być jedną z tych osób, które uczyłyby mnie, że nie należy oceniać książki po okładce.

Jeśli nawet przez chwilę zastanawiałam się nad powiedzeniem prawdy Lauren, teraz chęć ta wyparowała bez reszty. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by rozpoznać w Dereku pokrakę, który dobiera się do jej siostrzenicy. Żadne moje słowa nie mogły jej przekonać, bo przecież widziała, że to pokraka. I żadne moje słowa nie mogły je) przekonać, że widzę duchy, po przeciwieństwie wiedziała, że jestem schizofreniczką.

— Nie zamierzasz mi nic powiedzieć, Chloe?

— A co jeszcze? — Słyszałam chłód w moim głosie — Próbowałam, ale ty wiesz swoje. Poruszyła się na krześle i odrobinę razem z nim przysunęła, zmniejszając dystans między nami.

— Wcale nie. Chcę usłyszeć, jak to wygląda z two3 jej strony.

— Tylko dlatego, że tu się znajduję, że jestem chora, nie jestem inna niż przed tygodniem. Wtedy, jakbyś usłyszała taką historię, wiedziałabyś, że coś jest nie tak. Poprosiłabyś mnie o wyjaśnienia, zanim zaczęłabyś mnie o cokolwiek obwiniać. Ale teraz? — Wstałam. — Mam świra i tyle.

— Chloe, wcale nie uważam...

— Dobrze wiem, co uważasz — powiedziałam i wyszłam z gabinetu doktor Gili.

Ciotka wybiegła za mną, ale nie chciałam jej słuchać, taka byłam zła. I dotknięta. Pomyśleć, że zabawiałam się na pawlaczu z pierwszym chłopakiem, który zechciał się mną zainteresować? To naprawdę obrzydliwe.

Bóg jeden wie, co sobie wyobrażała, ale byłam pewna, że wyobraźnia poniosła ją do czasów pierwszego pocałunku. Dobrze, ale żeby uznać, że z etapu „nieumawiania się z chłopakami” natychmiast przeszłam do barszkowania na stryszkach z lepkiem, którego prawie nie znałam? To obraźliwe. Obrażliwe? Ogarnęła mnie furia.

Czy Lauren cokolwiek o mnie wiedziała? A jeśli nie ona, to czy ktokolwiek wiedział cokolwiek?

Kiedy stało się jasne, że nie zamierzam się „uspokoić” i porozmawiać z ciotką, przyszła pora na następny etap. Rozprawa. Zostałam wezwana do gabinetu razem z Derekiem jako współnikiem, podczas gdy doktorzy Gili i Davidoff mieli wystąpić naraz w roli sędziów i przysięgłych. Rozprawa była zamknięta; nie wpuszczono nawet ciotki.

Nie zamierzałam wyklócać się o to, dlaczego znaleźliśmy się na pawlaczu. Jeśli tylko dobrze przejdę przez fazę: „O mój Boże, nie chcę, by ktokolwiek myślał, że jestem TAKĄ dziewczyną”, będą pewni, że barszkowaliśmy tam z Derekiem, a wtedy nie pójdą tam niczego sprawdzać, jak zobaczą nawet jakieś ślady zamieszania, to będą wiedzieli, skąd się wzięły.

Na przekór temu, co myślała Lauren, byłam przekonana, że dla Dereka jest to myśl równie okropna. Kiedy Gili usiłowała z niego wydobyć jakieś wyznanie, wruszał tylko ramionami i mruczał niezrozumiale coś pod nosem, a jego wielka postać garbiła się na krześle w obronnej postawie. Podobnie jak ja zorientował się, że wszelkie spory są bez sensu, ale nie miał także zamiaru cegokolwiek tłumaczyć.

— To nie pierwszy raz, kiedy... dzieje się coś z udziałem was obojga. I obawiam się, że nie ostatni. Musimy to zdusić w zarodku, a jedynym sposobem są przenosiny. Z jednym z was będziemy musieli się rozstać.

— Ze mną.

Króciutką chwilę musiało potrwać, zanim się zorientowałam, że to moje słowa.

Czyja oszalałam? Zgłaszać się do przeniesienia, kiedy tak bardzo się go boję?

Ale nie wycofałam się. Skoro jedno z nas musi opuścić Lyle House, niech to będę ja, nawet pomimo strachu. Nie mogę rozdzielić Simona i Dereka.

Myślałam jednak, że Derek zaprotestuje. Nie wiem czemu, na pewno nie oczekiwałam po nim żadnej rycerskości. Wydawało się jednak, że jakiś, drobnutki choćby, sprzeciw byłby bardzo na miejscu. To byłoby, czyja wiem, uprzejme... i pewnie właśnie z tego powodu nic takiego] nie zrobił.

— Nie, nikt nie będzie się stad wynosił — spokojnie odezwał się doktor Davidoff. — Od tej chwili to ja mam was oboje na oku. I oczekuję, że nie będzie najmniejszego nawet powodu, żebyśmy musieli powracać do tej rozmowy. Czy wyraziłem się jasno? Bardzo.

Rozdział trzydziesty

Kiedy państwo doktorzy zwolnili nas, wyszliśmy razem na korytarz. Spróbowałam się ociągać, wycierając jakąś wymaglinowaną plamkę na bluzce, aby Derek mógł się oddalić, co oszczędziłoby nam niezręcznej sytuacji. Tymczasem on stanął naprzeciw mnie z rękami założonymi na piersi i niecierpliwie przebierał palcami po bicepsach.

Przypomniałam sobie, że mnie uratował. Powinam mu być wdzięczna. Byłam. Byłam, ale... Głowa mi pulsowała, bolała mnie postawa ciotki, a to, że kiedy zaoferowałam się, żeby to mnie przenieśli, on nie zareagował, kłuło gdzieś jak kolec. Nie chciałam tego, ale kłuło.

— Co tak wycierasz? — szepnął w końcu.

— Mam tu jakąś plamkę.

— Nic nie widać.

Wyprostowałam się i poprawiłam bluzkę w spodniach.

— Bo ją usunęłam.

Spróbowałam go wyminąć, ale nie ustąpił.

— Musimy porozmawiać — szepnął.

— Myślisz, że to dobry pomysł?

— Będzie Simon. Za pięć minut. Na zewnątrz.

Naprawdę nie sądziłam, że dobrze jest narażać się na to, że mnie zobaczą z Derekiem, nawet w towarzystwie Si-

mona, zatem pięć minut później leżałam na sofie w sal medialnej z iPodem na uszach i usiłowałam pograć się w muzyce.

Aż podskoczyłam, kiedy padł na mnie jakiś cień. I Stojąca nade mną Rae wyciągnęła dłoń w uspokajającym geście.

— Wyluzuj, to tylko ja. Zdjęłam słuchawki. Ułożyła sweter na oparciu.

— No i co się stało?

— Nie to, co wszyscy myślą.

— Jasne.

Siadła na drugim końcu, podkuliła stopy pod siebie,; oparła się na poduszce ułożonej na kolanach i czekała. Znała mnie niecały tydzień, a dobrze wiedziała, że nie oblaśniałam się z Derekiem na pawlaczu.

— Później — mruknęłam. — Jak będziemy u siebie,

— Ale przyrzekasz? — Potaknęłam. — OK. To jak' było w gabinecie?

Opowiedziałam o rozmowie z doktorami i ciotką.

— Kiedy obcy podejrzewają, że zrobiłaś coś, czego nie zrobiłaś, trudno, nie znają cię. Ale kiedy ktoś, kto powinien cię znać? I byłaś pewna, że cię zna?

Pokręciłam głową.

— Coś o tym wiem. Jak tylko w szkole coś prze-skrobałam, zaraz brali mnie do psychologa, który robił mi wykłady na temat pokus ulicy i korzyści z pozostania w szkole. I co to, kurna, jest? Jakaś najmniejsza wzmianka I w moich papierach, że się choćby otarłam o gang? Że olewałam szkołę? Jechałam na czwórkach i nigdy nie wagarowałam. — Przytuliła do siebie poduszkę. — Powtarzałam sobie, że po prostu mnie nie znają. Ale to samo spotkało mnie od mamy. Jak tylko coś się stało, zaraz wracała do mojej przyjaciółki Triny. Jako czternastolatka uciekła i domu, związała się z jakimś gangiem, zginęła w strzelaninie. Halo, co to ma wspólnego ze mną? Gdy zwiłała, przestałyśmy się przyjaźnić. To nie ja.

— Pewnie chcieli jak najlepiej. Ale cuchnie.

— Najgorsze jest to... — Podniosła wzrok. — Czego chcesz?

Derek obszedł sofę tak, żebym go widziała i postukał w zegarek.

— Czy nie powiedziałem „za pięć minut”?

— Powiedziałeś. A ja powiedziałam, że to nie jest dobry pomysł.

— Musimy z tobą porozmawiać. Rae zaczęła się podnosić.

— Mam którąś zawołać?

Dałam jej znak, żeby usiadła, a potem znowu spojrzałam na Dereka.

— Nie.

Wcisnął ręce do kieszeni dzinsów, zakołysał się na piętach i wreszcie wycedził:

— Simon chce z tobą porozmawiać.

— A Simon nie ma swoich nóg? — spytała Rae. — Nie ma swoich ust? Co, jesteś jego bernardynem, który przynosi wiadomości od pana?

Ustawił się plecami do Rae.

— Chloe? — W jego głosie była jakaś nuta, która sprawiła, że moja stanowczość zaczęła słabnąć. — Chloe, p... — Na końcu języka pojawiło się coś jak „r” i gdyby powiedział „proszę”, uległabym pomimo wszystkich zastrzeżeń. Ale stał niezdecydowany, aż wreszcie odwrócił się i odszedł.

— Czeeeeś. — zawołała za nim Rae. — Fajnie z tobą pogadać. — Obróciła się do mnie. — Ale powiesz mi, o ci w tym wszystkim chodzi, tak?

— Obiecałam. A jak było na basenie?

— Może być. Fajnie wyjść, ale poza tym? Simon pływał basen za basenem, ja tylko pieskiem, więc zaraz się rozłączyliśmy. Ale przynajmniej mieli zjeżdżalnię, więc. i

Znowu spojrzała za mnie i ostrzegawczo kiwnęła głową.

— Cześć — powiedział Simon i usiadł na oparciu *sofy*.

Spróbowałam zrobić mu miejsce, ale ponieważ po drugiej stronie była Rae, więc nie mogłam odsunąć się daleko i jego biodro dotknęło mojego ramienia.

— Ja... — zaczęłam.

— Nie chcesz wyjść na dwór — dokończył za mnie. — Spoko. Możemy się tutaj schować przed Derekiem i zobaczymy, kiedy nas znajdzie.

— To ja już sobie... Rae zaczęła się podnosić.

— Nie, zostań — sprzeciwił się Simon. — Wcale nie chciałem wam przeszkadzać.

— Jasne, ale chyba mnie wołają, więc lepiej pójdę. Wyszła, a ja posunęłam się na sofie.

Zrobiłam mu

dość miejsca, ale przysunął się blisko, nie dotykał mnie, ale prawie; wpatrzyłam się w ten centymetr pustej sofy między nami, bo, mówiąc szczerze, nie bardzo wiedziałam, co innego mogłabym zrobić.

W głowie ciągle jeszcze miałam zgrozę schowka, która, na chwilę przytłumiona przez rozmowę z ciotką i lekarzami, teraz wracała w całej wyrazistości.

— Czuję się wstrętnie w związku z Tori. Widziałem, że się wścieka, widząc nas razem, więc usiłowałem trzymać ją z dala, ale zdaje się, że wyszło tylko na gorsze.

— Nie twoja wina. To ona ma problemy. Krótko zachichotał.

— Jasne, można to ująć również tak. — Zapadła dłuższa chwila ciszy, po której zerknął na mnie spod oka. — Wszystko OK?

Przytaknęłam.

Nachylił się tak, że jego bark dotknął mojego ramienia; poczułam ciepło jego oddechu na moim uchu, gdy szepnął:

— Gdyby to o mnie chodziło, wcale nie byłoby OK. Byłbym śmiertelnie przerażony.

Pochyliłam głowę i kosmyk włosów zsunął mi się na oczy. Wyciągnął rękę, jakby chciał go odgarnąć, ale zatrzymał ją w połowie drogi. Odchrząknął, ale nic nie powiedział.

— To było ciekawe — mruknęłam po jakimś czasie.

— No ja myślę, tyle że kiedy widzi się to w kinie, jest cool i w ogóle, ale w prawdziwym życiu... — Nasze oczy się spotkały. — Już nie tak bardzo, prawda?

Kiwnęłam głową. Cofnął się w róg sofy.

— To jaki jest twój ulubiony film o zombi? Parsknęłam śmiechem i poczułam, że ciężar sytuacji

odrobinę się zmniejszył. Myśli trochę się uporządkowały, na tyle przynajmniej, abym mogła wydobyć z nich jakiś sens. Spróbowałam wydostać się spod brzemienia tego, co się wydarzyło, odsunąć to odrobinę na bok, być silna, twarda, jak Derek. Żyć umarłych? Nie ma sprawy. Ode-gnać duchy, pochować na powrót ciała? Proszę o jakieś trudniejsze zadanie. Nie bardzo mi się to jednak udawało. Ciągłe ich widziałam, czułam ich zapach, dotyk. Nie opuszczała mnie groza, której doznałam, ale także wyobrażenie ich grozy, kiedy doznali ode mnie tego, czego doznali. Nie ma mowy, byś zapomniała, więc postaraj się o jakiś dystans, zrównoważ celuloidowymi obrazami.

Zaczęliśmy więc rozmawiać o filmach o zombi, omawiać wady i zalety takich, których żadne z nas nie powinno było oglądać, gdybyśmy się przejmowali ograniczeniami wiekowymi.

— Mają najlepsze efekty specjalne — powiedział Simon. — Bez dwóch zdań.

— Pewnie. Jak porozwalasz dostatecznie dużo rzeczy, można ukryć dziury w akcji tak wielkie, że tir by przez nie przejechał.

— Akcji? Jakiej akcji? Chodzi przecież o film o zombi Przeniósł się na podłogę, aby zademonstrować scenę

śmierci niezwykle leniwego zombi. Obróciłam się na bok i patrzyłam na niego z góry.

— Niech zgadnę — powiedział. — Zrobisz pierwszy na świecie artystyczny film o zombi, który będzie miał premierę w Sundown.

— Chyba chodzi ci o festiwal w Sundance — poprawiłam. — Nie. Reżyserować artystyczny film pełnometrażowy? — Wstrząsnął mną dreszcz. — O, teraz mógłbyś mnie nakręcić.

Usiadł i uśmiechnął się.

— Nie tak bardzo.

— Zgadzam się. Do mnie żaden artyzm jakoś specjalnie nie przemawia. Zresztą, nie zamierzam pisać ani kręcić żadnego filmu. A ty co byś wolała? Pisać czy kręcić?

— I jedno, i drugie, gdyby było można. Historia po wstaje w scenariuszu, ale jeśli chcesz zobaczyć, jak ożywa, musisz reżyserować, ponieważ w Hollywood to reżyser Jest królem. Scenarzysta? Nazwisko ledwie mignie na ekranie.

— Kumam, reżyser jest na samym szczycie.

— Nie całkiem. Reżyser jest królem, ale Bogiem jest wytwórnia. Wytwórnia chce dostać coś, co da się sprzedać przynajmniej w jednej z ćwiartek.

— Ćwiartek?

— W jednej z czterech głównych grup targetowych. Faceci, facetki, młodzi, starzy. Jak trafisz we wszystkie cztery, masz hit... a wytwórnia jest happy. Ale z filmem o zombi nigdy tak nie będzie, nawet jak jest najbardziej cool.

Przewrócił się na brzuch.

— Skąd ty to wszystko wiesz?

— Buffalo to nie Los Angeles, ale są różne możliwości. Prenumeruję „Variety”, „Creative Screenwriting”, przeglądam strony, jest kilka blogów, które warto czytać... Jeśli chcę wejść do biznesu, muszę go znać. I im wcześniej zacznę, tym lepiej.

— Jezu! Ja to nawet nie wiem, kim chcę być.

— Będę cię wynajmowała, jak będzie potrzebna mgła albo jakiś dym.

Roześmiał się, a potem popatrzył nad moim ramieniem.

— Hej, bro. Dość już świeżego powietrza?

— Chcę porozmawiać. — Spojrzał na Simona i na mnie. — Z wami obojgiem.

— To przysuń sobie krzesło. Tematem rozmowy są filmy o zombi. — Simon zerknął na mnie. — Bo rozumiem, że dalej się tego trzymamy.

— Tak.

— Filmy o zombi? — powtórzył Derek, jakby się przestyszał. Twarz mu pociemniała, ściszył głos. — Zapomnieliście, co się dziś stało?

— Nie, właśnie o tym rozmawiamy. — Simon przesłał mi uśmiezek. — Do pewnego stopnia.

Derek jeszcze bardziej zniżył głos.

— Chloe jest w niebezpieczeństwie. Wielkim niebezpieczeństwie. A wy się tu wylegujecie i paplacie o filmach o zombi?

— Wylegujemy się? Paplamy? Interesujący dobór słów. Postuchaj, dobrze wiem, co się stało i co to mogło znaczyć dla Chloe. Ale niebo się nie zawali od tego, że nie będziemy o tym rozmawiali na okrągło, Kurczaku Mały. — Przeciągnął się. — Wszystkim nam dobrze robi, jak się trochę wyluzujemy.

— Wyluzujemy? No, o to nieźle się starasz. — Derek groźnie nachylił się nad Simonem. — Prawdę mówiąc, tylko o to.

Wstałam.

— Chyba lepiej pójdę zobaczyć, czy nie trzeba pomóc Rae.

Simon gwałtownie usiadł.

— Zostań. Już właściwie skończyliśmy. — Popatrzył na Dereka. — Prawda?

— Jasne. Idź się wyluzować. Lada chwila wejdzie tata i wszystkich nas uratuje. A jeśli on jest w tarapatkach? Jeśli on potrzebuje pomocy? Wtedy jest kłopot, bo trzeba byłoby się wysilić, ale ty... ty musisz się wyluzować.

Simon poderwał się na równe nogi, Derek ani drgnął. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, potem Simon leciutko pchnął mnie w kierunku drzwi.

- Chodźmy.

Zawahałam się, ale kiedy bezgłośnie szepnął „Proszę”. Posłuchałam.